...STROWANY KALENDARZ POWIEŚCIOWY



Treść:

„Żółta śmierć"
„Srebrna szubienica"
„Tragedya oceanu"
„Pod przymusem"
„Morderstwo, którego nie było"
„Spowiedź księdza"
„Piękna nieznajoma"
„Romans średniowieczny"
„AZU"
i wiele innych.

NA ROK 1913

Skarbnica ciekawych opowieści z 30 ilustracyami:

Przez lądy i morza.

Humor.

Zagadka konkursowa i kupon na nagrody wartości 1000 koron.

Cena 60 halerzy.

KALENDARZ POWIEŚCIOWY
„NOWIN"
NA ROK 1913.

ZAWIERA:

Kalendaryum rzym. i gr. katolickie.
Przepisy etc.

„Przez lądy i morza",

Skarbnicę ciekawych opowieści
z 50 ilustracyami,
Humor,

oraz

ZAGADKĘ KONKURSOWĄ
i kupon na nagrody ogólnej wartości 1000 kor.

(*Objaśnienie na ostatniej stronicy.*)

KRAKÓW 1913
NAKŁADEM REDAKCYI „NOWIN" UL. ŚW. GERTRUDY L. 10.
Z DRUKARNI ALEKSANDRA RIPPERA.

SPIS TREŚCI

oraz

ZAGADKA KONKURSOWA

i kupon na nagrody ogólnej wartości 1000 koron

mieszczą się na końcu kalendarza.

STYCZEŃ.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g. m.	SŁOŃCA zachód g. m.	KSIĘŻYCA wschód g. m.	KSIĘŻYCA zachód g. m.
		Noworoczna. O obrzezaniu Chrystusa. Łuk. 2.		Długość dnia: 7 godz. 53 m.			
Ś.	1	**Nowy Rok.** Mieczysława	19 **Dekabr.** Bonifatja mucz.	8 14	3 54	1 52	11 53
C.	2	Makarego w. Martyniana	20 Ihnatija	8 13	3 55	3 16	12 7
P.	3	Genowefy p. i Daniela m.	21 Julianiji	8 13	3 56	4 39	12 26
S.	4	Tytusa b. i Eugeniusza b.	22 Anastazyja m.	8 13	3 57	6 1	12 52
		1 po N. R. O chrzcie Chrystusa w Jordanie. Mat. 3.		Długość dnia: 8 godz. 4 m.			
N.	5	Telesfora p. m. i Emiliany p.	23 **N. św. Otec.** 10 muc. kr.	8 13	3 58	7 15	1 29
P.	6	**Sw. Trzech Króli**	24 Naweczerije, Ewheniji	8 12	4 0	8 15	2 21
W.	7	Lucyana m. i Juliana	25 **Rożdest. Chrysta**	8 12	4 1	8 59	3 27
Ś.	8	Seweryna op. i Maxyma b.	26 **Sobor Preśw. Bohor.**	8 11	4 2	9 29	4 41
C.	9	Marcyany p. i Witalisa mm.	27 **Stefana perwo mucz.**	8 11	4 4	9 50	5 56
P.	10	Agatona p. i Wilhelma b.	28 20 tysiacy m.	8 10	4 5	10 5	7 11
S.	11	Hygina p. m. i Honoraty p.	29 14 tys. ubyt. Młodenc.	8 10	4 7	10 17	8 24
		2 po 3 król. 12-letni Jezus naucza w kościele. Łuk. 2.		Długość dnia: 8 godz. 18 m.			
N.	12	Arkadyusza i Tacyana m.	30 **N. po Rożdest.** Anysyi	8 9	4 8	10 26	9 35
P.	13	Gotfryda i Leoncyusza b. w.	31 Melaniji	8 8	4 10	10 35	10 46
W.	14	Eufrozyny p. i Hilarego b.	1 **Janw. Obrizanie Hosp.**	8 7	4 11	10 43	11 59
Ś.	15	Pawła I. pustel.	2 Sylwestra, papy	8 7	4 13	10 53	rano
C.	16	Marcelego p. i Włodzimierza	3 Małachiji	8 6	4 14	11 4	1 14
P.	17	Antoniego opata wyzn.	4 Sobor 70 ap.	8 5	4 16	11 19	2 34
S.	18	Kat. ś. Piotra w Rz. Pryski	5 Wig. do Bohojawłen.	8 4	4 18	11 41	3 59
		Starozapustna. O robotnikach w winnicy. Mat. 20.		Długość dnia: 8 godz. 34 m.			
N.	19	Ferdyn. Henryka i Kanuta	6 **N. Bohojawłenije H.**	8 3	4 19	12 15	5 23
P.	20	Fabiana p. i Sebast. mm.	7 Joanna krest.	8 2	4 21	1 7	6 41
W.	21	Agnieszki p. i m.	8 Heorhja	8 0	4 23	2 22	7 42
Ś.	22	Wincentego i Anastazego m.	9 Poliewkta mucz.	7 59	4 25	3 54	8 25
C.	23	Zaślub. NMP. Rajm. wyz.	10 Hryhorya ep. nyssyjsk.	7 58	4 27	5 33	8 52
P.	24	Tymoteusza b. m.	11 Teodozya prep.	7 57	4 28	7 10	9 11
S.	25	Nawrócenie św. Pawła	12 Tatyanny mucz.	7 55	4 30	8 42	9 25
		Mięsopustna. O rozmaitej roli. Łuk. 8.		Długość dnia: 8 godz. 55 m.			
N.	26	Polikarpa bm. i Pauli wd.	13 **N. po Proświszczeniju**	7 54	4 32	10 11	9 37
P.	27	Jana Chryzostoma b. w. dk.	14 Św. Otec w Synai	7 53	4 34	11 37	9 48
W.	28	Walerego i Juliana bb.	15 Pawła Tywejskoho	7 51	4 36	rano	10 00
Ś.	29	Franciszka Sal. i Sabiniana	16 Pokł. weryh. św. Petra	7 50	4 37	1 3	10 13
C.	30	Martyny i Hyacynty pp. m.	17 Antonija	7 48	4 39	2 28	10 30
P.	31	Piotra wyz. i Marceli wd.	18 Athanazya i Kiryłła	7 47	4 41	3 51	10 54

Zmiany księżyca. Nów: 7-go stycznia o 11 przed południem. Pierwsza kwadra: 15-go stycznia o 5 po południu. Pełnia: 22-go stycznia o 5 po południu. Ostatnia kwadra: 29-go stycznia o 9 rano.

Miesiąc styczeń, czas do życzeń:
A więc życzym pomyślności,
Boga, chleba, miłych gości.
Nowy rok pogodny,
Zbiór będzie dorodny.

Jak przyjdzie święta Pryska
To przebije lód i pliszka.
Jeśli w św. Paweł deszcz albo śnieg pada,
Dobrych się urodzajów spodziewać wypada.

LUTY.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g. m.	SŁOŃCA zachód g. m.	KSIĘŻYCA wschód g. m.	KSIĘŻYCA zachód g. m.
S.	1	Ignacego b. i m. i Bryg. p.	19 **Janwar**. Makarya pr.	7 45	4 43	5 7	11 27
		Zapustna. Jezus przepowiada swoją mękę. Łuk. 18.		Długość dnia: 9 godz. 23 min.			
N.	2	**NMP. Gromn.** Kandyd.	20 **N. 31**. Ewtymija	7 43	4 45	6 11	12 14
P.	3	Błażcja b. i m. i Hypolita w.	21 Maksyma	7 42	4 47	7 00	1 16
W.	4	Weroniki p. i Ansgar.	22 Tymoftea apost.	7 40	4 49	7 33	2 28
Ś.	5	*Popielec.* Agaty panny m.	23 Kłymentija j.	7 38	4 51	7 56	3 43
C.	6	Doroty p. m. i Tytusa b. w.	24 Kseniji	7 37	4 52	8 13	4 59
P.	7	Romualda opata wyz.	25 Hryhorya Bohosłowa	7 35	4 54	8 25	6 12
S.	8	Jana z Maty i Cyryaka m.	26 Xenofonta prepod.	7 33	4 56	8 35	7 24
		Wstępna (1 postu). O kuszeniu Chrystusa przez dyabła. Mat. 4.		Długość dnia: 9 godz. 48 min.			
N.	9	Apolonii i Cyryla	27 **N. 32**. Joanna Złatoust.	7 31	4 58	8 43	8 35
P.	10	Scholastyki p. i Wilhelma	28 Efrema prep.	7 29	5 0	8 52	9 47
W.	11	Obj. NMP. Sewer.	29 Per. Moszcz. św. Ihnatja	7 27	5 2	9 1	11 1
Ś.	12	Modesta m. i Eulalii p. m. †	30 **Trech światytełej**	7 26	5 4	9 10	rano
C.	13	Katarzyny R.	31 Kyra i Joanna	7 24	5 6	9 23	12 17
P.	14	Walentego kapł. męcz. †	1 **Fewr.** Tryfona mucz.	7 22	5 8	9 41	1 37
S.	15	Faustyna m. i Georgii †	2 **Stritenije Hospodne**	7 20	5 10	10 8	3 0
		Sucha (2 postu). O przemienieniu Pańskiem. Mat. 17.		Długość dnia: 10 godz. 15 min.			
N.	16	Julianny panny i męcz.	3 **N. O Myt. i Farys**. Sym.	7 18	5 12	10 49	4 19
P.	17	Alexego Faloneri wyz.	4 Izydora	7 16	5 14	11 51	5 27
W.	18	Symeona b. m.	5 Ahafyi mucz.	7 14	5 16	1 14	6 17
Ś.	19	Konrada w. i Mansweta b.	6 Wukoła	7 12	5 17	2 49	6 50
C.	20	Leona bw.	7 Prepodobroho Otca Part.	7 10	5 19	4 28	7 13
P.	21	Fortunata m.	8 Teodora Stratyłata	7 7	5 21	6 5	7 30
S.	22	Kat. ś. Piotra w Antyoch.	9 Nykyfora mucz.	7 5	5 23	7 39	7 43
		Głucha (3 postu). Pan Jezus wypędza dyabła. Łuk. 11.		Długość dnia: 10 godz. 35 min.			
N.	23	Piotra D. i Florentego	10 **N. O Błud. syni.** Char.	7 3	5 25	9 10	7 54
P.	24	Macieja ap. i Serg. m.	11 Własya	7 1	5 27	10 40	8 5
W.	25	Zygfryda b. i Wiktor.	12 Mełetya i Mariny diwy	6 59	5 29	rano	8 18
Ś.	26	Aleksandra b. Małgorzaty	13 Martyniana	6 57	5 30	12 8	8 34
C.	27	Juliana i Leand.	14 Teodora, Awksentija	6 55	5 32	1 35	8 55
P.	28	Romana op. i Teofila	15 Onysyma	6 52	5 34	2 57	9 25

Zmiany księżyca. Nów: 6-go lutego o 6 przed południem. Pierwsza kwadra: 14-go lutego o 10 przed południem. Pełnia: 21-go lutego o 3 rano. Ostatnia kwadra: 27-go lutego o 10 wieczorem.

Czasem luty ostro kuty,
Czasem luty same pluty.

Święta Weronika słonko pomyka.

Po świętej Dorocie,
Wyschną chusty na płocie.

Na święty Walek,
Niema pod lodem balek.

Święty Piotr gdy się rozgrzeje,
Wiosna prędko nie przyśpieje.

Jeśli św. Maciej lodu nie roztopi,
Będą długo chuchali w zimne ręce chłopi.

W wstępną środę, zapuść brodę
A żurek staw na murek.

MARZEC.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g.	m.	SŁOŃCA zachód g.	m.	KSIĘŻYCA wschód g.	m.	KSIĘŻYCA zachód g.	m.
S.	1	Albina b. i Anton.	16 Panfyła mucz.	5	50	5	36	4	6	10	9
Środpostna (4 postu). O nakarmieniu 5000 ludzi. Jan 6.			Długość dnia: 11 godz. 5 min.								
N.	2	Heleny wd.	17 **N. Miasopust.** Fteodoram	6	48	5	38	5	0	11	7
P.	3	Kunegundy ces. i Tycyana	18 Lwa pap.	6	46	5	40	5	38	12	16
W.	4	Kazimierza w.	19 Archippa ap.	6	43	5	42	6	3	1	31
Ś.	5	Gerazym. p. Przen. św. Wacł.	20 Lwa ep.	6	41	5	43	6	21	2	46
C.	6	Marcyana b. m. i Kolety p.	21 Tymoteja	6	39	5	45	6	34	4	0
P.	7	Tomasza z Akw. i Felic.	22 Obr. moszcz. mucz. Ewh.	6	36	5	47	6	44	5	13
S.	8	Jana Bożego w. i Beaty p.	23 Połykarpa jep. mucz.	6	34	5	49	6	53	6	25
Biała (5 postu). O żydach, chcących Chrystusa ukam. Jan 8.			Długość dnia: 11 godz. 31 min.								
N.	9	Franciszki wd.	24 **N. Syropustna. O. H. J.**	6	32	5	51	7	1	7	37
P.	10	40 Męczen., Makarego	25 Tarasia ar.	6	30	5	53	7	10	8	49
W.	11	Konstantyna w.	26 Porfyrja archiep.	6	27	5	54	7	19	10	5
Ś.	12	Grzegorza W. pap. w.	27 Prokopia ar.	6	25	5	56	7	31	11	24
C.	13	Katarzyny b. i Krystyny	28 Wasyłya	6	23	5	58	7	46	rano	
P.	14	Leona b. m. i Matyldy kr.	1 **Mart.** Teodora Tyro na	6	20	6	0	8	9	12	45
S.	15	Klemensa Hofb. i Longina	2 Fteodota mucz.	6	18	6	1	8	43	2	5
Palmowa (6 postu). O wjeździe P. Jez. do Jeruzalem. Mat. 21.			Długość dnia: 11 godz. 58 min.								
N.	16	Cyryla b. i Hilarego bm.	3 **N. 1 Posta.** Jewtropia m.	6	16	6	3	9	34	3	15
P.	17	Gertr. Patryka i Józ. z Ar.	4 Gerasyma	6	13	6	5	10	46	4	10
W.	18	Gabryela i Cyryla	5 Konona mucz.	6	11	6	7	12	14	4	49
Ś.	19	JÓZEFA OBL. NP. i Amacn.	6 SSw. 42 Mucz.	6	9	6	9	1	49	5	15
C.	20	W. Czwartek, Klaudyi, Euf.	7 O usop. Mucz. w Chers.	6	6	6	11	3	25	5	33
P.	21	W. Piątek, Benedykta op.	8 Theofylakła	6	4	6	12	5	0	5	47
S.	22	W. Sobota, Katarzyny Szw.	9 40 mucz.	6	1	6	14	6	32	5	59
O zmartwychwstaniu Pańskiem. Mar. 16.			Długość dnia: 12 godz. 32 min.								
N.	23	**Wielkanoc.** Wiktoryana	10 **N. 2 Posta.** Kodrata	5	59	6	16	8	4	6	11
P.	24	**Pon. Wielk.** Tymoteusza	11 Sofronija	5	57	6	17	9	36	6	22
W.	25	**Zwiastowanie N. M. P.**	12 Teofana ispowid.	5	54	6	19	11	8	6	37
Ś.	26	Dyzmy i Emanuela m.	13 Peren. mosz. św. Ny kifora	5	52	6	21	rano		6	56
C.	27	Jana Damask. wdk. i Lidyi	14 Wenedykta	5	50	6	23	12	35	7	23
P.	28	Jana Kapistr. w. i Sykstusa	15 Ahap. Romyła	5	47	6	24	1	53	8	2
S.	29	Wiktoryna i Eustazego op.	15 Sawyna, Juliana	5	45	6	26	2	55	8	56
Przewodnia. O niewiernym Tomaszu. Jan 20.			Długość dnia: 12 godz. 53 min.								
N.	30	Zozyma i Jana Klim.	17 **N. 3 P.** Ałeksia prep.	5	43	6	28	3	39	10	2
P.	31	Kornelii i Balbiny pp.	18 Kiryłła archiep.	5	40	6	30	4	8	11	17

Zmiany księżyca. Nów: 8-go marca o 1 rano. Pierwsza kwadra: 15-go marca o 10 wieczorem. Pełnia: 22-go marca o 1 po południu. Ostatnia kwadra: 29-go marca o 2 po południu.

Suchy marzec, mokry maj,
Będzie żyto, gdyby gaj.

Na świętego Kazimierza,
Wyjdzie skowronek z pod pierza.

Na św. Grzegorza, idzie zima do morza.

Święty Józef kiwnie brodą,
Idzie zima na dół z wodą.

Święty Józek, wiezie trawy wózek,
Ale czasem smuci, bo śniegu przyrzuci.

Na Zwiastowanie, zlatują się bocianie.

KWIECIEŃ.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g. m.	SŁOŃCA zachód g. m.	KSIĘŻYCA wschód g. m.	KSIĘŻYCA zachód g. m.
W.	1	Hugona bw.	19 Chrysanta i Daryi	5 38	6 31	4 28	12 33
Ś.	2	Franciszka z Pauli i Teod.	20 Prep. Ot. w obyt. Sawy	5 36	6 33	4 42	1 48
C.	3	Ryszarda bw. i Maryi Eg.	21 Jakowa ep.	5 33	6 35	4 53	3 1
P.	4	Izydora b. w. d. k.	22 Wasylija Św. mucz.	5 31	6 37	5 3	4 13
S.	5	Wincentego Fer. w. i Ireny	23 Nykona prep.	5 29	6 38	5 11	5 25
		2 po W. N. O dobrym pasterzu. Jan 10.		Długość dnia: 13 godz. 20 min.			
N.	6	7 Bol. NMP. Celest. Wilh.	24 **N. 4 Posta.** Zacharya p.	5 26	6 40	5 19	6 38
P.	7	Epifaniusza i Rufina mm.	25 **Błohowiszczenie pr. B.**	5 24	6 42	5 28	7 53
W.	8	Dyonizego b.	26 Sobor Arch. Hawryiła	5 22	6 43	5 39	9 12
Ś.	9	Marcel. i Maryi Kl.	27 Św. Matrony	5 19	6 45	5 54	10 33
C.	10	Ezechiela pr. i Mak.	28 Iłaryona	5 17	6 47	6 14	11 53
P.	11	Leona Wielk. pwdk.	29 Marka	5 15	6 49	6 44	rano
S.	12	Zenona bm.	30 Maryi Chyp.	5 13	6 50	7 29	1 7
		3 po W. N. Maluczko a nie ujrzycie mnie. Jan 16.		Długość dnia: 13 godz. 47 min.			
N.	13	Hermenegilda męcz. i Idy	31 **N. 5 Posta.** Ipatija	5 10	6 52	8 33	2 7
P.	14	Justyna i Waleryana	1 **Apr.** Maryi	5 8	6 54	9 54	2 49
W.	15	Anastazyi i Wiktoryi	2 O. Tyta czudotworca	5 6	6 56	11 24	3 18
Ś.	16	Urbana i Julii mm.	3 Nykity ispowid.	5 4	6 57	12 56	3 38
C.	17	Aniceta p. m. Stefana	4 Josyfa i Heorhja	5 1	6 59	2 28	3 53
P.	18	Apolloniusza m. i Amid.	5 Teodyła	4 59	7 1	3 59	4 5
S.	19	Tymona m. i Leona IX p.	6 Jewtychia jepisk.	4 57	7 3	5 30	4 17
		4 po W. N. O odejściu do Ojca. Jan 16.		Długość dnia: 14 godz. 13 min.			
N.	20	Wiktora, Antonina i Agn.	7 **N. Ćwitonosna.** Hrehor.	4 55	7 4	7 1	4 28
P.	21	Anzelma b. i Anastazego	8 Irydyona ap.	4 53	7 6	8 33	4 41
W.	22	Sotera m. i Teodora b.	9 Eupsychia mucz.	4 51	7 8	10 4	4 58
Ś.	23	Wojciecha arc. i Jerzego	10 Terentja	4 48	7 9	11 30	5 21
C.	24	Fidelisa, Egberta i Bony	11 Antypy ep.	4 46	7 11	rano	5 54
P.	25	Marka Ewang. i Ermina b.	12 Wasylja ep.	4 44	7 13	12 41	6 43
S.	26	NMP. Dobrej Rady, Kleta	13 Artemona J.	4 42	7 15	1 33	7 46
		5 po W. N. O prawdziwej modlitwie. Jan 16.		Długość dnia: 14 godz. 34 min.			
N.	27	Anastazego p. i Teofila b.	14 **Woskresenije Chr.**	4 40	7 16	2 9	9 0
P.	28	Pawła od Krzyża i Wital. m.	15 **Ponediłok świtłyj.**	4 38	7 18	2 33	10 16
W.	29	Piotra m. i Hugona op.	16 **Wtorok świtłyj.**	4 36	7 20	2 49	11 32
Ś.	30	Katarzyny p. i Maryana	17 Symeona	4 34	7 22	3 1	12 46

Zmiany księżyca. Nów: 6-go kwietnia o 7 wieczorem. Pierwsza kwadra: 14-go kwietnia o 7 przed południem. Pełnia: 20-go kwietnia o 11 wieczorem. Ostatnia kwadra: 28-go kwietnia o 7 przed południem.

Na św. Franciszka zielenią się łany,
I ze swego legowiska wracają bociany.

Kiedy grzmi na goły las,
Będzie dla rolników ciężki czas.

Na święty Wincenty
Szczypie nieraz mróz w pięty.

Czasem kwietnia pora letnia,
Czasem zwiedzie, w marzec zjedzie.

Grzmot w kwietniu dobra nowina:
Już szron roślin nie pościna.

Na świętego Wojciecha, naszego patrona,
Już się w zbożu ukryje i zając i wrona.

M A J.

Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Słońca wschód g. m.	Słońca zachód g. m.	Księżyca wschód g. m.	Księżyca zachód g. m.
C.	1	**Wnieb. P. J.** Filipa i Jakóba	18 Joanna Dekap.	4 32	7 23	3 11	1 58
P.	2	Atanazego b. i Zygm. kr.	19 Chrysanta i Daryi	4 30	7 25	3 20	3 10
S.	3	Znal. ś. Krzyża. Aleks. pm.	20 Teodora	4 28	7 27	3 28	4 22
6 po W. N. O obietnicy zesłania Ducha św. Jan 16.				Długość dnia: 15 godz. 8 min.			
N.	4	Floryana m. i Moniki	21 **N. 2. Tomyna.** Januaria	4 26	7 28	3 37	5 37
P.	5	Piusa p. w. i Nar. św. Aug.	22 Teodora ep.	4 24	7 30	3 48	6 55
W.	6	Op. ś. Józ. i Jana w Oleju	23 † Heorhia	4 22	7 32	4 1	8 16
Ś.	7	Domiceli p. i Bened. pw.	24 Zacharyji i Jakowa isp.	4 21	7 33	4 19	9 39
C.	8	**Stanisława bisk.**	25 Marka Ewang.	4 19	7 35	4 46	10 57
P.	9	Grzegorza z Naz. bwdk.	26 Wasylija	4 17	7 37	5 27	rano
S.	10	Izydora rol. Ant. i Gord. †	27 Symeona jepisk. m.	4 15	7 38	6 26	12 2
7 po W. N. O zesłaniu Ducha św. Jan 14.				Długość dnia: 15 godz. 25 min.			
N.	11	**Ziel. Świątki.** Mamerta bw.	28 **N. 3. Myronos.** Jasona	4 13	7 40	7 42	12 49
P.	12	**Pon. Ziel. S.** Pankracego	29. Św. 9 mucz.	4 12	7 41	9 9	1 22
W.	13	Serwacego bw.	30 Jakowa ap.	4 10	7 43	10 40	1 44
Ś.	14	Bonifacego m. i Justyny †	1 **Maj.** Św. Jeremiji pr.	4 9	7 45	12 9	2 0
C.	15	Zofii m., Jana Chrzcic.	2 Atanazya	4 7	7 46	1 37	2 13
P.	16	Jana Nepomucena †	3 Teodozya pecz.	4 5	7 48	3 4	2 24
S.	17	Paschal. w. i Brunona †	4 Pełahyi mucz.	4 4	7 49	4 33	2 35
1 po Z. Ś. (Ś. Trójcy). O władzy danej Chrystusowi. Mat. 28.				Długość dnia: 15 godz. 45 min.			
N.	18	Feliksa, Eryka i Wenant.	5 **N. 4. O Rosłabł.** Iryny	4 3	7 51	6 3	2 47
P.	19	Piotra, Celest. p. i Iwona	6 Jowa mnohostr.	4 1	7 52	7 33	3 2
W.	20	Bernardyna w.	7 Znam. Cz. kr.	4 0	7 54	9 2	3 21
Ś.	21	Julii p. m. i Wiktora m.	8 Joana Bohosł.	3 58	7 55	10 20	3 50
C.	22	**Boże Ciało.** Faustyna, Emila	9 Isaiji proroka	3 57	7 57	11 22	4 32
P.	23	Andrzeja Bob. i Juliana	10 Symona Zyl.	3 56	7 58	rano	5 29
S.	24	Joanny wd.	11 Mokija	3 54	7 59	12 6	6 40
2 po Z. Ś. O wezwaniu na wielką ucztę. Łuk. 14.				Długość dnia: 16 godz. 4 min.			
N.	25	Grzegorza VII i Urbana	12 **N. 5. O Samaryan.** Jepyt.	3 53	8 1	12 34	7 57
P.	26	Filipa Nerw. w. i Eleuterego	13 Hłykeryi	3 52	8 2	12 54	9 15
W.	27	Bedy w. i Jana pap.	14 Izydora mucz.	3 51	8 4	1 8	10 30
Ś.	28	Augustyna bw. i Lucyana	15 Pachomija Wełyk.	3 50	8 5	1 18	11 43
C.	29	Mar. Magd. Pazzi i Teod.	16 Teodora	3 49	8 6	1 27	12 54
P.	30	Feliksa pm., Ferd. k.	17 Andronika	3 48	8 7	1 36	2 5
S.	31	Anieli Meric. i Petroneli	18 Teod. Konst. i Jełeny	3 47	8 9	1 45	3 18

Zmiany księżyca. Nów: 6-go maja o 9 przed południem. Pierwsza kwadra: 13-go maja o 1 po południu. Pełnia: 20-go maja o 8 przed południem. Ostatnia kwadra: 28-go maja o 1 rano.

Pierwszego maja deszcz,
Nieurodzaju wieszcz,
Na pierwszy maja szron,
Obiecuje dobry plon.
Pankracy, Serwacy, Bonifacy,
Źli na ogrody chłopacy.

Gdy się maj grzmotem odezwie o wschodzie,
Rok sprzyja ziarnu i zboże w urodzie.
Na Zesłanie Ducha,
Gdy ziemię deszcz zleje,
Trwoży się gospodarz,
Który żyto sieje.

CZERWIEC.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g. m.	SŁOŃCA zachód g. m.	KSIĘŻYCA wschód g. m.	KSIĘŻYCA zachód g. m.
		3 po Z. Ś. O zgubionej owcy i o groszu. Łuk. 15.		Długość dnia: 16 godz. 19 m.			
N.	1	Jakóba b. w. i Fortunata	19 **N. 6. O Sliporożdennom**	3 46	8 10	1 54	4 35
P.	2	Marcelina i Bland.	20 Tałałeja	3 45	8 11	2 6	5 55
W.	3	Erazma m.	21 Konstantyna i Jełeny	3 44	8 12	2 23	7 18
Ś.	4	Franciszka Caracc.	22 Św. mucz. Wasyliska	3 43	8 13	2 47	8 40
C.	5	Bonif. bm., Faustyna i Zen.	23 **Woznesen.Hosp.** Mych.	3 43	8 14	3 22	9 51
P.	6	Norberta i Pauliny	24 Symeona	3 42	8 15	4 15	10 46
S.	7	Roberta op. w. i Sabiniana	25 Obr. hł. Joanna krest.	3 42	8 16	5 28	11 24
		4 po Z. Ś. O obfitym połowie ryb. Łuk. 5.		Długość dnia: 16 godz. 29 m.			
N.	8	Medarda i Wilhelma	26 **N. 7. S. Otec.** Obr. Hławy	3 41	8 17	6 55	11 49
P.	9	Felicyana m. i Pelagii	27 Teraponta	3 41	8 18	8 26	rano
W.	10	Małgorzaty kr.	28 Prep. O. Nykity ep.	3 40	8 18	9 56	12 7
Ś.	11	Barnaby ap.	29 Teodozyi	3 40	8 19	11 24	12 20
C.	12	Eschila, Jana i Onufrego	30 Izaakja	3 39	8 20	12 51	12 32
P.	13	Antoniego z Pad. w.	31 Jermeja	3 39	8 21	2 16	12 43
S.	14	Bazylego b.	1 **Ijun.** Justyna	3 39	8 21	3 43	12 54
		5 po Z. Ś. O sprawiedliwości Faryzeuszów. Mat. 5.		Długość dnia: 16 godz. 32 m.			
N.	15	Wita Modesta m. i Germ.	2 **Soszestw. św. Ducha**	3 39	8 22	5 12	1 7
P.	16	Benona bw., Justyny i Lud.	3 **Preświatoj Trojcy**	3 39	8 22	6 39	1 24
W.	17	Adolfa b. i Jolanty wd.	4 Mitrofana p. Konst.	3 39	8 23	8 1	1 49
Ś.	18	Marka i Marceliana mm.	5 Doroteja	3 39	8 23	9 10	2 25
C.	19	Juliany Fal. i Gerw. i Prot.	6 Wissaryona	3 39	8 23	10 0	3 16
P.	20	Sylwerego pm. i Florentyny	7 Teodota	3 39	8 24	10 34	4 22
S.	21	Alojzego Gonzagi w.	8 Fteodora str.	3 39	8 24	10 57	5 38
		6 po Z. Ś. O nakarmieniu 4000 ludzi. Mar. 8.		Długość dnia: 16 godz. 32 m.			
N.	22	Serca Jezus. Paulina m.	9 **N. 1. Wsich Swiatych**	3 39	8 24	12 13	6 56
P.	23	NMP. Nieust. Pomocy. Agrypiny	10 Tymoteja	3 40	8 24	11 25	8 13
W.	24	Nar. ś. Jana Chrz.	11 Wartołomeja	3 40	8 24	11 35	9 27
Ś.	25	Wilhelma op. i Febronii p.	12 Onufrya pustyn.	3 40	8 24	11 43	10 38
C.	26	Jana i Pawła br. mm.	13 Akiliny i Tryfylla	3 41	8 24	11 52	11 49
P.	27	Władysława króla w.	14 Jełysseja proroka	3 41	8 24	rano	1 0
S.	28	Leona pap. wyz.	15 Amosa proroka	3 42	8 24	12 1	2 14
		7 po Z. Ś. O fałszywych prorokach. Mat. 7.		Długość dnia: 16 godz. 26 m.			
N.	29	**Piotra i Pawła ap.**	16 **N. 2. Preśw. Eucharyst.**	3 42	8 24	12 12	3 32
P.	30	Wspom. ś. Pawła i Emiliany	17 Manuiła mucz.	3 42	8 24	12 26	4 54

Zmiany księżyca. Nów: 4-go czerwca o 9 wieczorem. Pierwsza kwadra: 11-go czerwca o 6 po południu. Pełnia: 18-go czerwca o 7 wiecz. Ostatnia kwadra: 26-go czerwca o 7 wieczorem.

Czerwiec stały, grudzień doskonały.
Kiedy się Medard rozwodni,
Będą deszcze sześć tygodni.
Ze świętą Małgorzatą,
Zaczyna się lato.

Czerwiec gdy zagrzmi, gdy zorze zachodzą,
Ryby się znacznie i obficie rodzą.

Kiedy człowiek łąkę kosi,
Lada baba deszcz uprosi.

LIPIEC.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g. m.	SŁOŃCA zachód g. m.	KSIĘŻYCA wschód g. m.	KSIĘŻYCA zachód g. m.
W.	1	Krwi P. J. Rumolda	18 Leontija mucz.	3 43	8 24	12 46	6 16
Ś.	2	Nawiedz. NMP. Otona b.	19 Judy ap.	3 44	8 23	1 15	7 33
C.	3	Anatola b. w., Heliodora m.	20 Metodya św. m.	3 44	8 23	2 1	8 36
P.	4	Ireneusza bm. i Uldaryka b.	21 Julijana mucz.	3 45	8 22	3 7	9 21
S.	5	Anton. Zacc. i Filomen.	22 Sostr. pr. Boh. Jewsewija	3 46	8 22	4 31	9 52
		8 po Z. Ś. O niesprawiedliwym szafarzu. Łuk. 16.		Długość dnia: 16 godz. 27 m.			
N.	6	Izajasza pror. i Dominiki	23 **N. 3.** Ahrypiny m.	3 47	8 21	6 4	10 12
P.	7	Cyryla i Met., Klaud. bw.	24 **Roždest. Joanna kr.**	3 48	8 21	7 38	10 27
W.	8	Jana z Dukli i Elżbiety kr.	25 Feuronyi prep. mucz.	3 49	8 20	9 10	10 40
Ś.	9	Weroniki i Mikołaja m.	26 Dawyda prepod.	3 50	8 20	10 38	10 51
C.	10	7 Braci męcz. Aleks. i Amal.	27 Sampsona	3 51	8 19	12 4	11 2
P.	11	Piusa p. m., Pelagii i Sabina	28 Kyra i Joann.	3 52	8 18	1 31	11 14
S.	12	Jana Gwalb. i Marcyany	29 **Ap. Petra i Pawła**	3 53	8 17	2 58	11 29
		9 po Z. Ś. O zburzeniu Jerozolimy. Łuk. 19.		Długość dnia: 16 godz. 3 m.			
N.	13	Małgorzaty p. i Anakleta	30 **N. 4.** Sobór śś. 12 Apost.	3 54	8 16	4 25	11 51
P.	14	Bonawentury bw. i Marcel.	1 **Ijuł.** Kosmy i Damiana	3 55	8 15	5 48	rano
W.	15	Rozesł. śś. Ap. i Henryka	2 Położ. ryzy Pr. Bohor.	3 56	8 14	7 0	12 22
Ś.	16	Szkaplerza NMP. i Eustach.	3 Jakinta mucz.	3 58	8 13	7 56	1 7
C.	17	Aleksego w. i Marceliny p.	4 Andreja kryt.	3 59	8 12	8 35	2 8
P.	18	Szymona z Lip. i Kamilla	5 Kiryłła i Methodya	4 0	8 11	9 1	3 21
S.	19	Wincentego z Pauli	6 Atanazya	4 1	8 10	9 19	4 39
		10 po Z. Ś. O faryzeuszu i celniku. Łuk. 18.		Długość dnia: 15 godz. 46 m.			
N.	20	Czesława i Hieronima ww.	7 **N. 5.** Ftomy pr.	4 3	8 9	9 32	5 56
P.	21	Dan., Praksedy i Wiktoryi	8 Prokopija mucz.	4 4	8 7	9 42	7 11
W.	22	Maryi Magdaleny	9 Pankratija	4 6	8 6	9 51	8 24
Ś.	23	Apolinarego bm. i Liborego	10 42 mucz. nikopol.	4 7	8 5	9 59	9 35
C.	24	Krystyny p. i Franc. Sal.	11 Eufymiji. Olhy	4 8	8 3	10 8	10 45
P.	25	Jakóba ap. i Krzysztofa	12 Prokła i Iłarya	4 10	8 2	10 18	11 57
S.	26	Anny, matki NP. i Olimp.	13 Hawryiła arch., Stefana	4 11	8 0	10 30	1 12
		11 po Z. Ś. O uzdrowieniu głuchoniemego. Mar. 7.		Długość dnia: 15 godz. 25 m.			
N.	27	Pantaleona, Aurelii i Natal.	14 **N. 6.** Akyły ap.	4 13	7 59	10 46	2 31
P.	28	Wiktora. Innoc. i Botwida	15 Władymira	4 14	7 57	11 10	3 52
W.	29	Kunegundy p.	16 Atynogena	4 16	7 56	11 47	5 11
Ś.	30	Abdona i Julity mm.	17 Mariny w mucz.	4 17	7 54	rano	6 20
C.	31	Ignacego Loyoli i Heleny	18 Emiliana	4 19	7 53	12 43	7 14

Zmiany księżyca. Nów: 4-go lipca o 6 przed południem. Pierwsza kwadra: 10-go lipca o 11 wiecz. Pełnia: 18-go lipca o 7 przed połudn. Ostatnia kwadra: 26-go lipca o 11 przed południem.

Kiedy w lipcu słońce grzeje,
Ciało ludzkie wnet słabieje;
Przeto, ku swojemu zdrowiu,
Lekarstwo miej w pogotowiu.

Deszcz na Nawiedzenie Panny,
Pogoda pewna do Zuzanny.
W dzień św. Jakóba chmury,
Będą w zimie śniegu fury.

Od św. Anki, zimne wieczory i ranki.

SIERPIEŃ.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g.	m.	zachód g.	m.	KSIĘŻYCA wschód g.	m.	zachód g.	m.
P.	1	Piotra w okowach i Fausta	19 Makryny	4	20	7	51	2	0	7	51
S.	2	NMP. Anielskiej i Alfonsa	20 Iłyi proroka	4	22	7	49	3	31	8	15
		12 po Z. Ś. O miłosiernym Samarytaninie. Łuk. 10.		Długość dnia: 15 godz. 8 m.							
N.	3	Znal. ś. Szczepana i Lidyi	21 **N. 7.** Symeona pr.	4	23	7	47	5	8	8	32
P.	4	Dominika wyzn.	22 Maryi Mahdał.	4	25	7	46	6	44	8	46
W.	5	NMP. Śnieżnej i Osw.	23 Trofima i Teofyła	4	27	7	44	8	16	8	57
Ś.	6	Przemienienie Pańskie	24 Chrystyny mucz.	4	28	7	42	9	46	9	8
C.	7	Kajetana w., Don. i Alberta	25 † Uspen. Św. Anny	4	30	7	40	11	15	9	20
P.	8	Cyryaka i Emiliana b. m.	26 Jermołaja mucz.	4	31	7	38	12	44	9	35
S.	9	Romana i Juliana mm.	27 Pantełejmona	4	33	7	36	2	12	9	55
		13 po Z. Ś. O dziesięciu trędowatych. Łuk. 17.		Długość dnia: 15 godz. 8 m.							
N.	10	Wawrzyńca ar. i Pauli m.	28 N. 8. Prochora ap.	4	35	7	35	3	38	10	23
P.	11	Tyburcego, Zuzan. i Filom.	29 Kałłynyka mucz.	4	36	7	33	4	54	11	3
W.	12	Klary p. i Hilaryi m.	30 Syły i Syłuana	4	38	7	31	5	54	11	59
Ś.	13	Hipolita, i Radegundy	31 Eudokiji	4	39	7	29	6	37	rano	
C.	14	Euzebiusza b. i Atanazyi †	1 **Awhust.** Proisch Kr.	4	41	7	27	7	6	1	8
P.	15	**Wniebowzięcie NMP.**	2 Pr. moszczej św. Stefana	4	43	7	25	7	26	2	24
S.	16	Rocha w. i Tarsycyusza m.	3 Isaakya prepod.	4	45	7	23	7	40	3	42
		14 po Z. Ś. O służeniu Bogu i mamonie. Mat. 6.		Długość dnia: 14 godz. 45 m.							
N.	17	Liberata op. m. i Juliany m.	4 **N. 9.** Sedmy Otr.	4	46	7	21	7	51	4	58
P.	18	Agapita m. i Firmina b. m.	5 Ewsygnia mucz.	4	48	7	19	8	0	6	11
W.	19	Jacka w. i Juliusza m.	6 **Preobrażenije Hosp.**	4	50	7	16	8	8	7	23
Ś.	20	Bernarda op. i Samuela pr.	7 Dometya	4	51	7	14	8	16	8	33
C.	21	Joanny Franc. de Chant.	8 Emyliana jep.	4	53	7	12	8	25	9	44
P.	22	Tymot., Hipol., i Antonina	9 Mathija apost.	4	55	7	10	8	36	10	57
S.	23	Filipa Benic. w. i Waler.	10 Ławrentyna mucz.	4	56	7	8	8	50	12	13
		15 po Z. Ś. O wskrzeszeniu młodzieńca z Naim. Łuk. 7.		Długość dnia: 14 godz. 19 m.							
N.	24	Bartłomieja ap.	11 **N. 10.** Jewpła m.	4	58	7	6	9	10	1	32
P.	25	Ludwika kr. i Patrycyi p.	12 Fotia mucz.	5	0	7	3	9	40	2	51
W.	26	Zefiryna pm.	13 Maksyma ispowid.	5	1	7	1	10	26	4	4
Ś.	27	Przen. ś. Kaźm. i Józ. Kal.	14 Michea proroka	5	3	6	59	11	31	5	3
C.	28	Augustyna bwdk. i Aleks.	15 **Uspenije pr. Bohorod.**	5	5	6	57	rano		5	46
P.	29	Ścięcie św. Jana i Sabiny	16 Nerukotwor Obraza H.	5	6	6	55	12	55	6	16
S.	30	Róży Limańskiej i Feliksa	17 Myrona mucz.	5	8	6	52	2	29	6	36
		16 po Z. Ś. O uzdrowieniu opuchłego. Łuk. 14.		Długość dnia: 13 godz. 54 m.							
N.	31	Rajmunda w. i Paulina bm.	18 **N. 11.** Flora i Ław.	5	10	6	50	4	6	6	51

Zmiany księżyca. Nów: 2-go sierpnia o 2 po południu. Pierwsza kwadra: 9-go sierpnia o 5 rano. Pełnia: 16-go sierpnia o 9 wieczorem. Ostatnia kwadra: 25-go sierpnia o 1 rano. Nów: 31-go sierpnia o 10 wieczorem.

Czego sierpień nie dowarzy,
Tego wrzesień nie doparzy.
Gdy na św. Bernarda ziemia twarda,
Zima będzie harda.

Lekarstwo często nie służy —
W sierpniu, jeśliś zdrów i duży,
Nie skąp sobie, nie cierp głodu,
Wypij spory kufel miodu.

WRZESIEŃ.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g. m.	SŁOŃCA zachód g. m.	KSIĘZYCA wschód g. m.	KSIĘZYCA zachód g. m.
P.	1	Bronisławy p. i Idziego op.	19 Andrea Str.	5 11	6 48	5 42	7 3
W.	2	Joachima w. i Stefana kr.	20 Samuiła	5 13	6 45	7 16	7 15
Ś.	3	Zenona i Eufemii p. mm.	21 Tadeja apost.	5 15	6 43	8 48	7 27
C.	4	Rozalii i Róży Wit. pp.	22 Agatonika mucz.	5 16	6 41	10 21	7 40
P.	5	Wawrzyńca i Justynian. b.	23 Łupa mucz.	5 18	6 39	11 53	7 58
S.	6	Zacharyasza pr. i Eugen.	24 Ewtycha mucz.	5 19	6 36	1 23	8 28
		17 po Z. Ś. O najprzedniejszem przykazaniu. Mat. 22.		Długość dnia: 13 godz. 26 m.			
N.	7	Anastazego i Reginy p. †	25 **N. 12.** Wartołomeja	5 21	6 34	2 41	9 0
P.	8	**Narodzenie Najśw. M. P.**	26 Adrijana m.	5 23	6 32	3 51	9 51
W.	9	Gorgoniusza i Sergiusza	27 O. Pimena Weł.	5 25	6 29	4 39	10 57
Ś.	10	Mikołaja z Tol. i Pulcher.	28 Mojseja muryna	5 26	6 27	5 11	rano
C.	11	Prota i Jacka mm., Teodory	29 Usikn. hławy Joanna	5 28	6 24	5 33	12 12
P.	12	Waleryana m. i Gwidona w.	30 Ałeksandra patr.	5 30	6 22	5 48	1 30
S.	13	Filipa Alex. i Amata b. w.	31 Położenie poj. Bohor.	5 31	6 20	6 0	2 46
		18 po Z. Ś. O uzdrowieniu powietrzem ruszonego. Mat. 9.		Długość dnia: 13 godz. 1 m.			
N.	14	Podwyż. św. Krzyża	1 **Sentiabr. N. 13.** Mamant.	5 33	6 17	6 9	4 0
P.	15	Nikodema m. i Emila	2 Symeona	5 35	6 15	6 18	5 12
W.	16	7 bol. NMP., Kornela i Cypr.	3 Antyma i Teoktysta	5 36	6 13	6 26	6 23
Ś.	17	Piętn. św. Franc., Justyn. †	4 Wawyły	5 38	6 10	6 34	7 34
C.	18	Józefa z K., Zofii i Ireny	5 Zachar. pror.	5 40	6 8	6 44	8 46
P.	19	Januarego m. i Konst. †	6 Czud św. Mychaiła arch.	5 41	6 5	6 57	10 1
S.	20	Eustachego z tow. i Zuz. †	7 Sozanta m., Makarya	5 43	6 3	7 14	11 18
		19 po Z. Ś. O szacie godowej. Mat. 22.		Długość dnia: 12 godz. 16 m.			
N.	21	Mateusza ap. i ew.	8 **N. 14. Rożdestwo P. B.**	5 45	6 1	7 40	12 36
P.	22	Tomasza z W. b.	9 Joakima i Anny	5 46	5 58	8 18	1 50
W.	23	Lina pm. i Tekli p.	10 Minodory	5 48	5 56	9 14	2 54
Ś.	24	NMP. Wykupu i Gerarda	11 Św. Fyłypa apost.	5 50	5 54	10 28	3 42
C.	25	Ładysława z Giel. i Kleofasa	12 Awtonoma mucz.	5 51	5 51	11 55	4 15
P.	26	Cypryana p. i Justyny	13 Kornyłija mucz.	5 53	5 49	rano	4 39
S.	27	Przen. św. Stan., Kos. i Dam.	14 **Wozd. Czestnaho Kr.**	5 55	5 46	1 29	4 56
		20 po Z. Ś. O uzdrowieniu syna królewskiego. Jan 4.		Długość dnia: 11 godz. 39 m.			
N.	28	Wacława m. i Eustachii	15 **N. 15.** Nykity m.	5 57	5 44	3 3	5 9
P.	29	Michała archanioła	16 Ewfymiji	5 58	5 42	4 37	5 21
W.	30	Hieronima w. i Zofii wd.	17 Sofiji	6 0	5 39	6 11	5 32

Zmiany księżyca. ☽ Pierwsza kwadra: 7-go września o 2 po południu. 🌕 Pełnia: 15-go września o 2 po południu. ☾ Ostatnia kwadra: 23-go września o 1 po południu. 🌑 Nów: 30-go września o 6 rano.

Św. Idzi kłoska w polu nie uwidzi.
Gdy w Narodzenie pogodnie,
Będzie tak cztery tygodnie.
Panna się rodzi, jaskółka odchodzi,
Ptaszki do Michała — już zima wstała.

Św. Mateusz dodaje chłodu,
I raz ostatni podbiera miodu.
Grzmot w dzień św. Michała
Żyzność przyszła, Bogu chwała.

PAŹDZIERNIK.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g. m.	SŁOŃCA zachód g. m.	KSIĘŻYCA wschód g. m.	KSIĘŻYCA zachód g. m.
Ś.	1	Remigiusza b. i Julii m.	18 Św. mucz. Minodory	6 2	5 37	7 45	5 45
C.	2	Aniołów Stróżów i Teofila	19 Trofyma mucz.	6 3	5 35	9 20	6 1
P.	3	Kandyda m. i Gerarda op.	20 Eustathia mucz.	6 5	5 32	10 55	6 24
S.	4	Franciszka Serafickiego	21 Kondrata apost.	6 7	5 30	12 24	6 56
		21 po Z. Ś. O dłużniku złośliwym i słudze. Mat. 18.		Długość dnia: 11 godz. 11 m.			
N.	5	NMP. Różańc., Placyda m.	22 **N. 16.** Foki mucz.	6 8	5 28	1 40	7 43
P.	6	Brunona w., Romana	23 Zaczat Joanna Pr.	6 10	5 25	2 36	8 45
W.	7	Marka pap. i Julii	24 Tekły Ap.	6 12	5 23	3 14	9 59
Ś.	8	Laurencyi i. Pelagii	25 Eufrosyniji prepod.	6 14	5 21	3 39	11 17
C.	9	Dyonizego b. i Ludwika w.	26 Joanna Bohosława	6 15	5 18	3 56	rano
P.	10	Franciszka Borg. i Pauliny	27 Kałłystrata mucz.	6 17	5 16	4 9	12 34
S.	11	Germana, Firm. bw. i Zenaj.	28 Charytona	6 19	5 14	4 19	1 48
		22 po Z. Ś. O monecie czynszowej. Mat. 22.		Długość dnia: 10 godz. 45 m.			
N.	12	Maksymiliana i Eustach.	29 **N. 17.** Kyriaka pr.	6 21	5 12	4 27	3 1
P.	13	Edwarda kr. i Daniela	30 Hryhorya mucz.	6 23	5 9	4 35	4 12
W.	14	Wincentego Kadłubka	1 **Oktiabr.** Pokrow Pr. B.	6 24	5 7	4 44	5 22
Ś.	15	Jadwigi księżn. i Teresy p.	2 Kypryana św. mucz.	6 26	5 5	4 54	6 34
C.	16	Saturnina m. i Florentyna	3 Dionysya	6 28	5 3	5 6	7 49
P.	17	Wiktora b. w. i Małgorzaty	4 Jerothea jep.	6 30	5 0	5 22	9 6
S.	18	Łukasza ew. i Tryfonii	5 Charytyny m.	6 32	4 58	5 45	10 24
		23 po Z. Ś. O wskrzeszeniu córki Jaira. Mat. 9.		Długość dnia: 10 godz. 17 m.			
N.	19	Piotra z Alk. i Pelagii p.	6 **N. 18.** Tomy ap.	6 33	4 56	6 18	11 40
P.	20	Przen. św. Wojc. i Ireny	7 Serhya i Wakha	6 35	4 54	7 7	12 47
W.	21	Jana Kantego i Urszuli	8 Pelagiji	6 37	4 52	8 14	1 39
Ś.	22	Filipa bm. i Korduli p.	9 Jakowa apost.	6 39	4 50	9 35	2 20
C.	23	Ignacego b. w. i Teodora	10 Ewłampija mucz.	6 41	4 48	11 3	2 42
P.	24	Rafała arch. i Feliksa	11 Fyłypa apost.	6 42	4 46	rano	3 0
S.	25	Chryzanta i Kryspina m.	12 Prowa mucz.	6 44	4 44	12 34	3 14
		24 po Z. Ś. O trędowatym i paralityku. Mat. 8.		Długość dnia: 9 godz. 52 m.			
N.	26	Ewarysta m. i Lucyana	13 **N. 19.** Karpa i P.	6 46	4 41	2 4	3 26
P.	27	Sabiny, Florentego i Iwona	14 † Paraskewiji	6 48	4 39	3 35	3 38
W.	28	Szymona i Tad. ap.	15 Eutymia i Łukiana	6 50	4 37	5 7	3 50
Ś.	29	Zenobiusza i Narcyza b.	16 Longina mucz.	6 51	4 35	6 41	4 4
C.	30	Marcela i Zenobii	17 Osiji, Andreja	6 53	4 33	8 17	4 23
P.	31	Lucyli m. i Antonina	18 Łuki jew. ap.	6 55	4 31	9 51	4 51

Zmiany księżyca. ☽ Pierwsza kwadra: 7-go października o 3 rano. Pełnia: 15-go października o 7 przed południem. ☾ Ostatnia kwadra: 22-go października o 12 wieczorem. Nów: 29-go października o 3 po południu.

Na święty Francisz,
Czego się po polu kręcisz?

Gdy nierychło liść opada
Zima wielka bywa rada.

Żółknie w polu wciąż trawa,
dla bydełka chudo,

Nie wesołać to sprawa,
idzie Szymon z Judą.

LISTOPAD.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g. m.	SŁOŃCA zachód g. m.	KSIĘŻYCA wschód g. m.	KSIĘŻYCA zachód g. m.
S.	1	**Wszyst. Świętych** Juliany	19 Joiła pror.	6 57	4 30	11 17	5 32
		25 po Z. Ś. O uciszeniu burzy na morzu. Mat. 8.		Długość dnia: 9 godz. 27 m.			
N.	2	*Dzień Zadusz.* Wiktoryna	20 **N. 20.** Artemja m.	6 59	4 28	12 24	6 29
P.	3	Huberta b. i Sylwii wd.	21 Iłariona	7 1	4 26	1 11	7 41
W.	4	Karola b. i Modesty p.	22 Awerkja	7 3	4 24	1 41	9 0
Ś.	5	Zacharyasza i Elżbiety	23 Jakowa apost.	7 5	4 22	2 2	10 19
C.	6	Feliksa m. i Leonarda w.	24 Arethy mucz.	7 6	4 20	2 16	11 35
P.	7	Amaranta m. i Florentego	25 Markyana u Martyrya	7 8	4 19	2 27	rano
S.	8	Opieki NMP. Sewera i Wikt.	26 **Sw. Dymytra mucz.**	7 10	4 17	2 36	12 48
		26 po Z. Ś. O kąkolu między pszenicą. Mat. 13.		Długość dnia: 9 godz. 2 m.			
N.	9	Teodora żoł. i Ursyna w.	27 **N. 21.** Nestora m,	7 12	4 15	2 45	1 59
P.	10	Andrzeja z Aw. Teoktysty	28 Paraskewiji	7 14	4 14	2 53	3 9
W.	11	Marcina b. i Felicyana	29 Anastazyi	7 16	4 12	3 2	4 21
Ś.	12	5 Braci Polaków, Chrystyana	30 Zynowija i Zynowiji	7 17	4 10	3 14	5 35
C.	13	Stanisława Kost.[1]). Dydaka	31 Stachija, Narkissa .	7 19	4 9	3 28	6 51
P.	14	Józafata Kunc. i Weneran.	1 **Nojabr.** Kosmy i Damian.	7 21	4 7	3 49	8 10
S.	15	Leopolda w. i Gertrudy p.	2 Akindyna, Pigasya	7 23	4 6	4 20	9 28
		27 po Z. Ś. O ziarnku gorczycznem. Mat. 13.		Długość dnia: 8 godz. 42 m.			
N.	16	Edmunda b. w. i Otmara	3 **N. 22.** Josyfa, Heortia	7 25	4 4	5 4	10 39
P.	17	Salomei p. i Grzegorza	4 Joanykia	7 26	4 3	6 7	11 36
W.	18	Anieli Mer. i Romana	5 Hałaktiona	7 28	4 2	7 24	12 17
Ś.	19	Elżbiety wd. i Poncyana p.[2])	6 Pawła archiep.	7 30	4 0	8 49	12 46
C.	20	Feliksa Wal., Eust. i Edm.	7 Jerona, Łazarya	7 32	3 59	10 17	1 6
P.	21	Ofiarowanie NMP.	8 **Sw. Arch. Mychaiła**	7 34	3 58	11 45	1 21
S.	22	Cecylii p. m. i Filemona	9 Onysyfora mucz.	7 35	3 57	rano	1 33
		28 po Z. Ś. O okropnem spustoszeniu. Mat. 24.		Długość dnia: 8 godz. 22 m.			
N.	23	Klemensa pap. i Lukrecyi	10 **N. 23.** Eresta ap.	7 37	3 55	1 12	1 44
P.	24	Jana od Krzyża, Flory	11 Miny mucz.	7 39	3 54	2 39	1 56
W.	25	Katarzyny p. i m.	12 Joana Myłost.	7 40	3 53	4 9	2 9
Ś.	26	Sylwestra op. i Piotra aleks.	13 Joanna Złatoust.	7 42	3 52	5 42	2 25
C.	27	Waleryana i Maksyma	14 Fyłypa apost.	7 44	3 51	7 16	2 48
P.	28	Mansweta i Grzegorza III p.	15 Hurya, Samona	7 45	3 50	8 46	3 22
S.	29	Saturnina m. i Illuminaty	16 Matftea ewang.	7 47	3 50	10 3	4 12
		1 Adwentu. O znakach na niebie i na ziemi. Łuk. 21.		Długość dnia: 8 godz. 7 m.			
N.	30	Andrzeja ap. i Justyny p.	17 **N. 24.** Hryhorya	7 48	3 49	11 1	5 19

[1]) Uroczystość kościelna obchodzi się w niedzielę po 13-tym.
[2]) Dzień pokuty i modlitwy.

Zmiany księżyca. ☽ Pierwsza kwadra 5-go listopada o 8 wieczorem. Pełnia: 13-go listopada o 12 wieczorem. ☾ Ostatnia kwadra: 21-go listopada o 9 przed południem. Nów: 28-go listopada o 3 rano.

Wszyscy Święci, gdy jasnością nas uraczą,
A Zaduszki nie popłaczą,
Marcin mrozem nie zsiwieje:
Wówczas bracie miej nadzieję,

Że w Ofiarowanie masz piękne zaranie,
Na Niepokalaną rzeki nam nie staną,
I do Willi, dajmy na to,
Dotrwa babskie lato.

GRUDZIEŃ.

Dni		KALENDARZ rzymsko-katolicki	KALENDARZ grecko-katolicki	SŁOŃCA wschód g.	m.	zachód g.	m.	KSIĘŻYCA wschód g.	m.	zachód g.	m.
P.	1	Eligiusza b. i Natalii wd.	18 Płatona	7	50	3	48	11	39	6	37
W.	2	Bibianny p. i Aurel.	19 Awdja prorok.	7	51	3	47	12	4	7	58
Ś.	3	Franciszka Ksaw. i Hilaryi	20 Cb. Hryhorya Dekapoł.	7	52	3	47	12	21	9	17
C.	4	Barbary p. i Piotra Chryz.	21 **Wowedenije Pr. D. M.**	7	54	3	46	12	33	10	32
P.	5	Anastazego m. i Krysp.	22 Fyłymona apost.	7	55	3	46	12	43	11	44
S.	6	Mikołaja b. i w. †	23 Amfyłochya jep.	7	57	3	45	12	52	rano	
		2 Adwentu. O Janie we więzieniu. Mat. 11.		Długość dnia: 7 godz. 55 m.							
N.	7	Ambrożego bwdk.	24 **N. 25.** Ekataryny	7	58	3	45	1	0	12	54
P.	8	**Niep. Pocz. NMP.** i Mak.	25 Kłymenta papy	7	59	3	44	1	10	2	5
W.	9	Leokadyi p. i Waler.	26 Ałypja stołpa	8	0	3	44	1	20	3	17
Ś.	10	NMP. Loretańskiej i Julii	27 Jakowa mucz.	8	1	3	44	1	33	4	33
C.	11	Damazego p. i Sabina	28 Stefana Pr. mucz.	8	3	3	44	1	52	5	51
P.	12	Aleksandra i Dyonizyi	29 Paramona mucz.	8	4	3	44	2	18	7	10
S.	13	Łucyi, Eugeniusza i Otylii	30 Andreja apost.	8	5	3	44	2	58	8	25
		3 Adwentu. O świadectwie św. Jana. Jan 1.		Długość dnia: 7 godz. 50 m.							
N.	14	Izydora i Spirydyona b.	1 **Dekabr. N. 26.** Nauma.	8	6	3	44	3	56	9	28
P.	15	Wiktora m. i Waleryana	2 Awwakuma pr.	8	7	3	44	5	10	10	16
W.	16	Euzebiusza b. i Albiny	3 Sofonija	8	7	3	44	6	35	10	48
Ś.	17	Łazarza b. i Floryana †	4 Warwary mucz.	8	8	3	44	8	4	11	11
C.	18	Oczek. NPM. i Teotyma	5 Sawwy pr. mucz.	8	9	3	44	9	32	11	28
P.	19	Tymoteusza i Urbana †	6 **Nykołaja Czudotworca**	8	10	3	44	10	59	11	40
S.	20	Teofila, Juliusza i Eug. †	7 Amwrosia jep.	8	10	3	45	rano		11	52
		4 Adwentu. O Janie opowiadającym Chryst. Łuk. 3.		Długość dnia: 7 godz. 46 m.							
N.	21	Tomasza ap. i Sewer.	8 **N. 27.** Patapia pr.	8	11	3	45	12	25	12	3
P.	22	Zenona żołn. i Honor.	9 Nep. Zaczatije Boh.	8	11	3	46	1	51	12	15
W.	23	Wiktoryi p. i Magdaleny	10 Miny, Hermogena	8	12	3	46	3	20	12	29
Ś.	24	Adama i Ewy, Luc. †	11 Danyiła Stołpnyka	8	12	3	47	4	51	12	48
C.	25	**Boże Narodzenie**	12 Spiridona jep.	8	13	3	47	6	21	1	17
P.	26	**Szczepana pierwsz. męcz.**	13 Eustratija jepisk.	8	13	3	48	7	43	1	59
S.	27	Jana apost. i ewang.	14 Fyłymona	8	13	3	49	8	48	2	58
		1 po B. N. O proroctwie Symeona i Anny. Łuk. 2.		Długość dnia: 7 godz. 48 m.							
N.	28	Młodzianków i Wiktora	15 **N. 28.** Ełewterya j.	8	13	3	50	9	34	4	13
P.	29	Tomasza Kant. b. i Dawida	16 Ahhea proroka	8	14	3	51	10	4	5	34
W.	30	Sabina i Eug.	17 Danyiła proroka	8	14	3	52	10	24	6	55
Ś.	31	Sylwestra p. w. i Melanii	18 Sewestyana mucz.	8	14	3	53	10	39	8	13

Zmiany księżyca. ☽ Pierwsza kwadra: 5-go grudnia o 4 po południu. ◯ Pełnia: 13-go grudnia o 4 po południu. ☾ Ostatnia kwadra: 20-go grudnia o 5 po południu. ● Nów: 27-go grudnia o 4 po południu.

Gdy w św. Barbarę ostre mrozy,
To na zimę gotuj wozy.

A gdy roztajanie,
Każ opatrzyć sanie.

Wigilia jasna, św. Jan ciemny
Obiecują rok przyjemny.

Gdy się Chrystus przed pełnią urodzi,
W następny rok urodzaj dogodzi.

Skale stemplowe

według ustawy z dnia 13 grudnia 1862 Nr. 89 dz. u. p. i z dnia 8 marca 1876, Nr. 26 dz. u. p.

SKALA I. Na weksle	Należytość K.	Należytość h.	SKALA II. Na dokumenta, które ani pod I. ani pod III. skalę nie należą	Należytość K.	Należytość h.	SKALA III. na dokumenta prawne	Należytość K.	Należytość h.
do 150 K.	–	10	do 40 K.	–	14	do 20 K.	–	14
od 150 K „ 300 „	–	20	od 40 K „ 80 „	–	26	od 20 K „ 40 „	–	26
„ 300 „ „ 600 „	–	40	„ 80 „ „ 120 „	—	36	„ 40 „ „ 60 „	–	36
„ 600 „ „ 900 „	–	60	„ 120 „ „ 200 „	—	64	„ 60 „ „ 100 „	–	64
„ 900 „ „ 1.200 „	–	80	„ 200 „ „ 400 „	1	26	„ 100 „ „ 200 „	–	26
„ 1.200 „ „ 1.500 „	1	—	„ 400 „ „ 600 „	1	88	„ 200 „ „ 300 „	–	88
„ 1.500 „ „ 1.800 „	1	20	„ 600 „ „ 800 „	2	50	„ 300 „ „ 400 „	1	50
„ 1.800 „ „ 2.100 „	1	40	„ 800 „ „ 1.600 „	5	–	„ 400 „ „ 800 „	1	--
„ 2.100 „ „ 2.400 „	1	60	„ 1.600 „ „ 2.400 „	7	50	„ 800 „ „ 1.200 „	2	50
„ 2.400 „ „ 2.700 „	1	80	„ 2.400 „ „ 3.200 „	10	—	„ 1.200 „ „ 1.600 „	5	–
„ 2.700 „ „ 3.000 „	2	–	„ 3.200 „ „ 4.000 „	12	50	„ 1.600 „ „ 2.000 „	7	50
„ 3.000 „ „ 6.000 „	4	–	„ 4.000 „ „ 4.800 „	15	–	„ 2.000 „ „ 2.400 „	10	–
„ 6.000 „ „ 9.000 „	6	–	„ 4.800 „ „ 6.400 „	20	–	„ 2.400 „ „ 3.200 „	12	–
„ 9.000 „ „ 12.000 „	8	–	„ 6.400 „ „ 8.000 „	25	–	„ 3.200 „ „ 4.000 „	15	–
„ 12.000 „ „ 15.000 „	10	–	„ 8.000 „ „ 9.600 „	30	–	„ 4.000 „ „ 4.800 „	20	–
„ 15.000 „ „ 18.000 „	12	–	„ 9.600 „ „ 11.200 „	35	–	„ 4 800 „ „ 5.600 „	25	–
„ 18.000 „ „ 21.000 „	14	–	„ 11.200 „ „ 12.800 „	40	–	„ 5.600 „ „ 6.400 „	30	–
„ 21.000 „ „ 24.000 „	16	–	„ 12.800 „ „ 14.400 „	45	–	„ 6.400 „ „ 7.200 „	35	
„ 24.000 „ „ 27.000 „	18	--	„ 14.400 „ „ 16.000 „	50	—	„ 7.200 „ „ 8.000 „	40	
i t. d. i t. d.			i t. d. i t. d.			i t. d. i t. d.	45	
Za każde 3.000 K. wyżej dodaje się stempel po 2 K., suma niższa od 3000 K. za całkowitą wzięta być winna.			Wyżej 16.000 K. za każde 800 K. dodaje się stempel po 2·50 K., suma niższa od 800 K. za całkowitą ma być wzięta.			Wyżej 8000 K. za każde 400 K dodaje się stempel po 2·50 K, suma niższa od 400 K. za całkowitą wzięta być winna.		

§ 19. Pozycyą taryfy 83 B 2 ustawy z dnia 13 grudnia 1862 i § 19 ustawy z dnia 29 lutego 1864 ustanowiona wysokość opłaty od rachunków (kontów, wykazów i t. p.) na 2 hl. i 10 hl.; o tyle zmieniona zostaje, iż rachunki do 20 koron włącznie są bezwarunkowo (§ 12 ustawy z 9 lutego 1850 Nr. 50 dz. u. p.) wolne od opłaty; następnie, że od rachunków, wystawionych na mniejszą sumę niż 100 koron 2 hl. od każdego arkusza, zaś na sumę nad 100 koron 10 hl. od arkusza opłacać należy.

Pod rachunkami (kontami, notami, wykazami i t. p.) rozumieć należy wszelkie pisma, bez względu, czy one zawierają zapłatę, wystawiane przez kupców lub przemysłowców, na przedmioty ich handlu lub przemysłu, z powodu interesów wynikłych z ich zatrudnienia.

Obowiązek uiszczenia tej stałej opłaty zachodzi i wtenczas, jeżeli rachunki tego rodzaju wpisane są w treść korespondencyi kupieckiej (§ 9 ustawy z 22 lutego 1864), lub jeźli po nich dołączone są jako dodatek, załącznik i t. p.

Odpisy takich rachunków ulegają tej samej opłacie co i oryginały.

Wskazówki
dla udających się na audyencye i posłuchania
Do Wiednia:

U Jego Ces. i Król. Apost. Mości: I. Hofburg 1. w poniedziałek i czwartek. Pisemne zgłoszenia z podaniem prośby należy wnieść w piątek (na poniedziałek) i w poniedziałek (na czwartek) do c. k. gabinetowej kancelaryi I. Hofburg 1, Schweizerhof.

U Ministra spraw zewnętrznych i cesarskiego domu: I. Ballhauplatz 2, codziennie od godz. 1–2½, jeżeli niema konferencyi ministrów.

U Ministra wspólnego skarbu: Johannesgasse 5, po zgłoszeniu codziennie w południe.

U Ministra wojny: I. Am Hof 17, we wtorki i piątki w południe od godziny 12—1, jeżeli niema konferencyi ministrów.

U Ministra dla obrony kraj.: I. Herrengasse 7, we wtorek i piątek po zgłoszeniu od g. 1—2.

U Ministra spraw wewnętrznych: I. Wipplingerstrasse 11, codziennie w południe od godziny 12–2, jeżeli niema konferencyi ministrów.

U Ministra sprawiedliwości: I. Schillerpl. 4, w sobotę o godzinie 10 przed południem.

U Ministra skarbu: I. Himmelpfortgasse 8, w niedzielę o godzinie 3 po południu.

U Ministra wyznań i oświaty: I. Minoritenplatz 7, w środę i sobotę od godziny 10–3.

U Ministra handlu: I. Postgasse 8, w poniedziałek i czwartek po godzinie 10.

U Ministra kolei: I. Nibelungengasse 4, w sobotę od 10.

U Ministra rolnictwa: I. Liebiggasse 5, w środę i w sobotę o godz. 10½ przed południem.

U Ministra dla Galicyi: III. Rennweg 1, codziennie od 11 przed południem.

Do Lwowa:

U Marszałka kraj., codzień od godz. 12—2 z wyjątkiem wtorku i piątku.

U C. k. Namiestnika, co środy i niedziele od godziny 12, dla urzędników co wtorek.

U Prezydenta Trybunału apelacyjnego Dra Tchórznickiego, codzień od godziny 12–1 z wyjątkiem wtorku (sesyi).

U Prezydenta miasta Lwowa codziennie od godziny 12–1.

U Prezesa Wydziału krajowego (wicemarszałka) codzień od godz. 1–2 z wyjątkiem wtorku i piątku (dni sesyjne).

U Wiceprezydenta c. k. krajowej Dyrekcyi Skarbu codzień od godziny 12—1.

U Naczelników c. k. Sądu krajowego cywilnego, karnego, sądów powiatowych, miejsko-delegowanych SS. I. II. III., tudzież u pp. nadprokuratora i prokuratora państwa od godziny 12–1 (z wyjątkiem wtorku).

U Dyrektora kolei, codziennie od 12–1.

PRZEZ LĄDY I MORZA

SKARBIEC POWIEŚCI

niezwykłych przygód i humoru

z 50 ilustracyami

Nakładem Redakcyi „Nowin“
dziennika powszechnego.
Kraków, ul. Gertrudy 10.

Egzotyczni monarchowie.



. Rycina przedstawia paru »monarchów« z dalekich stron. Obrazek 1. to władca murzynów na Filipinach, cylinder i koszula to jego insygnia. Obrazek 2. przedstawia króla wysp »Świętych«, a obrazek 3. to władca z wysp Fidschi. Starzec ten liczy lat 90, co mu jednak nie przeszkadza brać udział w tańcach wojennych. Obrazek 4. to najbardziej cywilizowany władca z środkowej Afryki, a obrazek 5, kończący tę ciekawą kolekcyę, to król szczepu »Monbetus« w Afryce.

KAROL ROSNER.

ŻÓŁTA ŚMIERĆ.

W dniu dzisiejszym, 27 marca, o szóstej rano parowiec nasz wypłynął z Portau-Prince w Haiti na morze. Mieliśmy przepłynąć przez zatokę Meksykańską, a stamtąd przez ocean Atlantycki dotrzeć do Bahii. Było nas razem na okręcie ośmnastu. W kajutach kapitan, sternik, lekarz okrętowy, ja i dwóch pasażerów jeszcze, a w przedziałach zwykłych — kucharz, palacz i marynarze. Ładunkiem okrętu był cukier i świeże drzewo. Czas mieliśmy wspaniały, choć upalny nieco. Lekki wiatru wschodniego powiew popychał nas naprzód. Przeleżałem całe przedpołudnie na pokładzie pod dachem z płótna żaglowego, mile kołysząc się. Wszystko zdawało się wróżyć, że odbędę podróż przepiękną.

30 marca.

Dziś z rana zarzuciliśmy kotwicę przed Świętym Tomaszem. Kapitan wysłał do lądu łódź wielką, która nam miała dostarczyć świeżej wody. Po raz ostatni zatrzymaliśmy się przed lądem, wśród wysp archipelagu zachodnio-indyjskiego. Przybyło nam dwóch pasażerów jeszcze: murzyn, wynajęty w zastępstwie majtka i Portugalczyk pewien, człowiek o wyglądzie kwaśnym i nieprzyjemnym.

Po upływie trzech dni mieliśmy już na statku *żółtą febrę*. Poniżej postaram się spisać wrażenia, jakich w ciągu tych dni okropnych doświadczyłem bez liku.

Portugalczyk dostał tegoż dnia jeszcze wieczorem dreszczy wstrząsających. Już w południe narzekał na uczucie bezsilności i ból głowy. Brano to jednak za zwykłe choroby morskiej objawy i nie zwracano uwagi większej. Człowiek ten zajmował kajutę tuż obok mojej za ścianą. Spał tam wraz z jednym pasażerem jeszcze.

Kapitan zamknął za sobą drzwi starannie i głosem przyciszonym zdawał sprawę z zgrozy sytuacyi. Mówił krótko, zwięźle i jasno.

Przedewszystkiem załoga nie powinna wiedzieć o niczem. Ludzie wylękną się, znikłaby wówczas karność wszelka. Przypadek obecny może być wszak pojedynczy tylko, doktór przedsięweźmie natychmiast odpowiednie zabiegi odkażające; on sam wyda z rana rozkazy. W danym momencie niebezpieczeństwo nie zagraża nikomu — spokój zatem, krew zimna i oględność.

Wysłuchaliśmy w milczeniu, poczem pożegnaliśmy się nawzajem i rozeszli w swe strony. Jeden tylko ten, który z Portugalczykiem dzielił kajutę nie wrócił już, zabrał go bowiem kapitan do siebie.

Rzuciłem się na matę i przez chwilę leżałem, walcząc z myślami. Dokoła panowała cisza zupełna, chwilami tylko przerywana chrypliwym jękiem, który dochodził mnie z kajuty sąsiedniej, oddzielonej przepierzeniem z desek.

Okręt płynął spokojnie i gładko, szruba pracowała i odczuwałem dokładnie głuche jednostajne wstrząśnienia jej. Tak strasznie było parno, że nie mogłem doleżeć na łóżku; wstałem więc znowu i otworzyłem lukę.

Świtało już; ciemno-oliwkowa barwa widnokręgu zdawała zlewać się z szarzyzną wód. Patrzyłem długo, aż wreszcie dostatecznie ochłodziłem się. Należało zamknąć okno i kłaść się spać. W tej chwili jednak zdjął mnie lęk jakiś. Poprostu bałem się zagłębić w ciemne kajuty mej czeluście, jak gdyby jakiś wróg nieznany czatował tam na mnie, zaczajony w kącie.

W ten sposób walczyłem sam ze sobą przez chwil kilka, aż w końcu rozum zwyciężył. Przestrach był śmieszny i nieuzasadniony. Przecie drzwi kajuty zamknąłem sam na rygiel... Cóż zatem mogło grozić mi i któżby zresztą chciał grozić? Pomału odsunąłem się od okna i do hamaka doszedłem po omacku.

W ciągu nocy wybuchła gorączka nagle. Słyszałem, jak na łóżku przewracał się, stękał, wołał i przeklinał.

W czas jakiś dobiegły mnie kroki z korytarza i rozróżniałem wyraźnie głos kapitana, doktora i pasażera, który z Portugalczykiem owym zajmował kajutę. Ponieważ w pokoiku

moim było nadzwyczaj parno i zasnąć nie mogłem, wstałem więc, ubrałem się i pospieszyłem do kabiny obok.

Wchodząc, widziałem, jak lekarz kładł właśnie na stole strzykawkę Paraz'a, którą przed chwilą miał w ręku.

Chory leżał na wpół odkryty, miał twarz pałającą i spoglądał na nas dziwnie nieruchomym, osłupiałym wzrokiem. Na zapytanie lekarza, jak się czuje, poruszył tylko głową i wybełkotał coś, czego nie zrozumiał nikt z obecnych. Żółtawy, obłożony język, obrzmiały wyraźnie, z trudnością poruszał się między szczękami. W milczeniu zmierzył lekarz ciepłotę. spojrzał na termometr, a potem na nas znacząco. Na propozycyę lekarza udaliśmy się wszyscy do kajuty kapitana na naradę.

Portugalczyk przysiadł na łóżku i zdawał się łykać powietrze chciwie, jak człowiek, któremu tchu brakuje. Wyszliśmy z kajuty; pamiętam, jak na odchodnem ostrożnie ułożono pacyenta na macie.

Czas jakiś zatrzymał się na progu sternik okrętu i przyglądał choremu. W końcu pokiwał głową i milcząc, podążył za nami. Żaden z nas nie przemówił ani słowa; pamiętam tylko, że wszyscy byliśmy bardzo bladzi. I dopiero w kajucie kapitana padło straszne, a przejmujące trwogą słowo: »Żółta febra!«

Po przez luki kajuty widać było morze. Ani jednej zmarszczki na szaro-ołowianej, ciemnej powierzchni wód. Na pokładzie czuwała warta. Słyszałem wyraźnie kroki jej tu i tam. Co do nas, baliśmy się spojrzeć na siebie. Staliśmy tak czas jakiś bezradnie w oczekiwaniu lekarza i kapitana.

Gdy nadeszli, rozwiały się wątpliwości ostatnie.

Nazajutrz rano kapitan dokonał generalnego przeglądu okrętu. Traf zrządził że w bocznych tegoż przedziałach zebrało się wody zadużo; zaraz tedy zapędził ludzi do roboty, kazał pompować, szorować, wycierać i t. d.

Tegoż dnia było daleko chłodniej, niż wprzódy.

Lekarz obiecywał sobie wiele dobrego z takiego oziębienia się aury, nadzieja wstąpiła w nas wszystkich, w tych, którzy wiedzieli o zasłabnięciu pasażera. Sternik tylko melancholijnie kręcił głową i przeklinał, na czem świat stoi, wiatr południowo-zachodni, który od ranka samego dął z boku.

Zapytałem lekarza półgłosem, co z chorym dzieje się. Wzruszył ramionami: gorączka, wymioty, krwotok z nosa i gardła; zatem słaba, bardzo słaba nadzieja.

Gdy wieczorem udałem się do kajuty swej, by włożyć surdut cieplejszy, poczułem, po otworzeniu drzwi, szczególny, przykry odór jakby z padliny. Wprost do nudności. Otworzyłem lukę w tej chwili i starałem się odkryć źródło zaduchu.

Przez jakiś czas poszukiwania moje były daremne. Nagle wzdrygnałem się... Tak jest — nie ulega wątpliwości najmniejszej. Odór przedostawał się wyraźnie z kajuty obok. Cienkie i źle spojone deski pozostawiały otworów wiele i przez otwory te przedostawało się do mnie powietrze, panujące w kabinie chorego.

Serce zabiło mi gwałtownie i stałem tak chwilkę, nie wiedząc, co począć. Zoryentowałem się wreszcie w sytuacyi i pobiegłem do kapitana, a ten usłyszawszy, o co chodzi, udał się na dół wraz z lekarzem, ażeby o stanie rzeczy przekonać się naocznie.

Przybywszy na miejsce i sprawdziwszy istotę faktu, obaj panowie zalecali mi tem goręcej dyskrecyę najzupełniejszą.

Odór, sam przez się, mówił lekarz nie dowodzi jeszcze niczego, należy tylko wystrzegać się zarazy drogą bezpośredniego z chorym zetknięcia się.

Kapitan przyniósł zaraz chusty, obficie namoczone w occie i pozatykał niemi szpary w przepierzeniu.

Noc przepędziłem bezsennie niemal. Ostry zapach octu, w powietrzu unoszący się, drażnił mnie nieprzyjemnie. Nie mogłem otworzyć okna, ponieważ noc była zimną. W dodatku dokuczało mi pragnienie piekielne, tak że mi język przylegał do podniebienia poprostu. Leżałem, męcząc się w ten sposób czas długi. I opadły mnie myśli przerażające, niby rój tworów fantazyi.

Byłże to już początek? zaczynałem odczuwać mocny ból głowy. Okręt lekko kołysał się na prawo i na lewo i jak gdyby coraz niżej zagłębiał się w falach.

Słyszałem, jak te ostatnie z pluskiem dostają się na pokład. Miałem oczy zamknięte,

a jednak zdawało się, że wszystkie okalająee mnie przedmioty oddają mi ironiczne ukłony jakieś. Czyżby to była już febra?

Mamże umierać bez ratunku?

I nagle wyłoniła mi się z głowy, niczem pot z pod skóry, myśl przejmująca zgrozą: a może ja już tak samo wyglądam, jak Portugalczyk ów żółty, o zapadniętej twarzy?

Usnąłem nad ranem dopiero snem niespokojnym i pełnym mar złowrogich, a obudziło mnie stękanie i chrapanie Portugalczyka, który na łóżku przewracał się i z wściekłością uderzał o ścianę.

Przed południcm zdawało się, że choremu jest lepiej, niebawem jednak nastąpił atak gwałtowny z krzykiem i rzucaniem się, poczem pacyent spadł z łóżka i skonał.

Widziałem trupa przez drzwi: miał twarz brązową, jak mahoń i oczy dziwnie szklane, szeroko rozwarte, nadające zmienionym rysom twarzy wyraz przerażający. O g. 5 po południu spuszczono zwłoki do głębin morskich.

* * *

Lekarz zawiadomił załogę, że chory umarł na kolkę wątrobianą. Przypuszczam jednak, iż przyczyna prawdziwa znaną już była wszystkim bez wyjątku.

Wypadek powyższy dziwnie zaciężył brzemieniem swem na obsadzie. Niechętnie omawialiśmy go, a jednak wszelka, choćby na inny temat wszczęta rozmowa kończyła się komentowaniem wypadku z Portugalczykiem. Rozmowę przeplatano żartami i usiłowano nadać sobie wygląd wesoły, jak gdyby nikomu z nas niebezpieczeństwo nie groziło żadne. Sztuczne to podniecenie jednak nie trwało długo; wypadki następne sprowadziły jego kres niebawem...

Dziś rano znaleziono martwym kucharza w hamaku.

Człowiek ten sypiał osobno od innych, w kuchni. Od wczoraj narzekał na osłabienie kończyn, gorączkę i pragnienie, przyczem twarz mu pożółkła i zmizerniał wyraźnie.

Teraz już ludzie zrozumieli tragizm położenia swojego najzupełniej. Przestano dowcipkować i udawać zuchów.

Kręcono się po pokładzie w milczeniu, z zaciśniętemi wargami, nie patrząc jeden na drugiego. Ludzie dokonywali robót, jak zwykle, a jednak dziwny upór jakiś i zamknięcie w sobie malowało się na twarzy każdego i zdradzało w ruchach.

I pierwszy palacz czuł się osłabionym niezwykle, a dwaj majtkowie musieli się położyć. Z rozkazu lekarza odkażano wszelkie ubikacye okrętu siarką. Obnoszono ją na rozżarzonej do czerwoności patelni. Siarka gorzała płomykiem sinym i wypełniała mocnym, gryzącym odorem swym kajuty i korytarze statku. Nigdzie nie można było ukryć się przed wonią przykrą, która drażniła nerwy i oddziaływała na człowieka oszałamiająco.

Przebywałem już teraz stale na pokładzie, na dole bowiem niepodobna było wytrzymać. Ale i na pokładzie przykrzyło się, gdyż upał stawał się z dniem każdym co raz większy.

Na maszcie zawiesiliśmy żółtą flagę — ostrzeżenie, by żaden okręt nie zbliżał się. Jak trędowaci byliśmy sygnałem tym odcięci od świata. Nie wolno było zawinąć do portu, ani do brzegów podpłynąć. Atmosfera duszna, powierzchnia mórz spokojna, nieruchoma prawie. Upał doprowadzał do omdlenia. Żadnego ruchu na rejach, jak martwe zwieszały się liny i powrozy okrętu, tylko szruba pracowała zajadle i pruła drogę po gnuśnej, ołowianej powierzchni fal, przechodzącej zdaleka w barwę sepii, tak, że zdawało się, iż jakiś ciemny pierścień śmierci zamyka nas zewsząd.

Wdałem się raz z lekarzem w rozmowę dłuższą. Staliśmy obaj pochyleni, oparci o poręcz na przedniej części pokładu i bezmyślnie przyglądaliśmy się falom morskim. Lekarz mówił mi, że żółta febra jest cierpieniem, które zaliczyć należy bez kwestyi do chorób zakaźnych. Wywoływać ją musi drobnoustrój swoisty. Żaden z badaczy jednak nie wyosobnił jeszcze mikroba tego. Wszystko przemawia za tem, że mikrob istnieje, dotąd wszelako nikt nie oglądał go jeszcze pod mikroskopem.

A potem powiedział mi, że jak tylko jakąbądź drogą mikrob ów dostanie się do ustroju ludzkiego, natychmiast, a czasem w kilka tygodni dopiero lub miesięcy wywołuje gorączkę. Zapytałem się, w jaki sposób drobnoustrój może się do nas przedostać.

— Prawdopodobnie przez drogi oddechowe.

— A więc przez usta i płuca?

— Tak jest, ale możemy przyjąć go wraz z pożywieniem. Możemy zarazić się w najrozmaitszy nawet sposób.

— Zarodek buja zatem w powietrzu?

Lekarz potrząsnął głową:

— Jest wszędzie — w wodzie i w powietrzu, w napoju i jadle, czepia się prawdopodobnie i drzewa: wszędzie przyczajony czyha i rzuca się na nas!

Instynktownie odsunąłem się od baryery i zacząłem trzeć rękoma o żakiet. Doktór zauważył to i uśmiechnął się.

— Wszystko to rzekł — na nic, tylko krew zimna może nas ocalić.

Tak zeszło nam jeszcze dwa dni.

Palacze i dwaj majtkowie, którzy zachorowali zmarli. Zachorował też maszynista. Na statku brakło ludzi do obsługi maszyn.

Kapitan kazał drugiemu palaczowi pełnić służbę maszynisty, a majtkom służbę palaczy. Było to nad siły tych ludzi. Wśród reszty załogi poczęto szemrać. »Bez pomocy zginęliśmy!«

A tymczasem prawo morskie zabrania okrętom zapowietrzonym zbliżać się do portu, a żółta flaga odstrasza spotkane okręty.

I znowu minął dzień i znów u dwu ludzi pojawiły się pierwsze oznaki choroby. Kapitan także uczuł się tego dnia dziwnie osłabionym.

Sam lekarz w nocy zachorował.

To był już kres.

Wśród pozostałej załogi panowała głucha wściekłość. Ludzie chodzili jak wilki.

Pod kotłem maszyny ledwo się paliło. Okręt płynął leniwie, a raczej stał w miejscu. A żółta flaga powiewała z masztu!

Nazajutrz rano zmarł doktór. Co począć? W chwili, gdy sprawdzono śmierć doktora jeden z marynarzy ujrzał w oddali okręt. Cała załoga wyległa na przód górnego pokładu.

»Pomoc, pomoc się zbliża!« wołano. Jeden z marynarzy wdrapał się na maszt i za pomocą lunety stwierdził, że ów zbliżający się statek jest okrętem angielskim.

Trzeba go przywołać!!!

Zeszedł tymczasem i żeglarz z bocianiego gniazda; po chwili jednak przypomniał sobie że przecie na głównym maszcie powiewa żółta flaga. Należało zdjąć ją czemprędzej! W przeciwnym razie o otrzymaniu pomocy nie może być mowy...

Więc szybko pobiegł do liny, by spuścić flagę, by zerwać sygnał ostrzegawczy, by nie zobaczył go statek obcy, który już teraz widocznym był daleko lepiej i płynął w naszą stronę.

Nagle człowiek zatrzymał się i pobladł. Bo oto, jak gdyby wyrósł z pod ziemi, stał przed nim kapitan sam, jedną ręką trzymał za linę od flagi, a w drugiej dzierżył rewolwer, wycelowany w stronę marynarza.

A ręce te były brązowe, jak ciemne drzewo. A i twarz była czarna niemal i zapadnięta, tylko oczy świeciły szklannym połyskiem, blaskiem takim, jaki widywaliśmy już nieraz w ciągu ostatnich dni i który był zwiastunem nieuchronnym, że oczy takie muszą się zamknąć wkrótce i na zawsze.

Kapitan usiłował przemówić. Wargi mu drżały i w gardle dławiło coś. Czas jakiś chwytał powietrze, pierś pracowała ciężko! Wykrzyknął wreszcie głuchym, lecz pełnym energii głosem: »Precz stąd! Precz! Kto dotknie liny — kulą w łeb!«

Marynarz stał zrazu jak zwykle; po chwili jednak wziął na odwagę:

— Panie kapitanie... Tu ręką wskazał na morze, na którem widać już było nadpływający okręt całkiem wyraźnie. — Panie kapitanie... tam przecie statek płynie... ratunek dla nas...

Ale człowiek u masztu nie ruszył się z miejsca, potrząsnął z lekka głową i twarz, oszpeconą cierpieniem wykrzywił boleśnie.

Marynarz rozejrzał się dokoła, wodząc wzrokiem, jak gdyby szukał skąd pomocy i poparcia. Trzech ludzi stanęło przy nim.

— Co to ma znaczyć? — Zaczął jeden z nich, chłop wysokiego wzrostu, którego twarz, dotąd dobroduszna, zmieniła nagle wyraz swój pod wpływem oburzenia i gniewu. — O co chodzi?

— Nie daje zdjąć flagi!

— Ależ, kapitanie, miejmyż rozum! No... naprzód! I do czarta z tym żółtym gałganem z masztu.

Wysunął się przed innymi i podszedł tuż do naczelnika swego. Potężne dwie pięści marynarza zacisnęły się jak młoty. Nie przystępował jednak za blisko. Bo już przed czołem swem miał lufę rewolwerową, który kapitan trzymał choć w chwiejnej nieco dłoni, gotów w każdej chwili do strzału.

— Naprzód! Spieszmy się! Okręt odpływa! — rozległy się głosy.

— Z drogi! Niema tu żadnego kapitana; teraz ten kapitanem kto żyw jeszcze! Kapitan spojrzał bacznie na czarno-włosego marynarza, który stał najbliżej i żywo gestykulował.

— Ja żyję jeszcze i powiadam ci, Tomie, dopóki żyję, ja rozkazuję na okręcie. Flaga zostanie!

Znów ucichło na chwilę. I tylko pomruk groźny rozległ się na okręcie, na którym cała załoga ówczesna, ogółem ludzi sześciu, stanęła przed kapitanem. Jak wilki głodne szczerzą ślepie na ofiarę swą, tak ludzie ci spoglądali od czasu do czasu na okręt, prujący fale w coraz bliższym od nas dystansie. I ręce drżały, kurczowo w pięści zaciskające się, tak wielka brała ich chęć oderwać kapitana od masztu.

Lecz człowiek ten miał już na żółtem czole wyryte szponami śmierci piętno, więc strach przed zarażeniem się powstrzymał ich jeszcze.

Ostrożnie i skradając się, podszedł i stanął za plecami towarzysza ów ciemno-włosy majtek, którego kapitan nazwał Tomem. Już szykował się do skoku, by kapitanowi wyrwać znienacka rewolwer z ręki, gdy huknął strzał, marynarz trafiony w głowę, zachwiał się, zatoczył koło, sięgnął rękoma, jak gdyby coś usiłował chwycić w powietrzu i runął bez życia na pokład.

Krzyk oburzenia i zgrozy rozległ się na okręcie – ramiona i pięście marynarzy zatrzęsły się.

Ale nie przebrzmiał ten krzyk jeszcze, gdy rozległ się głos drugi z końca statku. Był to głos negra owego, który zazwyczaj śmiał się tylko, teraz jednak wołał całkiem na seryo:

— Okręt zawrócił. Okręt ucieka od nas!

Zgroza zdjęła nas wszystkich na chwilę. Jak wryci stali majtkowie w pobliżu masztu i w dal patrzyli z rozpaczą. Blade woskowe twarze ze zmienionymi rysami, o sinych wargach. Stał i kapitan — z brązową twarzą, wzrokiem rozgorączkowanym. A opodal spoczywał trup w kałuży krwi świeżej. Oczy wszystkich zdawały się przebijać widnokrąg, wlepione w statek, który przedtem podążał do nas w pędzie, a teraz odwrócił się w stronę prawą i również szybko oddalał się. Rzekłbyś, cała energia i życie całe tych ludzi ześrodkowało się w ich wzroku, w tym wzroku, który świdrował okręt oddalający się, malejący coraz widoczniej.

I nagle wzrok ten odwrócił się w inną stronę i spotkał się ze wzrokiem kapitana.

I usłyszałem krzyk... Nie, ryk raczej, gdyż ludzkie gardła nie mogłyby mieć brzmienia takiego... ryk gniewu, rozpaczy i wściekłości.

Przy maszcie zakotłowało się. Ludzkie ciała skłębiły się w masę. Co działo się właściwie, nie wiedziałem, bom wkrótce stracił przytomność. Pamiętam tylko, żem instynktownie rzucił się w stronę kapitana.

Pamiętam, żem słyszał wystrzał rewolwerowy i po nim drugi jeszcze, że ów olbrzym o dobrodusznym wyrazie twarzy padł przedemną, że ktoś podniósł w górę siekierę, że topór spadł na głowę kapitana, że ktoś się śmiał głośno i w dalszym ciągu uderzał go toporem po czaszce i że płynęła krew, z masztu i z siekiery. Poczem ciemno zrobiło mi się w oczach i straciłem świadomość najzupełniej.

* * *

Mocny, tępy ból głowy, dzwonienie i szum w skroniach odczuwałem przedewszystkiem po przebudzeniu się. I z tego zdawałem sobie również sprawę, że jakiś człowiek znajduje się przy mnie.

Czułem, że leżę na gładkiem, śliskiem drzewie, miałem oczy zamknięte. Byłem tak bezsilny i znękany, że bałem się otworzyć oczu. Sądziłem, że od światła dziennego rozboli mnie głowa jeszcze więcej. Przesuwałem zwolna palcami po drzewie. Tak rzeczywiście — gładkie było i śliskie.

Czyżby to krew?

Na chwilę stanął mi przed oczyma obraz, który widziałem wówczas, gdym stracił przytomność, niebawem jednak coś, jak pierścień z ołowiu, ścisnęło mi mózg, myśli wtrąciło w chaos i znów zemdlałem.

Ocknąwszy się, czułem, że ktoś chłodzi mi czoło wilgotną chustką.

Wązki promyczek światła przedostał się przez przymknięte powieki. Światło to było bardzo słabe, musiała być noc widocznie i znów to kołysanie się, szum i szelest i plusk wody dokoła.

Stopniowo dopiero wracała mi świadomość i to, com przeżył, wydawało się, jak gdyby przykry sen jakiś. Bezsilny leżałem, nie ruszając się i nawet nie chciało mi się oczu otworzyć; zdawałem sobie jednak już dobrze z tego sprawę, że nademną rozpościera olbrzymi całun swój noc podzwrotnikowa i że ów szelest pochodzi od uderzenia fal w boki statku,

Długo tak leżałem nieruchomy. W końcu zaczęło mnie trząść z zimna.

Czułem po prawej stronie czoła, w okolicy skroni nieznośny ciężar jakiś, nie miałem jednak siły podnieść ręki, aby pomacać się w tem miejscu. Przytomność tymczasem wracała coraz widoczniej. Słyszałem jakby dwa głosy, spierające się w mem wnętrzu. Jeden z nich mówił: »Czegóż tak leżysz, jak umarły i nie ruszasz się?« A drugi mu odpowiadał: »Leż spokojnie; czy nie czujesz, że wolę ci odjęto?«

W cichości przysłuchiwałem się tej kłótni głosów wewnętrznych, tej walce, jaką staczała rozbudzona świadomość ze stanem odrętwienia.

Lecz nagle zaniepokoiłem się i uczyniłem wysiłek, by powstać. Bo oto czułem wyraźnie, że ktoś nachyla się nademną i oczy czyjeś wpatrują się we mnie uważnie.

Jednym, pełnym wysiłku ruchem uniosłem głowę.

Przedemną siedział w kucki murzyn ów i szczerzył zęby.

— No cóż, lepiej teraz?

Spojrzałem nań bezmyślnie, potem popatrzyłem na wązkie czółno, w którem obaj znajdowaliśmy się, na morze i znów na przedmioty w czółnie. Usiadłem i potarłem czoło ręką. Teraz dopiero przekonałem się, żem miał na głowie guz potężny, przykryty pozlepianymi krwią włosami. Negr poruszył się i jak gdyby chciał odsunąć rękę; odpowiedziałem mu jednak, że jest mi lepiej.

Z trudnością oparłem plecy o ławeczkę ze sterem, poczem zacząłem zadawać pytania, na które negr odpowiadał lichą wprawdzie i łamaną mocno angielszczyzną, tak, że wypadało więcej domyślać się, w każdym bądź razie dowiedziałem się o wszystkiem, co zaszło.

Otóż pomiędzy kapitanem a załogą stoczyła się walka przed masztem. W walce tej kapitan został zamordowany, ale i marynarzy dwóch padło od jego strzałów. Jeden z nich, ten właśnie, który zabił kapitana, dostał napadu szaleństwa, zaczął wymachiwać siekierą na wszystkie strony i on to właśnie uderzył mnie w skroń bez powodu żadnego. Z wielką trudnością tylko, mówił murzyn, udało się go ubezwładnić i związać. Poczem pozostali zaczęli naradzać się i postanowili opuścić zapowietrzony okręt i wypłynąć na ocean w dwóch szalupach. Już przenoszono żywność do czółen, gdy jednemu z majtków przyszło do głowy, żeby wyprawić sobie ucztę na odchodnem. Projekt spodobał się ogólnie, rumu miano na okręcie całe skrzynie, zaczęła się feta. Pito, hałasowano i miotano klątwy dość długo, aż wreszcie wszyscy popili się i jak nieżywi zwalili się na pokład. Co widząc murzyn spuścił jedną z łódek na wodę i przekonawszy się, żem, choć zemdlony, poruszał rękoma, zawlókł mnie do czółna. Była wtedy akurat godzina południowa, teraz prawdopodobnie jest północ.

Z dreszczem zgrozy przysłuchiwałem się opowiadaniu całemu. Gdy murzyn skończył, zacząłem mu dziękować za wszystko, co uczynił dla mnie, ale on tylko uśmiechnął się, wyszczerzył zęby, wzruszył ramionami i wskazał ręką na morze, które ciemne i posępne roztaczało powierzchnię swą dookoła, jak wzrokiem sięgnąć bez końca.

Zrozumiałem, że chciał mi powiedzieć w ten sposób, jako na słowa dziękczynne nie czas jeszcze, że właściwie śmierć została odroczoną tylko, że tkwi może we krwi naszej, że zresztą pozbawieni niemal zupełnie zapasów żywności, samotni wśród wód oceanu, jesteśmy i tak zgubieni bez ratunku.

Przemęczyliśmy trzy dni i trzy noce w ten sposób, miotani falą, w nędznej łupinie orzecha na olbrzymiej mórz przestrzeni, bez dachu nad głową we dnie pocąc się pod roz-

palonymi promieniami słońca, a w nocy drżąc z zimna, bez żadnego łoża i nakrycia, za posłanie twarde mając tylko dno łódki, przez które woda przeciekała coraz obficiej. A jednak nie poddawaliśmy się rozpaczy, wiosłując zawzięcie, aż skóra złaziła nam z palców.

Jedynym przewodnikiem naszym w chwilach owych był kompas, który miałem zawieszony przy zegarku jako brelok; kompas ten dotąd noszę jeszcze przy sobie na pamiątkę.

Czwartego dnia, równo ze wschodem słońca ujrzeliśmy w dali na widnokręgu okręt. Dołożyliśmy starań i pracy. uderzywszy w wiosła, jakoż po pewnym czasie z okrętu zauważono nas. Był to brazylijski statek handlowy »Cuyaba«, który wiózł ładunek z Fortelezy do Pernambuco.

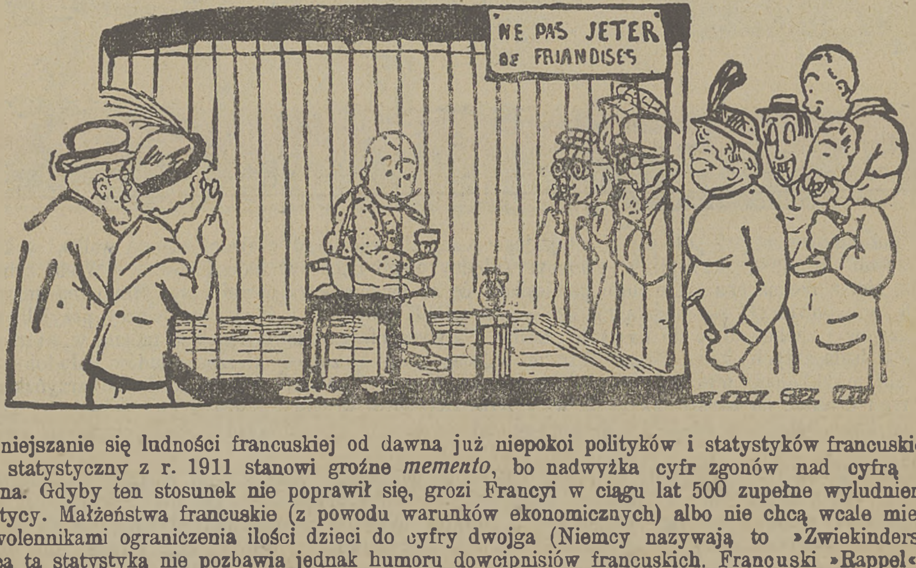
Opowiedziałem kapitanowi statku historyę naszych wydarzeń strasznych i dzielny człowiek ten pozwolił nam odbyć drogę na swym okręcie. Oczywiście odosobniono nas w specyalnej kajucie. W Pernambuco musiałem wraz z moim towarzyszem czarnym odbyć przedewszystkiem trzytygodniową kwarantannę. Odpoczynek, którego zaznałem w dobrze przewietrzanym baraku szpitalnym nad brzegiem morza, wpłynął mi bardzo dodatnio na zdrowie, tak, że po upływie prawem przepisanego terminu mogłem był, na siłach nanowo wzmógłszy się, kontynuować podróż swą do Bahii. Murzyn towarzyszył mi przez cały ten czas. Dopóki znajdowałem się w granicach Brazylii, pozostał w kraju tym i o ile wiem, jest właścicielem małego statku handlowego, na którym przewozi towary wzdłuż brzegów.

Co się stało z okrętem, na którym żółta śmierć grasowała tak okropnie, jakim był los reszty załogi, nie dowiedziałem się nigdy. To wiem tylko z pewnością, że okręt ten nie zawinął do żadnego z portów. Pewnego razu, gdym jeszcze przebywał w kwarantannie, powiedziano mi, że widać było z daleka gnany przez fale statek — ruderę z mocno opalonymi bokami.

Czyżby to był ów okręt przeklęty?..

Być może...

Ostatni Francuz.



Zmniejszanie się ludności francuskiej od dawna już niepokoi polityków i statystyków francuskich. Ostatni wykaz statystyczny z r. 1911 stanowi groźne *memento*, bo nadwyżka cyfr zgonów nad cyfrą narodzin jest znaczna. Gdyby ten stosunek nie poprawił się, grozi Francyi w ciągu lat 500 zupełne wyludnienie, mówią statystycy. Małżeństwa francuskie (z powodu warunków ekonomicznych) albo nie chcą wcale mieć dzieci, albo są zwolennikami ograniczenia ilości dzieci do cyfry dwojga (Niemcy nazywają to »Zwiekindersystem«). Niepokojąca ta statystyka nie pozbawia jednak humoru dowcipnisiów francuskich. Francuski »Rappel« w ten sposób przedstawia »Ostatniego Francuza«, wystawionego w klatce na pokaz jako osobliwość i pokrzepiającego się absyntem...

Kobiety i węże.



W południowej części półwyspu Indyjskiego rozegrała się przed wiekami zacięta walka, w której zwycięzcami zostali Hindusi, przybyli z północy. Tubylcy ulegli naporowi najeźdźców. — Wielu zginęło, część rozprószyła się, a nieznaczna tylko ilość pomieszała się ze zwycięzcami nowej rasy. Mimo ten smutny los — w dziejach ludu powtórzył się zresztą nieraz — nie zginęli tubylcy bez śladu. Zwycięzcy przyjęli wiele cech z ich obyczajów i zachowali je do naszych czasów. Najwyraźniejsze ślady odnaleźć można w wierzeniach, jak tego dowodzi badacz tych okolic, Edgar Thurston w książce, streszczającej wierzenia ludów południowych Indyj.

Wielu przykładami wykazuje w niej, że religia Hindusów zawiera bardzo wiele barbarzyńskich praktyk z pradawnych czasów, co bardzo wyraźnie występuje zwłaszcza w południowej części półwyspu, gdzie nawet ofiary z ludzi nie należą do rzadkości, jakkolwiek od wielu już stuleci podobne praktyki karze prawo bardzo surowo.

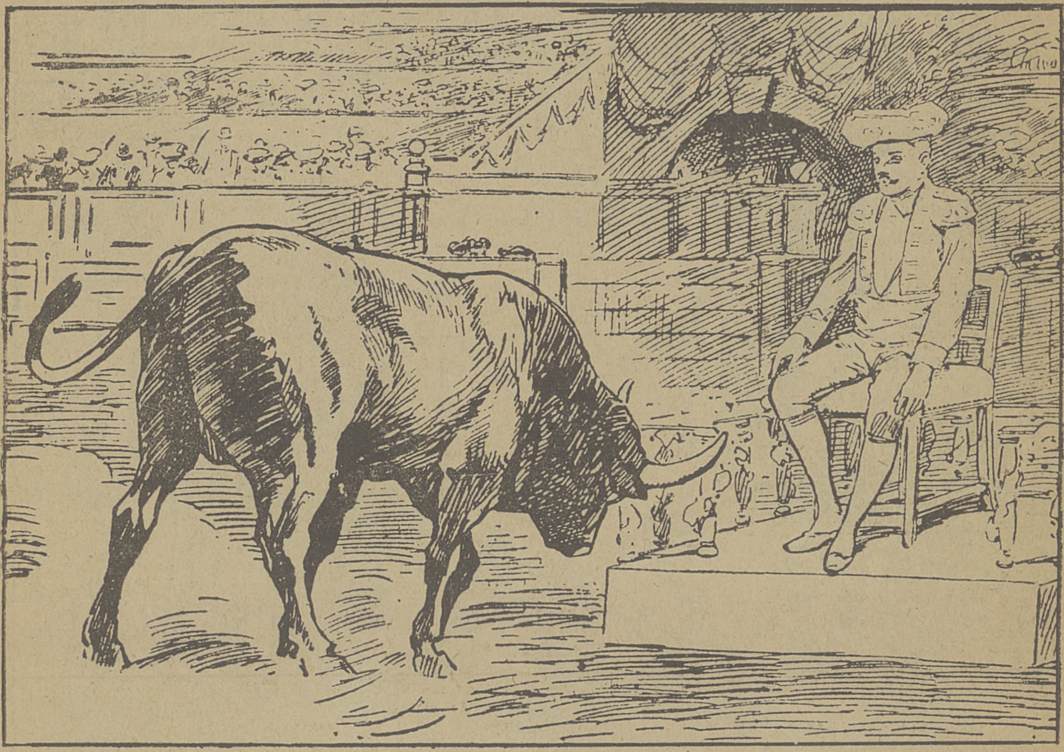
Najwięcej rozpowszechnionym tam jest dotąd kult jadowitego węża Kobra. Niemal co kilka kroków spotyka się jego wizerunki, rżnięte w kamieniu. Przypominają one poniekąd nasze pomniki, stawiane na cmentarzu.

Najczęściej stoją posągi tego bóstwa pod drzewami figowemi i przed nimi zbierają się tłumnie dla odbycia modłów błagalnych kobiety przy nadziei, aby wąż-bóstwo obdarzyło je synem. Powszechnie bowiem panuje przesąd, że jedynie od tego bóstwa zależy, czy urodzi się syn lub córka. Ponieważ zaś wychowanie córki nastręcza matce wiele kłopotu i trudu zanoszą wszystkie kobiety ciężarne błagalną prośbę do wężą o chłopca, bóstwo jednak dla nich nie zawsze jest łaskawe.

Nie mniej rozpowszechnioną jest wiara w moc cudotwórczą czarowników. Są oni równocześnie kapłanami, lekarzami, wodzami — krótko: jedyną i najwyższą instancyą jak wogóle u ludów pierwotnych. Wszelkie choroby ciała według ich opinii powodują złe duchy, które opanowują człowieka. Do głównych więc praktyk lekarskich należy wypędzanie złego ducha przy pomocy oryginalnej, ale nie zbyt estetycznej metody — polegającej mianowicie na tem, że czarownik-lekarz ucina kogutowi głowę i wysysa z szyi jego krew, mamrocząc przy tem tajemnicze zaklęcia. Skuteczność tego lekarstwa równa się filozoficznej mądrości zdania, wypowiadanego przez »lekarza« na wiadomość o śmierci pacyenta: »Wyzdrowiałby, gdyby nie umarł«.

Rycina powyższa sporządzona na podstawie ilustracyj z książki Thurstona przedstawia wizerunki węża-bóstwa w otoczeniu kobiet, oraz czarownika-lekarza w chwili stosowania koguciej metody.

Skamieniały toreador.



Don Tancredo uchodzi za bohatera między hiszpańskimi toreadorami mimo, iż nigdy żadnego byka nie uśmiercił ani odrobiny krwi własnej nie przelał w tej »szlachetnej« walce. Mimo to Don Tancredo jest niemal bożyszczem wśród ludu hiszpańskiego.

Don Tancredo ma bowiem oryginalną, własną metodę, której trzyma się podczas walki z bykami. Zjawia się na arenie ubrany i upudrowany na biało. Wszystko na nim jest białe — jedynemi czarnemi plamami na tem »białem morzu« są jego ogniste oczy.

Na środku areny znajduje się mała estrada, na której Don Tancredo nieruchomo siada. Za chwilę wypuszczają na arenę rozjuszonego byka. Zwierzę w dzikich podskokach okrąża arenę i nagle staje zdumione przed białem, nieznanem zjawiskiem. Don Tancredo topi w bestyi stalowe spojrzenie swych oczu, a byk pod obuchem tego spojrzenia cofa się, okrąża biały posąg, wreszcie podwija ogon i przerażony ucieka z areny. A Don Tancredo kłania się z gracyą rozentuzyazmowanym widzom i — jako zwycięzca — schodzi z areny.

Z kraju handlarzy ludzkiemi czaszkami.



Jenerał Rakuma, gubernator japońskiej wyspy Formozy, odstąpionej po wojnie przez Rosyę, opowiadał pewnemu amerykańskiemu dziennikarzowi ciekawe szczegóły o trybie życia i zwyczajach dzikich szczepów, zamieszkujących tamte okolice. — Najdzikszym z pomiędzy dzikich jest plemię Astayamów, liczące około 30.000 ludzi, mieszkające w północnej części Formozy. Wśród plemienia tego panuje zwyczaj obcinania głów wszystkim nieprzyjaciołom i obcym, którzy wpadną w ich ręce. Młodzieniec dopiero wówczas zaliczany bywa do panującej kasty wojowników, gdy się wykaże pewną ilością obciętych głów ludzkich. W jesieni każdego roku Astayamowie urządzają formalne polowania, aby tylko zdobyć potrzebną ilość czaszek. Po powrocie do domów odbywają się osobliwe ceremonie religijne, podczas których zdobyte czaszki układane bywają w rzędach na kamieniach i deskach.

Astayamowie nie są jednak ludożercami, czem właśnie różnią się od dzikich mieszkańców Nowej Gwinei i innych wysp w południowej części Oceanu Spokojnego. Kult ludzkich czaszek nie powstrzymuje ich jednakże od uprawiania handlu tym »towarem«. Zabity niedźwiedź lub bawół ma na targu cenę 5—10 czaszek ludzkich.

Rycina przedstawia chatę kacyka Astayamów, ozdobioną czaszkami ludzkiemi, wojowników tego plemienia — oraz ich broń.

VILLERS DE L'ISLE ADAM.

Książe Portland.

Młody lord, książe Portland, nagle zniknął. Znała go cała Anglia — była to osobistość często wspominana, nieledwie sławna. Wiele mówiono o zabawach nocnych, jakie miał zwyczaj wydawać w zamku swym, o jego nadzwyczajnem szczęściu na wyścigach, o talencie bokserskim, bajecznych bogactwach, przygodach i związkach miłosnych.

Raz wieczorem tylko dostrzeżono jego starożytną złoconą karetę, w najszybszym galopie przebiegającą po Hyde-Parku; karetę otaczali jeźdźcy z pochodniami. Potem książe zamknął się w swym zamku rodzinnym.

Prowadził zamknięte, odosobnione życie za grubymi murami kastelu, ukrytego wśród odwiecznego sadu, na zarosłym lasami półwyspie Portland. Jedynym jego sąsiadem była olbrzymia latarnia morska, wskazująca we mgle drogę okrętom, wypływającym na pełne morze.

Czemuż usunął się od świata lekkomyślny, pełen sił i wesela młody lord? Może wpłynęła nań w tajemniczy sposób ostatnia jego podróż po Wschodzie?

Nawet przy dworze zaniepokojono się tem nagłem zniknięciem. Królowa wysłała z zamku westminsterskiego umyślnego posłańca do zbiegłego lorda.

Pewnego wieczoru królowa Wiktorya zatrzymała się długo na audyencyi. Obok niej na taburecie z czarnego dębu siedziała młoda lektorka, miss Ellen X.

Przyniesiono od księcia Portland list z czarną pieczęcią.

Dziewczę zerwało pieczęć książęcą, przebiegając szafirowemi oczyma kilka wierszy zawartych w liście. Potem bez słowa podała go królowej.

Królowa jęła czytać również po cichu. Przy pierwszych słowach na jej spokojnem zwykle obliczu odmalowało się głębokie, bolesne zdumienie. Wzdrygnęła się nawet. Milcząc wsunęła list w płomień świecy. Potem rzuciła palący się papier na marmurową posadzkę.

— Mylordowie — rzekła z powagą do lordów, stojących w należnem oddaleniu — nigdy już nie zobaczycie naszego drogiego księcia Portland. Nie zajmie już więcej swego miejsca w Izbie panów. Zdejmujemy zeń godność para, zmuszeni zgodzić się na jego prośbę o dymisyę. Tajemnica jego winna pozostać nieprzeniknioną. Nie myślcie już o nim; nikt z gości, przebywających w Portlandzie, nie powinien starać się z nim widzieć.

Poczem skinieniem ręki odprawiła starego sługę, przysłanego z listem z zamku Portland.

— Powiedz księciu Portland, coś tu widział i słyszał — dodała królowa, spoglądając na garstkę czarnego popiołu.

A rzuciwszy okiem na młodą lektorkę, siedzącą jakby we śnie, z twarzą, wspartą na białej dłoni, królowa zatrzymała się, szepcąc ze zdumieniem:

— Nie idziesz ze mną, Ellen?

Dziewczę siedziało ciągle bez ruchu.

Królowa pochyliła się nad omdlałą. W rok potem marynarze znajdujący się na morzu koło półwyspu Portland, w pewną burzliwą noc jesienną, dostrzegli, iż zamek jest jasno oświetlony.

Była to nie pierwsza uczta, na jaką zaprosił swych gości nieobecny lord.

Wszyscy mówili o posępnej ekscentryczności tych niezwykłych biesiad; książe ani razu nie brał w nich udziału. Oprócz tego nigdy nie urządzano tych przyjęć w paradnych salach zamku. Nawet lord Ryszard, zamieszkujący jednę z baszt, jakby o nich zapomniał.

Za powrotem do zamku rozkazał ściany i sklepienia olbrzymich jego podziemi wyłożyć wielkiemi weneckiemi zwierciadłami. Posadzkę zrobiono z marmuru i błyszczącej mozajki. Wspaniałe draperye, haftowane złotem, bramowały długą amfiladę sal, po których klomby wschodniej roślinności roznosiły woń odurzającą; pośród klombów biły fontanny, dokoła widniały najpiękniejsze rzeźby, najrzadsze malowidła.

Na zaproszenie pana zamku portlandzkiego, który równocześnie wypowiadał »najgłębszy żal«, iż nie może osobiście gości swych przyjąć, zbierało się tam znakomite to-

warzystwo, śmietanka arystokratycznej młodzieży, urocze artystki, najpiękniejsze przedstawicielki szlachty.

Zastępcą lorda Ryszarda bywał jeden z jego dawnych przyjaciół. Na dany znak rozpoczynała się królewska biesiada.

Tylko honorowe miejsce za stołem — krzesło młodego lorda — było niezajęte, a herb rodowy, umieszczony nad oparciem — owinięty żałobną krepą.

Za zbliżeniem się północy w podziemiach zamku Portland, w czarodziejskich salach, wśród upajającej woni egzotycznych kwiatów rozlegały się głuche wybuchy śmiechu, pocałunki, szczęk kielichów, bachiczne pieśni i muzyka.

Jednak gdyby któremu z biesiadników przyszło na myśl wstać od stołu i wyjść dla odetchnięcia świeżem powietrzem — zobaczyłby może w mroku na piasczystem wybrzeżu morskiem widok, który odebrałby mu humor na resztę nocy.

O tej właśnie porze na zakręcie alei, prowadzącej ku morzu, ukazywał się człowiek w płaszczu; oblicze jego osłaniała czarna maska, do której przytwierdzony był kaptur, zakrywający całą głowę. Z cygarem w obciągniętej rękawiczką ręce, kierował swe kroki ku wybrzeżu. Dziwaczne zjawisko poprzedzało dwóch siwowłosych służących, za niem szło dwóch innych, niosąc dymiące rozżarzone pochodnie.

Przed nim szedł chłopiec w żałobnym stroju i co chwilę potrząsał dzwonkiem na znak, żeby usuwano się z drogi. Niezwykły ten orszak sprawiał przygnębiające wrażenie; wszyscy ci ludzie mieli wygląd zimny i posępny, jakby prowadzili skazanego na śmierć.

Otwierała się przed nimi brama, prowadząca nad wybrzeże. Tutaj towarzyszący mu ludzie zatrzymywali się, zaś on zbliżał się ku morzu. Stawał tak na deszczu i wietrze, podobny do kamiennych posągów na tarasie zamku i wsłuchiwał się w muzykę fal.

W milczącej zadumie mijała godzina; posępny człowiek powracał tą samą drogą do swojej baszty. Za nim świeciły pochodnie, przed nim pobrzękiwał dzwonek.

W przeddzień owego jesiennego balu, zrana, młoda lektorka od chwili otrzymania listu księcia Portland nie zdejmująca żałobnej szaty, modliła się w kaplicy królowej; nagle wręczono jej list, pisany przez jednego z sekretarzy księcia.

Zawierał on dwa tylko słowa, które odczytała, drżąc.

»Dzisiaj wieczorem«.

Około północy do półwyspu Portland przybiła łódź królewska. Wysiadła z niej młoda kobieta w czarnem okryciu.

Zdążała spiesznie ku miejscu, skąd dobiegał odgłos dzwonka i gdzie migotały pochodnie.

Owinięty w płaszcz, wsparty o kamień, drżąc w śmiertelnej trwodze, spoczywał na piasku tajemniczy człowiek w masce.

— O, nieszczęsny! — wykrzyknęła młoda kobieta, wybuchając płaczem i zasłaniając twarz rękoma.

— Żegnaj mi, żegnaj! — powiedział.

Z oddali, z podziemic balowych sal zamku, których światła odbijały się w falach, dobiegały gamy śmiechu i pieśni.

— Jesteś wolna! — dodał i głowa jego opadła na kamień.

— Jesteś zbawiony! — odrzekło białe zjawisko, podniósłszy mały złoty krzyżyk ku znużonym oczom milczącego już teraz człowieka.

Nastąpiła długotrwała cisza, podczas której kobieta nie poruszyła się z miejsca.

— Do widzenia, Ellen! — wyszeptał wreszcie z głębokiem westchnieniem.

Kiedy po godzinie trwożliwego oczekiwania, podeszli ku nim służący, znaleźli dziewczę na kolanach, modlące się za ich pana, który leżał na piasku.

— Książe Portlandu nie żyje — wyrzekła z cicha.

Poczem wsparła się na ramieniu jednego ze służących i powróciła do łodzi, która ją przywiozła.

W trzy dni później w dworskim dzienniku ukazała się następująca wiadomość:

»Miss Ellen X., narzeczona księcia Portlandu, przyjęła katolicyzm i wczoraj wstąpiła do klasztoru Karmelitanek«.

* * *

Jakaż tajemnica zaprowadziła do grobu możnego lorda?

Podróżując po wschodzie, młody książe odłączył się pewnego razu od swej karawany; — w rozmowie z przewodnikiem, tuziemcem, dowiedział się iż w pobliskich ruinach żyje w całkowitem odosobnieniu żebrak, od którego wszyscy odwracają się ze zgrozą i wstrętem.

Nieszczęsny Łazarz był jedną z ostatnich ofiar trądu, tej straszliwej, bezlitosnej choroby, z której jeden Bóg tylko mógł uleczyć.

Mimo błagań przerażonego przewodnika, książe Portlandu wszedł do pieczary tego wyrzutka człowieczeństwa.

Ze wspaniałomyślnością rycerza, odważnego do szaleństwa, młody lord podał mu kieskę pełną złota i uścisnął rękę.

W tejże samej chwili poczuł, jakby oczy jego przesłoniła mgła. Wieczorem tegoż dnia wiedział już, że jest bezpowrotnie zgubiony; przy pierwszych oznakach choroby opuścił ląd, wsiadł na okręt i usiłował leczyć się w swoim zamku.

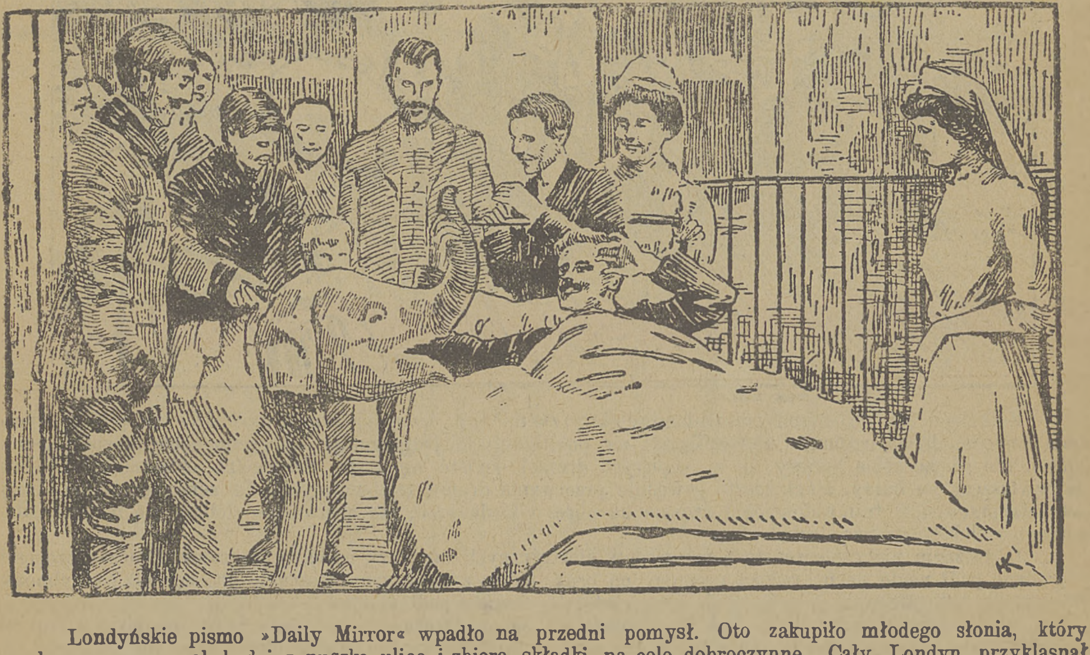
Ale wkrótce książe przekonał się, że jedyną nadzieją jego musi być nadzieja rychłej śmierci.

Wszystko było skończone.

Żegnaj młodości, starożytne nazwisko, miłości ukochanej kobiety, wesele, bogactwa! Żegnaj siło, szczęście piękności, świetna przyszłości! Lord stał się dziedzicem żebraka! Jedna chwila próżności, a raczej mimowolny odruch wielkiego ducha, zamienił to wspaniałe istnienie w śmierć beznadziejną.

Tak umarł Ryszard, książe Portlandu, dziedzic trędowatego żebraka...

Słoń — przedmiotem rozrywki w szpitalu.



Londyńskie pismo »Daily Mirror« wpadło na przedni pomysł. Oto zakupiło młodego słonia, który z zabawną powagą obchodzi z puszką ulice i zbiera składki na cele dobroczynne. Cały Londyn przyklasnął temu pomysłowi, a młody słoń — wabiący się Jumbo — stał się ulubieńcem publiczności. Jumbo służy też innym, niemniej humanitarnym celom. Oto z polecenia redakcyi obchodzi szpitale, gdzie jak nasza rycina wskazuje — jest przedmiotem zabawy i rozrywki licznych pacyentów.

Niebezpieczeństwo przewodów elektrycznych.



Zetknięcie się z górnymi przewodami elektrycznemi (np. tramwajowemi), prowadzącymi prąd o wysokiem napięciu, bywa ogromnie niebezpieczne, ale publiczność niejednokrotnie lekceważy sobie przepisy ostrożności, nie zdając sobie sprawy, że w rozpiętych drutach śmierć się kryje. Szczególna ostrożność nakazana jest zwłaszcza po burzy, która często powoduje przerwanie drutów telefonicznych. Te zerwane cienkie druty dotykają przewodów tramwajowych i zwisają na ulicę, a biada temu, kto nieuważnie dotknie się takiego naładowanego elektrycznością drutu!

O groźnem niebezpieczeństwie przewodów elektrycznych świadczy osobliwy wypadek. Podczas procesyi w Padwie padł nagle, jakby rażony gromem na bruk, jeden z mężczyzn niosących chorągiew. Natychmiast stłoczył się koło niego tłum pobożnych i na wieść, że chorąży padł martwy — ogarnęło wszystkich przerażenie. Nagłą, niewytłumaczoną - jak się zdawało — śmierć uważano jako »karę bożą« za jakieś straszne grzechy nieszczęśliwego. Trupa »przeklętego grzesznika« pozostawiono na środku ulicy. Nikt nie odważył się dotknąć go, jak również chorągwi, którą niósł zmarły. Zwłoki leżały przez dłuższy czas na ulicy, bo nawet policyantom zabrakło odwagi, aby je podnieść. Dopiero zawezwany lekarz, zbadawszy dokładnie zwłoki, odkrył tajemnicę śmierci chorążego. Oto metalowy drążek chorągwi, zakończony również metalowym końcem, dotknął wskutek nieuwagi chorążego przewodów elektrycznych, rozpiętych nad ulicą i prąd o wysokiem napięciu spowodował natychmiastową śmierć.

GARDEROBY

dziecinną dla panienek do lat 16, dla chłopców do lat 14, kapturki, kapelusze, pończochy, skarpetki, bieliznę, trykotaże i całe wyprawki dla niemowląt poleca:

Franciszek MARTIN

Kraków, Rynek główny 12.

MAGAZYN MEBLI

i Zakład tapicersko-dekoracyjny.

KAJETAN DUDZIAK

Kraków, Floryańska 36, I. p.

Zakład art. rytowniczo-graficzny

PIERWSZA KRAJOWA FABRYKA PIECZĄTEK KAUCZUKOWYCH i TŁOCZONYCH, NALEPEK PIECZĄTKOWYCH DO LISTÓW i t. p.

JÓZEFA TRĘBACZA

W KRAKOWIE, SŁAWKOWSKA 24.

Wykonuje: Herby, monogramy, napisy w srebrze, zlocie i szlachetnych kamieniach, pieczątki metalowe, numeratory najnowszej konstrukcyi od 20 koron.

Tablice emaliowe, kolorowe, ozdobne, metalowe i szklane. Główne zastępstwo precyzyjnych angielskich maszyn do pisania »Regina« po 600 kor.

Adolf Siostrzonek

malarz

w Krakowie, ul. Zwierzyniecka l. 4. II. p.

Podejmuje się wszelkich robót malarskich i w zakres tychże wchodzących po cenach umiarkowanych. Roboty wykonuje punktualnie. Przyjmuje zamówienia także na prowincyę.

Farbiarnia i pralnia chemiczna

Antoniego

Szapkowskiego

w Krakowie,

ul. Karmelicka 20 poleca się P. T. Publiczności.

Najlepsze wina Oedenburgskie i Austryackie ▪ białe i czerwone ▪

z handlu

Franciszka Konecznego

(dawniej Antoni Schulz).

w Krakowie, ul. Szewska 18.



Pierwszy galic. zoologiczny zakład „Ornis"

założony w roku 1897

w Krakowie

odzn. 16 medalami rząd. i więcej jak 250 I-szemi nagrodami. Właśc. A. Musiołek.

Sklep: Kraków ul. Sławkowska 16, naprzeciw Grand Hotelu. Hodowla: Dębniki, willa własna. Menażerya: Dębniki, Willa „Ornis", dla P. T. Publiczności otwarta. Zakład poleca po najt. cenach różne rasowe psy od najmniejszych karzełków do największych olbrzymów i drób, jaja do wylęgu. Haro. kanarki, kolibry, gad. papugi, klatki, żywność itd. wypycha tanio ptaki i zwierzęta. Bogato ilustr. cenniki za nadesłaniem 5. hal. marki. Największy i jedyny zawodowy zakład tego rodzaju w całym kraju.

Pierwszorzędne dekoracye i urządzenia.

Odznaczony medalem i krzyżem

Zakład pogrzebowy

J. HORAK

Kraków, ul. Mikołajska L. 14.

Telefon Nr. 248.

Najtańszy przewóz zwłok, ekshumacya etc.

Przyjaźń.

HUMORESKA.

(Z rosyjskiego).

Kokoszykin, wyjeżdżając, rzekł do żony:

— Ja jutro wrócę, Muroczko. Ponieważ ty dzisiaj wybierasz się do teatru, to ci, zamiast mnie, towarzyszyć będzie mój przyjaciel Bułtyryn. Wprawdzie on jest ograniczony i przykry w pożyciu, ale przywiązany do mnie i będzie ci usłużny. Jak wrócicie do domu, to możesz mu kazać posłać w moim gabinecie, żeby ci nie było nieswojo i żebyś się nie bała.

— Mnie i bez tego nie będzie nieswojo i nie boję się.

— No, mimo to, zawsze przecież bezpieczniej, gdy mężczyzna w domu.

A kiedy nadjechał Bułtyryn, to go Kokoszkin wziął na bok i rzekł:

— Mój przyjacielu! Zostawiam żonę pod twoją opieką. Bądź już łaskaw mieć nad nią dozór. Powiem ci otwarcie, że nie lubię, jak różni młodzi nicponie, gdy się tylko odwrócę, wyrastają jak z pod ziemi naokoło niej. Przy tobie, to już mogę być pewnym, że nie ośmielą się szeptać jej jakichś idyotyzmów.

— Kokoszkin! — odpowiedział mu na to poważnie, z miną nie znoszącą powątpiewania Bułtyryn. — Spuść się na mnie. Jak wiesz, to moje życie rodzinne złożyło się okropnie. Przecież to moja rodzona żona uciekła odemnie z jakimś pogardy godnym młokosem! To twarde doświadczenie nauczyło mnie i już mnie teraz na nic nie weźmie!

Obrzucił ponurem spojrzeniem siedzącą przy fortepianie Muroczkę i milcząco potrząsł w dużo obiecujący sposób ściskaną rękę Kokoszkina.

Kokoszkin odjechał.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ubrawszy się, stała Muroczka przy toalecie i przypinała kapelusz, a spoglądając na wodzącego po niej okiem niespokojnem Bułtyryna, zapytała się go:

— O czemżeście wy tam szeptali z Jerzym?

— Taak wogóle. Prosił mnie, abym pani na chwilę nie opuszczał.

— Dlaczegóż to? — zdziwiona pytała Muroczka.

Bułtyryn w roztargnieniu wsadził głęboko w usta nóż do rozcinania kartek i zamyśliwszy się odpowiedział:

— Przypuszczam, że on się boi, czy przypadkiem nie ma pani kochanka?

— Słuchajno pan — oburzyła się Muroczka — jeżeli pan nie potrafisz być choćby elementarnie grzecznym, to ja pana natychmiast od siebie wyproszę a do teatru pojadę sama.

— Ha! — pomyślał sobie Bułtyryn, — chytraś ty okropnie! Mnie byś rada wygnać, a sama do kochanka pojechać. Znamy się na tem!

A głośno powiedział:

— To przecież on tak powiedział, a nie ja. Ja wiem, że może pani i nie masz wcale kochanka.

Mówiąc tak, chciał pochlebić cnotliwości Muroczki, ale Muroczka zasępiła się obrażona i siadła do dorożki zła i milcząca.

Bułtyryn był to najzwyczajniejszy niedźwiedź. Do powozu wsiadł, zająwszy swoją osobą trzy czwarte miejsca, a gdy w drodze spotkał ich znajomy Muroczki i witał się z nią serdecznie, sumienny Bułtyryn obrócił się nieznacznie za nim i pogroził mu pięścią.

Znajomy pan, zdumiony tem, co zobaczył, stał długo w miejscu i patrzył za dziwną parą, nie pojmując, co by to znaczyło.

Gdy weszli do westibulu teatru, Bułtyryn zdjął z Muroczki żakiet, obejrzał się naokoło i ponuro rzekł, chwyciwszy ją za rękę:

— No, idziemy już.

— Poczekaj no pan. Gdzie mnie pan ciągniesz? Puść mi pan rękę! Któż bierze za dłoń?!

— A jakże mam brać?

— Weź mnie pan tak oto, pod ramię... I porzuć pan z łaski swojej to niestosowne postępowanie. W przeciwnym razie natychmiast pana opuszczę!

Bułtyryn gwałtownym ruchem czepił się Muroczki ramienia i pomyślał:

— Kłamiesz! Nie uciekniesz niegodziwa! A już wymyślać mi możesz, ile ci się podoba!

Gdy zajęli miejsca, Muroczka wzięła lornetkę i zaczęła rozglądać się po siedzących w lożach.

Przebiegły Bułtyryn poprosił ją o lornetkę na chwilę i zrobiwszy taką minę, jakby się przyglądał kurtynie, pomaleńku wykręcił śrubkę z przodu lornetki, poczem obojętnie wręczył lornetkę Muroczce.

— Możesz sobie teraz patrzeć! — pomyślał i w duchu tryumfująco się uśmiechnął.

Muroczka długo kręciła i kręciła lornetkę naprzód i w tył, poczem zmartwiona rzekła:

— Nie pojmuję! Dopiero co była dobra, a teraz, ani tak, ani owak.

— Czy to teraz jest dobry rzemieślnik? Wszystko oszusty! — odpowiedział Bułtyryn. — Oni tylko, byle wziąć pieniądze! Za lornetkę to ci młynek do kawy podsuną i tyle! Jak mi Bóg miły, tak jest.

W antrakcie pożądał Bułtyryn papierosa.

— Tu ją zostawić za ryzykowne, — myślał Bułtyryn, patrząc z nienawiścią na zwieszoną głowę Muroczki. — Do sali palących brać ją ze sobą?... Nie wypada! Dobrzeby było zamknąć ją w jakiej loży niezajętej, a samemu iść na papierosa... Ale ona iść nie zechce!? A to mi się uwiązała do szyi!! Możeby ją usadzić w foyer na widoku, a samemu gdzieś w kąciku, żeby nikt nie spostrzegł, wypalić papierosa?

Wstał.

— Chodźmy!

— Dokąd? Ja tu posiedzę.

— Nie można! Nie można! Trzeba wyjść.

— Ależ odczep się pan odemnie! Idź pan sobie, gdzie się panu żywnie podoba!

— Nie! Ja bez pani się nie ruszę!

— Pójdziesz pan! — ze złością rzekła Muroczka.— Ja się nie ruszę stąd!

Bułtyryn się zamyślił.

— Ruszy się pani! Jak nie — to zrobię skandal! Myśli pani, że nie zrobię? Jak mi Bóg miły, tak zrobię! Wezmę i wrzasnę, żem panią chwycił za rękę, gdyś pani mi wyciągała pugilares z kieszeni, albo powiem, żeś pani jest moją, zbiegłą odemnie żoną? Cóż? Zanim tam kto dojdzie, że to nie prawda — to skandal przedtem będzie!

Muroczka, z twarzą zmienioną ze złości, wstała.

— Cóż też za łotr z pana! A temu mojemu idyocie Jerzemu... ja mu jutro oczy wydrapię!... Chodźmy!

— Ty sobie tam, moja miła, klnij i wymyślaj ile chcesz... — myślał tryumfujący Bułtyryn... — Ja najlepiej wiem, jak należy postępować z kobietami!...

Ale w jednej chwili wyraz zadowolenia znikł z twarzy Bułtyryna.

Zbliżył się do nich młody człowiek w smokingu i wesoło powiewając afiszem, uprzejmie się uśmiechał do Muroczki.

— A, Marya Konstant...

—Wybaczy pan, młody człowieku! — zasłaniając sobą Muroczkę mówił Bułtyryn. — Ale wstydziłbyś się pan w takim stanie zbliżać się do zamężnej kobiety! Zaledwie się na nogach może utrzymać, a pozwala sobie...

— Słuchajno, łaskawco, ale ty, zdaje się masz bzika!?

— Idź no dalej, idź! Kto jest, niech patrzy. O, język mu się plącze!

— Przedewszystkiem jesteś pan awanturnik. Nie znam pana i nie pana, ale panią Maryę Kokoszkinową chciałem powitać...

Nie pojmująca, o co chodzi, publiczność zaczęła przystawać i gromadzić się. Gdy to spostrzegła Muroczka, błagalnie spojrzała na młodego człowieka i szepnęła mu:

— Na miłość Boską! Do jutra... Przyjedź pan do męża. On panu to wyjaśni, nie rób pan teraz awantury!

Twarz Muroczki pałała, a w oczach jej błyszczały łzy. Zdumiony młody człowiek wzruszył ramionami, ukłonił się i odszedł, a Muroczka zwróciła się do publiczności z czarującym uśmiechem, wzięła Bułtyryna pod rękę i łagodnie rzekła:

— Zaprowadź mnie pan z łaski swojej do garderoby.

— Po co?

— Cóż tobie do tego, drabie, patrząc na publiczność z miłym uśmieszkiem, wyszeptała Muroczka. Z jakąż ja bym rozkoszą wyrywała ci brodę po jednym włosku.!. ty gruboskórny zwierzu!

— Ślicznie! Wymyślaj pani dalej... Chodźmy do garderoby. Ale ja zauważyłem te spojrzenia, któremiście się porozumiewali z owym młodym człowiekiem. Ja to zrozumiałem i samej pani do garderoby nie puszczę.

— Pan jesteś najkompletniejszy idyota! — wyrzekła cichutko Muroczka. — Przecież garderoba jest tylko dla kobiet!

— No tak! Ale tam może jest drugie wejście?

— Żakiet mój przecież i kapelusz jest na dole, ciężki kretynie!

— Czy potrafiłaby ona zbiedz bez żakieta i bez kapelusza? — przemyśliwał Bułtyryn. — Może i nie potrafi. No, to niech pani idzie! Ja i tak będę przy drzwiach garderoby pilnował.

Gdy Muroczka wyszła z garderoby, natknęła się na Bułtyryna, który niespokojnie podglądał po za drzwi i o czemś z garderobianą szeptem rozmawiał.

— Jedziemy do domu — stanowczo rzekła Muroczka.

— Aha! Nie udało się z kochankiem! — uśmiechnął się ironicznie Bułtyryn, mówiąc do siebie. »Jedziemy i owszem!«

Uczepił się Muroczki za rękę, sprowadził ją na parter i pokazawszy język jakiemuś panu, spoglądającemu uparcie na piękną twarz Muroczki, siadł z nią do dorożki.

— Szkoda, żeśmy nie doczekali końca sztuki — z przymileniem mówił do niej, gdy dorożka ruszyła — zabawną zdaje mi się ta sztuka.

Muroczka z nienawiścią spojrzała na jego prostoduszną twarz i rzekła:

— Podły! Podły! Głupiec przeklęty! Osioł!

— Czego się pani na mnie irytuje? — zdziwił się Bułtyryn.

— Otóż to kretyn! Jak się położę spać, to umyślnie otworzę okno i wpuszczę kochanka... Ha! Ha! Ha!

— O nic z tego! Pani tego nie zrobi — z zimną krwią odpowiedział Bułtyryn.

— Dlaczegoż to nie? Pozwoli się pan zapytać?

— A dlatego, że ja sobie wezmę fotel, siądę w sypialnym pokoju i będę pilnował!

— Pan masz bzika! Jesteś pan do tego stopnia głupi, że nie możesz poznać się na żarcie!

— Ślicznie! Pięknie! A ja i tak zrobię! Boś się pani wygadała a teraz chcesz się pani wyłgać. Jak mi Bóg miły, tak siądę sobie w pokoju sypialnym. Ja nie na darmo dałem słowo Jerzemu!

— Odważ się pan tylko! Zawołam stróżów i każę pana odprowadzić do policyi.

— A ja skandal zrobię! Powiem, że jestem pani kochankiem i że pani to czynisz z zazdrości o pokojówkę!

— Podły!

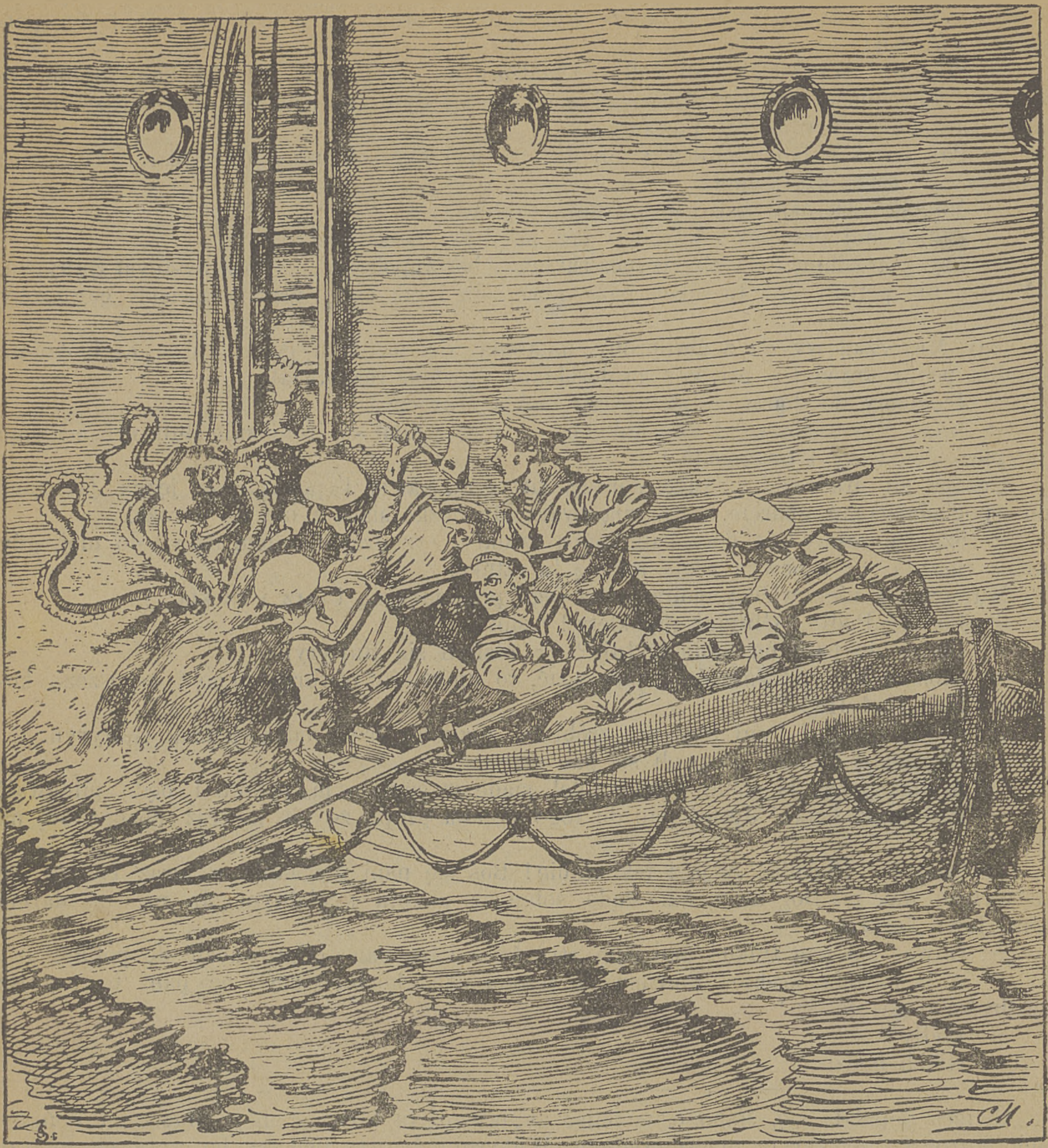
— Niech będzie!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Świeca dopalała się, słabo oświetlając sypialnię. Na łóżku spała w bluzce i w pończochach Muroczka, przykryta prześcieradłem. Widocznie bardzo płakała, bo przez sen jeszcze pochlipywała i oczy miała zaczerwienione.

W kącie, w dużym, wygodnie wyścielanym fotelu siedział drzemiąc Bułtyryn, gryząc machinalnie wyjętą z kieszeni śrubkę od lornetki i od czasu do czasu spoglądając z satysfakcyą na śpiącą.

W strasznej sytuacyi.



Jednym z najbardziej niebezpiecznych zawodów jest zawód nurka. Praca na dnie morskiem, gdzie tylko lina i wąż gumowy, dostarczający powietrza, łączy człowieka ze światem, to walka o śmierć i życie na każdym niemal kroku.

Nurek, niejaki Ledu, który pracował na dnie morza w pobliżu Toulonu, opadnięty został przez olbrzymich rozmiarów polipa. Nurek ten w ten sposób opisuje walkę stoczoną z potworem przed jednym z dziennikarzy paryskich:

Bawiłem pod wodą może niespełna kwadrans i pracowałem w głębi około 10—11 metrowej. Nagle wyczułem w wodzie dookoła siebie jakiś osobliwy ruch i odniosłem wrażenie, że dzieje się coś niezwykłego. Obejrzałem się dookoła i wówczas zdrętwiałem z przerażenia. Na kilka kroków za sobą spostrzegłem olbrzymich rozmiarów polipa, który wolnym ruchem posuwał się ku mnie, wyciągając swoje długie ramiona i macki. Krew zastygła mi w żyłach i tejże chwili przypomniałem sobie, że nie mam przy sobie sztyletu, który stale nosić ze sobą zwykłem. A właśnie potwór zbliżył się już zupełnie do mnie. Najpierw uczułem, jak opasuje moje ciało jednem ze swych długich ramion, potem czułem jak oplata mię drugie, trzecie a wreszcie czwarte ramię. Za dotknięciem tych strasznych splotów odzyskałem na chwilę przytomność i pociągnąłem za linkę alarmową.

W trzy sekundy później byłoby to dla mnie rzeczą niemożliwą. Polip ubezwładnił mi ręce i nogi i w tejże chwili straciłem zupełnie przytomność. Na szczęście koledzy moi na górze nie czekali powtórzenia sygnału i poczęli ciągnąć mię w górę. Przerażenie ich, gdy wyciągnęli mię wraz z przyczepionym do mego ciała polipem nie miało granic. — Ramiona polipa krępowały dookoła moje ciało. Z trudem udało się im oswobodzić mię z tych straszliwych więzów, które pocięto nożami. Gdy odzyskałem przytomność leżałem na dnie szalupy. Zdjęto mi chełm tak, że przebudziwszy się, ujrzałem obok siebie powalonego potwora. Mimowoli zadrżałem, przypomniało mi się znowu jak bliski byłem śmierci.

Rycina przedstawia scenę, gdy nurka wraz z przyczepionym do niego polipem wyciągnięto na powierzchnię wody.

Święty turecki.



Wśród wschodnich ludów, wyznawców Mahometa, rozpowszechnione jest mniemanie, że obłąkani cieszę się szczególniejszemi względami Ałłaha. Wierzą oni, że Ałłach zarówno karze każdego, któryby takiemu nieszczęśliwcowi wyrządził krzywdę jak, że nagradza sowicie wszystkich, którzy obłąkanemu spieszą z radą i pomocą. Rozpowszechniony jest n. p. zwyczaj, że kobiety zamężne, które nie mogą się doczekać potomstwa obdarzają hojnemi jałmużnami obłąkanych i całują ich ze czcią po rękach w tej nadziei, że niebo w nagrodą pobłogosławi ich potomstwem. To też w miastach wschodu często można widzieć sceny, podobne tym, jakie przedstawia ilustracya. Dodać należy, że nie brak też i oszustów, którzy udają obłąkanie dla wyłudzenia hojnych datków od łatwowiernych.

Dramat zazdrości.



Wielkie wrażenie wywołało w Paryżu krwawe zajście, którego smutną bohaterką jest znana w świecie literackim powieściopisarka pani Block, pisująca pod pseudonimem Fryderyka Danlieu. Od 11 lat żyła w szczęśliwem małżeństwie ze swym mężem, dyrektorem pewnego banku. Mieli dwoje dzieci: 10-letniego syna i 7-letnią córkę. W ostatnim roku nawiązał jej mąż niedozwolone stosunki z panią Bridgemann, żoną pewnego bogatego amerykanina, bawiącego stale w Paryżu. Pani Blockowa, która kochała swego męża, napróżno usiłowała uwolnić go od Amerykanki. W tym celu zawiadomiła o wszystkiem jej męża, który rozwiódł się z wiarołomną żoną. Skorzystał z tego tylko p. Block, gdyż dla swej kochanki wynajął osobny apartament, gdzie ją potajemnie odwiedzał. Dowiedziała się o tem pani Blockowa i postanowiła kres położyć hańbiącemu ją stosunkowi. Dręczona zazdrością, gdy pokojowe próby zakończenia tego niedozwolonego stosunku nie odniosły skutku, postanowiła raz na zawsze usunąć rywalkę.

Pewnego dnia udała się do jej mieszkania i po krótkiej, gwałtownej sprzeczce, dwoma celnymi strzałami rewolwerowymi pozbawiła ją życia. Gdy na odgłos strzałów przybiegła portyerowa z córką, p. Bridgemann, pławiąc się we krwi, oddawała już ostatnie tchnienie.

Tajemnica oceanu.

(Z żydowskiego).

Pierwszą część tego opowiadania każdy znaleźć może w kronice wypadków wszystkich gazet. Druga stanowi tajemnicę wielkiego Oceanu Atlantyckiego. Zbadać tę tajemnicę może ten tylko, kto rozumie, co mówią fale morskie, gdy w cichą noc podchodzą blizko do brzegów.

Oto co pisały gazety: Niedawno na wyspie imigrantów rozegrała się tragiczna, rozrywająca duszę scena. Żyd Abraham Zejligson, przyjechał zabrać z okrętu żonę i dwoje dzieci, które za nim przyjechały do Ameryki.

Na Elli Islandzie dowiedział się, że żona jego rzuciła się do morza i utonęła, gdy okręt był oddalony od Nowego Jorku o jeden dzień drogi.

Dzieci, które nie widziały ojca od dwóch lat, bały się go, jak obcego. Trzyletni chłopczyk płakał i ciągle wołał: «gdzie moja mama? Mamo!« A sześcioletnia dziewczynka smutno opowiadała: »Mamy niema. Nie żyje mama!..« Rozpaczliwie płakały dzieci. Płakał i ojciec, spiorunowany tą wieścią. Płakali pasażerowie — świadkowie smutnej sceny.

Kapitan okrętu i majtkowie opowiadają następujące szczegóły wypadku.

Żona Zejligsona, była to kobieta młoda, ładna i zdrowa. Nikt jednak nie słyszał jej śmiechu, nie widział zajętej rozmową lub biorącej udział w rozrywkach innych pasażerów. Od wszystkich trzymała się wraz z dziećmi zdaleka.

Wielkie jej czarne oczy były jakby mgłą zasnute. Widoczne było, że myśli jej ulatywały gdzieś daleko, daleko. Często stawała przy burcie okrętu; godzinami wpatrywała się w wodę i z oczu jej płynęły łzy wielkie. Szum morza głuszył jej ciężkie westchnienia, ale podchwytywał je wicher i unosił w bezgraniczną, daleką przestrzeń.

Okręt zbliżał się do Nowego Jorku.

Jeden tylko dzień drogi oddzielał ją od męża — ojca jej dzieci, a ona nagle wskoczyła. Wszczął się gwałt, krzyk. Zatrzymano okręt i spuszczono łodzie ratunkowe. Majtkowie rzucali się do wody, szukali — wszystko jednak napróżno. Ocean pochłonął nieszczęsną, młodą kobietę, a razem z nią i tajemnicę, która zmusiła ją rozstać się z drogiemi dziećmi i mężem, dla których porzuciła kraj, rodziców, przyjaciół...

Kto zbada tajemnicę, pochłoniętą przez głębię oceanu?

Cichą nocą, gdy księżyc skrył się za chmurką, a gwiazdy świeciły wysoko nad ziemią, fale oceanu podkradły się blizko do brzegu i odkryły ziemi tajemnicę.

W objęciach naszych — odpowiadały fale — znajduje się teraz ciało młodej i pięknej kobiety, która mogła jeszcze długo żyć i być szczęśliwa. Jak wszystkie córki żydowskie, wyszła za mąż dlatego tylko, że znalazła się odpowiednia partya; jak wszystkie córki żydowskie była wierna swemu mężowi, a ten dawał jej byt za to... Niepowodzenia zapędziły męża jej aż do Ameryki, a ona młoda, ładna, pociągająca, została sama... Mąż przysyłał jej pieniądze, pisywał listy i był zadowolony. Bo i czyż mógłby być niezadowolonym mężczyzna w kraju cywilizowanym, gdzie wszystkiego można dostać za pieniądze, gdzie oprócz płatnej miłości, zdarzają się prawdziwe miłosne przygody.

Na wiosnę, kiedy ziemia przebudziła się z zimowej drzemki, kiedy najmniejsza trawka, drzewa, ptaki ożyły, śpiewały i marzyły o miłości, nieoczekiwanie, nagle zbudziło się i zabiło po raz pierwszy serce młodej kobiety. Promień prawdziwej miłości wkradł się do zamkniętej ciemnicy i wzniecił tam płomień namiętny.

Natura widocznie chciała pokazać, że nic sobie nie robi z piekła, ludzkich praw, przekonań i... stało się...

Natura nie handluje miłością, żartów nie stroi i młoda kobieta poczuła, jak zadrgała w niej żywa istota, która ma takie same prawo do życia, jak i wszyscy ludzie...

Ale, kto ją rozgrzeszy z tego macierzyństwa, kto?

Trwoga i rozpacz... Przeróżne plany... Nieziszczalne, fantastyczne nadzieje i marzenia, jak mgnienie oka.. A straszliwa, sroga rzeczywistość coraz bliżej, bliżej... Bóg, mąż, znajomi, cały świat i nawet rodzice przeciwko niej! Ona samotna ze swoim występkiem!. Im bardziej okręt zbliżał się do Nowego Jorku, tem większa ją ogarniała męka i trwoga

I oto, w końcu — fatalne rozwiązanie. Prawe swoje dzieci ucałowała, a z nieprawem pod sercem odeszła tam, gdzie niema prawych i gdzie niema winnych.

Cicho kołyszą chłodne fale morskie skostniałego trupa. W smętnej zadumie spogląda mroczna ziemia. Migocące gwiazdy dalej i głębiej odchodzą w przestrzeń błękitnego nieba.

Niezgłębioną pozostaje tajemnica oceanu dla ludzi.

I zimne jego ciemno-modre fale kołyszą młode ciało pięknej kobiety...

Stajnia jako lokal śniadankowy.



»Lecznicze« działanie stajni, względnie jej atmosfery znane już jest od dziesiątek lat. Pobyt w stajni zalecano ludziom »chorym na płuca«, bo ciepło stajenne w połączeniu z »tłustem« w niej powietrzem wpływać ma na piersiowo-chorych uzdrawiająco.

Z czasem jednak ten kuracyjny pobyt w stajni wyszedł z mody. Miejsce jego zajęły inne systemy lecznicze jak kąpiele słoneczne i powietrze górskie — pozostała tylko kuracya mleczna: picie mleka »prosto od krowy«.

Obecnie znowu jest modnem przebywanie w krowiarni, zwłaszcza we Francyi, gdzie w wielu majątkach urządzono w stajniach specyalne stoły do śniadań dla letników. Te oryginalne lokale śniadaniowe urządzone są bardzo praktycznie i czysto, tak, że goście wypijają swoją porcyę mleka w zaduchu stajni z wielkim apetytem. Ta odświeżona moda uchodzi teraz także w Paryżu za ostatni wyraz szyku. Nie rzadko można więc idzieć piękne paryżanki w eleganckich spacerowych toaletach w krowiarniach dzielnic podmiejskich przy pecyalnie urządzonych stolikach, pijących na pierwsze śniadanie mleko świeże »prosto od krowy«. Na zdrowych kuracya ta oddziaływa wybornie, dla chorych zaś nie jest bynajmniej szkodliwą — przeciwnie: stwierdzono, że ciepły zaduch stajni wpływa umacniająco na osłabiony organizm.

Rycina przedstawia dwie eleganckie Paryżanki przy śniadaniu w stajni, która jest modnym dzisiaj lokalem śniadaniowym.

Srebrna szubienica.

(Z angielskiego).

Niedaleko od miasta Bedford, wśród malowniczej okolicy, leżał piękny dwór. Gustowny dom mieszkalny, budynki gospodarskie w wybornym stanie — wszystko to świadczyło o zamożności właściciela.

Był wieczór jesienny, mglisty. Cisza dokoła, tylko w rzęsiście oświeconym pokoju jadalnym w owym dworku panował gwar i wesele. Za suto zastawionym stołem biesiadnym siedziało nieduże, lecz dobrane towarzystwo: panowie i panie.

John Buntley obchodził dziś 25-lecie swej służby państwowej. Oprócz rodziny jego i pomocników, w uroczystości brali też udział dwaj koledzy jubilata, którzy przybyli z rodzinami z innych miast, gdyż w Bedford Jon Buntley nie miał kolegów. Przybyli goście zamierzali też tu przenocować, gdyż w mieście za żadne pieniądze nie znaleźliby przytułku.

Przyczyną tego była ich pozycya społeczna. Obydwaj gentlemeni, podobnie jak czcigodny jubilat, uprawiali rzemiosło (niewątpliwie bardzo pożyteczne), polegające na tem, że kochanym współobywatelom, którzy skutkiem wrodzonej niepojętności nie nauczyli się rozróżniać co »moje», a co »twoje«, lub wogóle weszli w drogę któremukolwiek z licznych paragrafów kodeksu karnego, zakładali na szyję czyściutki powróz, dobrze uwity z konopi, zadzierzgnięty w kształcie pętlicy, drugi zaś koniec przymocowywali na wiekuistą rzeczy pamiątkę do słusznie tak zwanej szubienicy, która również należy do najpotrzebniejszych sług społeczeństwa. Wprawdzie osobom tak uwiecznionym nauka ta nie na wiele się zdała, za to widzom (których zawsze bywała ilość nader poważna) służyła ona za przykład odstraszający.

Otóż rzeczony John Buntley obchodził srebrne swe gody w zawodzie katowskim — obchodził je godnie, tak, jak przystało na męża zamożnego, gdyż oprócz głównego swego zajęcia, był on też generalnym egzekutorem testamentów wszystkich czworonożnych współobywateli, co mu także zapewniało nieduży, ale pewny dochód. Dodać należy, że Buntley, podobnie jak jego przodkowie, po których odziedziczył godność swą i urząd, odznaczał się pracowitością i oszczędnością, małżonka zaś jego, również pochodząca ze starej, czcigodnej rodziny katowskiej, przyniosła mu w posagu poważną ilość funtów szterlingów.

Towarzystwo, zebrane za gościnnym stołem, zastawionym suto srebrem, szkłem, oraz najrozmaitszemi potrawami i napojami, bawiło się ochoczo. Śmiech i rozmowa nie milkły na chwilę, opowiadano sobie wesołe dykteryjki i anegdoty przeważnie na tle stosunków zawodowych. Oczywiście największe ożywienie panowało na miejscach honorowych, gdzie siedział czcigodny jubilat, jego zacna małżonka i goście, podczas gdy czeladź i pomocnicy na szarym końcu zachowywali się skromnie, słuchali uważnie, nieznacznie dolewając sobie z pękatych butelek.

»Było to — rozpoczął Buntley — w Wirginii, jeżeli się nie mylę, w roku Pańskim 1816... Skazano tam na śmierć niejakiego Creela...

Był on oskarżony o zabójstwo swego towarzysza podróży, z którym nocował w jednej oberży. Wprawdzie Creel do końca przysięgał, że jest niewinny, pieniędzy także u niego nie znaleziono, lecz były inne, pewne poszlaki, słowem wyrok prawomocny został wydany. W przeddzień egzekucyi Creel żegnał się długo i czule ze swą małżonką, następnego poranka wstał w doskonałym humorze, zapewniał wszystkich, że go nie powieszą, gdyż miał sen proroczy. Naonczas wielką wagę przywiązywano do snów, zebrali się więc sędziowie, którym Creel opowiadał co następuje: »Śniło mi się, że stałem na rusztowaniu, pod szubienicą; pan szeryf odczytał mi właśnie wyrok śmierci, pośród tłumu stał zaś nieznajomy mąż w białym kapeluszu, z czarnemi bokobrodami i w szarym płaszczu. Nagle ukazał się ptak, podobny do kruka, długo krążył nad głową nieznajomego i krakał: »Oto jest Lewis, prawdziwy morderca«.

Sędziowie postanowili wobec tego egzekucyi nie odkładać, lecz pilnie zważać, czy wśród zebranego tłumu rzeczywiście znajdzie się mąż podobny do tego, którego Creel widział we śnie.

Skazaniec stał już na rusztowaniu, miał pętlę zarzuconą na szyi i wzrokiem rozpaczliwym oglądał się po tłumie; nagle zawołał: »Oto jest!« i wskazał na nieznajomego w białym kapeluszu. Schwytano tamtego i stawiono przed sądem. Rzeczywiście miał czarne bokobrody i płaszcz szary. Zapytany, jak się nazywa, odpowiedział: Lewis. Gdy mu zarzucono zabójstwo, zmięszał się i przyznał. Creela natychmiast wypuszczono«

— Dziwny wypadek! — zawołał któryś z kolegów Buntley'a — i jak tu wobec tego w sny nie wierzyć?

Wszyscy zgodzili się na tę uwagę.

Buntley milczał, zanim każdy nie wypowiedział swego zdania, potem ciągnął dalej:

— Kiedy Creel był już za górami i w bezpieczeństwie, złapany morderca zdjął wobec sędziów przyprawne bokobrody i przedstawił się jako wierna małżonka Creela. Oboje przy pożegnaniu obmyślili taki fortel.

Ogólna wesołość zapanowała wśród grona biesiadników.

— Niema bo nic lepszego — zauważył Buntley — ponad zdrowy, wesoły śmiech. Zdaje mi się wciąż, że w naszych czasach zapomniano śmiać się. Każdy się spieszy, goni za zarobkiem, przytem ludzkość zapomina, że najwyższym skarbem jest radość i zadowolenie, które w sercu powinno mieszkać.

— Niewątpliwie — dodał — drugi kolega — niema dziś wdzięczności na świecie. Mojem zdaniem, kto uczciwie obowiązek swój spełnia i pracą swą na chleb powszedni zarabia, powinien Boga chwalić i więcej nie żądać.

— Dobrze mówicie — potakiwał trzeci — co do nas jednak przyznać trzeba, że jesteśmy lepsi od innych; nie narzekamy przecie nawet wtedy, gdy mniej jest zajęcia i dochody spadają.

— Serce pełne prostoty — zauważył Buntley — jest najwyższym skarbem.

Wszyscy w skupieniu słuchali słów osiwiałego w pracy gospodarza. Niejedno dowcipne lub poważne słowo okrasiło jeszcze ucztę owego kółka dobranego, które oddzielone od reszty ludzkości, tworzyło własny swój świat. Po pieczystem zgaszono świece i na stole ukazał się tradycyjny »pudding«, oblany rumem, płonący.

Niespodzianie do pokoju wbiegła służąca. Zdziwienie i niepokój malowały się na jej twarzy.

— Mr. Buntley — zawołała bez tchu — na górze w salonie czekają trzej nieznajomi, którzy z panem pragną się widzieć.

Ogólne zdziwienie.

— Którędyż weszli? — spytał Buntley spokojnie.

— Tego nie wiem. W każdym razie nie przez drzwi wejściowe, gdyż są zamknięte.

— Ano w takim razie chyba przez okno — odpowiedział wesoło Buntley — pójdźmy, panowie, zobaczyć, kogo przyjemność mamy powitać o tak niezwykłej porze.

Gospodarz podniósł się i za nim udali się wszyscy obecni, goście i służba, na górne piętro. W salonie rzeczywiście czekało trzech elegancko ubranych nieznajomych panów, którzy powitali gospodarza uprzejmym ukłonem.

— Czem mogę służyć panom? — zapytał Buntley.

Wtedy jeden z przybyłych naprzód się wysunął, odchrząknął i położywszy rękę na sercu, wygłosił następującą mówkę:

— Sir! Przypadł nam w udziale zaszczyt, jako przedstawicielom wszystkich złodziejów oraz w ich imieniu, tobie, czcigodny panie, z powodu 25-lecia twej owocnej pracy, złożyć serdeczne powinszowania. Wprawdzie parlament reakcyjny waha się dotychczas uznać i zaregestrować cech nasz, mimo to, pozwalamy sobie zbiorowo złożyć panu życzenia i prosić, abyś i nadal nie pozbawiał nas swych względów i towarzyszom naszym z właściwą panu zręcznością bez bólu ułatwiał podróż na tamten świat. W dowód szacunku składamy panu ten oto skromny dar jubileuszowy.

Przy tych słowach wybrał z jedwabnego futerału misternie ze srebra odlaną szubienicę i z niskim ukłonem wręczył ją jubilatowi. Gospodarzowi wzruszenie na chwilę zatamowało głos. Niebawem jednak zapanował nad sobą i miękko lecz z godnością ozwał się w te słowa:

— Gentlemeni! Ten dowód miłości waszej i przywiązania poruszył mię do głębi. Przyjmuję go i dziękuję wam z serca. Jednocześnie miło mi zapewnić was, panowie, że

i nadal, przy wypełnianiu mych obowiązków służbowych postępować będę z największą akuratnością. A teraz pozwólcie, że wam ofiaruję po kielichu wina.

To mówiąc skinął na pomocnika, który niebawem wrócił z tacą i butelkami.

— Pragnąc pożegnać czcigodnego pana, mamy jeszcze jedną prośbę, mianowicie, żeby nam wolno było opuścić te gościnne progi tą samą drogą, którą przyszliśmy, mianowicie — przez okno.

— Ależ owszem! Proszę panów!

— Zwyczaje cechu naszego tego wymagają — dodał złodziej i zręcznie zsunął się po drabinie na dół, za nim pospieszyli dwaj jego towarzysze.

— To nie tutejsi — zauważył Buntley i wszyscy się na to zgodzili.

Potem oglądano długo szubienicę, podając ją sobie z rąk do rąk, podziwiając stosowność prezentu i gust ofiarodawców.

Lecz nie był to koniec niespodziankom dnia tego. Do pokoju wpadł syn starszy gospodarza:

— Ojcze, na dole drzwi od jadalni zamknięte.

— Któżby je zamknął? — spytał Buntley. — Panowie, może który z was ma klucz przy sobie?

Lecz okazało się, że nikt nie zamykał.

Pospiesznie udali się goście na dół. Drzwi rzeczywiście były zamknięte. Gdy je nareszcie przemocą otworzono, okazało się, że z bogatej zastawy srebrnej nic nie zostało, natomiast okno było otwarte, którędy widocznie weszli i wyszli towarzysze owych złodziei, których p. Buntley gościnnie podejmował winem.

Gospodarz wcale tym przypadkiem się nie zmartwił.

— Drobnostka — zauważył — za rok, za dwa najdalej odzyskam wszystko.

Jakoż miał racyę. Po upływie roku otrzymał z powrotem swe srebra. Lecz owych trzech gentlemenów, którzy mu owego pamiętnego wieczoru ofiarowali szubienicę, nie ujrzał więcej.

Prawdopodobnie — rzekł — dali się gdzieindziej powiesić. Takie już czasy... Konkurencya...

Obrazek z pod Makowa: Poczciwa kobieta.



Spacerujący pan (do kobiety zbierającej grzyby): Słuchajcie no, matko, a umiecie wy rozróżniać grzyby trujące od jadalnych?

Kobieta: Jo ta sama przecie ich nie jem, ino sprzedaję gościom.

Całują kraj sukni i welonu.



W francuskiem mieście St. Denis, słynącem grobowcami dawnych królów francuskich, znajduje się prastare opactwo, które zarządza całym szeregiem pobożnych fundacyj, przywiązanych do grobów poszczególnych królów i królowych.

Najosobliwszą ze wszystkich jest bezprzecznie fundacya, znana pod nazwą »pocałunku kraju sukni i welonu«. Fundacya ta pochodzi od hrabiny Denise la Vallè, która w ten sposób chciała utrwalić pamięć najszczęśliwszego dnia w swem życiu, to jest dnia swego ślubu. Gdy rząd republikański skonfiskował dobra kościelne, przejął on na siebie wykonanie fundacyi tak, że »pocałunek sukni« w dalszym ciągu jeszcze jest praktykowany.

Obrządek owego pocałunku polega na tem, że narzeczone z rodu hrabiów la Vallè mają w dniu swego ślubu osobliwy przywilej, iż narzeczone ze stanu włościańskiego obowiązane są dnia owego całować kraj ich sukni i welonu ślubnego. Naturalnie przywilej, względnie obowiązek powyższy ograniczony jest do terytoryum dziedzicznej siedziby hrabiów la Vallè, pewnej wsi położonej obok St. Denis. W chwili, gdy narzeczone włościanki całują kraj sukni hrabianki, ta ostatnia rozgląda się pomiędzy niemi i wybraną nakrywa swym welonem ślubnym. Wybrana otrzymuje z odsetek kapitału fundacyjnego stosowny posag. Ponieważ nie każdego roku się zdarza, iżby jakaś hrabianka la Valé wychodziła za mąż, przeto suma przeznaczona na posag dla włościa-

nek wzrasta niejednokrotnie do pokaźnej wysokości. To też nic dziwnego, że ludność wiejska ściśle obserwuje tę sympatyczną fundacyę, która niejednokrotnie bardzo w porę przychodzi biednym, a kochającym się narzeczonym.

Walka z niedźwiedziami na gościńcu.



Wprawdzie w czasach obecnych nie zdarzają się już napady dzikich niedźwiedzi na gościńcach, jednakże wypadek podobny zdarzył się niedawno w miejscowości Abtshagen na Pomorzu. Woźnica Steding jechał o godzinie 11 w nocy wozem do domu. Nagle na szosie opadły wóz niedźwiedzie. Było ich 9, a kilka z nich usiłowało wdrapać się na wóz. Niedźwiedzie były własnością wędrownej bandy cyganów, którzy z goła nie próbowali napadniętego ratować. Niedźwiedzie były wygłodzone tak, że nawet do koni zaczęły się dobierać.

Sytuacya woźnicy stawała się z każdą chwilą coraz bardziej krytyczną. Na szczęście nadeszła pomoc. Oto szosą szli dwaj robotnicy, znajomi napadniętego. Wszyscy trzej zbrojni w drągi i koła, zaczęli odpędzać niedźwiedzie. Ale konie tymczasem odniosły już ciężkie okaleczenia. Telefonicznie zawezwana żandarmerya zjawiła się na miejscu, lecz krnąbrni cyganie stawili opór i nie chcieli wziąć niedźwiedzi na łańcuchy. Dopiero gdy żandarmi zagrozili strzelaniem, cyganie zastosowali się do rozkazu, poczem cała banda odprowadzoną została do najbliższego więzienia.

Morderstwo, którego nie było.

Pan Edmund Lacroix, doszedłszy do przekonania, że nie warto żyć na świecie, postanowił życie sobie odebrać.

Z zimną krwią rozmyślał nad rodzajem śmierci: żelazo, ogień, woda, albo trucizna — żaden z tych środków nie wydawał mu się dość odpowiednim do zakończenia wędrówki ziemskiej. W chwili, gdy tak rozmyślał, rzucił mu się w oczy pewien artykuł w gazecie i Edmund Lacroix zawołał:

— Eureka!!!... Znalazłem!!

Artykuł w gazecie był krótki i zrozumiały, a brzmiał, jak następuje: **„Morderstwo“.**

»Przy ulicy Berty, w oddalonej dzielnicy Montmartre'u zamordowano przekupkę owoców w tak wyjątkowych okolicznościach, że zmuszeni jesteśmy wszystko czytelnikom opowiedzieć. Przekupka owoców zwała się madam Angôt. Była ona wdową po wielce szanownym człowieku, spełniającym chlubnie za życia drażliwe obowiązki stróża nocnego. Za swą chlubną pracę dostał on nawet srebrny medal, który wdowa Angôt kazała oprawić i z dumą pokazywała swoim klientkom, dowodząc każdej, że jeżeli jest przekupką, to tylko dlatego, że zwaliło się na nią takie nieszczęście i że gdyby jej mąż żył, to nigdy nie zajmowałaby się sprzedawaniem gruszek albo bobu, zależnie od sezonu. Była to kobieta pięćdziesięcioletnia, silna i rzeźwa, pomimo pewnej skłonności do apopleksyi. Nikt by nie przypuścił, że skończy ona tak tragicznie, to jest, że znajdą ją zamordowaną w łóżku uderzeniem rączki parasola! Poszukiwania słynnych detektywów i paryskiej policyi nie przyniosły do tej pory żadnych rezultatów. Kradzież nie była pobudką do zbrodni, gdyż nic w domu ofiary nie zginęło, nawet złote kolczyki i zegarek z tego samego szlachetnego metalu pozostawiono w całości.

»Trzeba zgodzić się na przypuszczenie, że zbrodnia była spełniona przez zemstę, choć nikt nie znał ani jednego wroga wdowy Angôt. Z całą pewnością możemy tylko zakomunikować, że parasolka, przy której pomocy spełniono to sensacyjne zabójstwo, była ze ślicznego i trwałego jedwabiu z modną rączką, w kształcie kaczej głowy. Rączka ta jest tak niezwykłej trwałości, że, według słów lekarza, robiącego sekcyę zwłok, wystarczyło jedno lub dwa uderzenia, ażeby zabić nieszczęśliwą przekupkę warzyw«.

Wyczytawszy te straszne szczegóły, Edmund zawołał, podobnie jak Archimedes: Znalazłem! I zaraz w jego pomysłowej głowie powstał nowy pomysł skończenia z życiem: śmierć wprawdzie niezbyt zaszczytna, ale zato zupełnie pewna — ścięcie na gilotynie.

Wszystko to da się bardzo łatwo urządzić. Ponieważ zabójca z ulicy Berty nie był jeszcze wykryty, więc Edmund Lacroix postanowił udać się do władz miejskich i powiedzieć: Zabójcą jestem ja! Potem najpewniej zaprowadzą go do sądu, gdzie wszystkich zadziwi swoim cynizmem, skażą go na ścięcie gilotyną, a to jest najlepszy rodzaj śmierci dla szanującego się człowieka.

Nie tracąc czasu, Edmund Lacroix popędził do policyi. Komisarzem w Sannoix był bardzo sympatyczny Filip Servois, człowiek poważny, odznaczający się wielką prawością charakteru, ale za to niewielką odwagą. Dzięki czystym sercom mieszkańców tego partykularza, zażywał zupełnego spokoju. Żył sobie szczęśliwie w Sannoix, gdzie gorliwie hodował szparagi, i za nic na świecie nie zdecydowałby się opuścić swego odpowiedzialnego stanowiska.

Właściwie, trzeba nawet przyznać, pan Filip Servois był wielkim tchórzem. Czytanie Conana Doyle'a nabawiało go niewypowiedzianego strachu, bał się sam sypiać w swoim maleńkim domku i zgodził sobie służbę rodzaju męskiego, aby mniejszą uczuwać bojaźń. Można więc sobie wyobrazić jego przerażenie, gdy Edmund Lacroix zjawił się w jego kancelaryi i z uśmiechem na ustach rzekł:

— Jestem zabójcą z ulicy Berty!!!

Jak wszyscy, Filip Servois czytał rano w porannej gazecie szczegóły przestępstwa i trzęsąc się ze strachu, błogosławił niebo, że jest komisarzem w mieście, w którem niema ulicy Berty i w którem nie zabijano nikogo na żadnej zresztą ulicy. I nagle zjawia się przed nim jakiś osobnik i bez żadnych wstępów powiada: »Jestem zabójcą z ulicy Berty!!!«

Można było od takiego ciosu dostać apopleksyi! Pana Filipa Servois to ominęło, ale ujrzawszy się sam na sam ze zbrodniarzem — zemdlał. Edmund Lacroix był poczciwy chłopak! Zaczął mu rozcierać skronie, przykładać klucz do karku, a widząc, że to nic nie pomaga, pobiegł do kuchni, wziął octu i dał mu powąchać!

Po chwili pan Filip Servois odzyskał przytomność i drżącym głosem zaczął badanie. Edmund Lacroix zaś wyrecytował wszystko, czego się nauczył na pamięć z gazety.

Teraz już pan Filip Servois był zupełnie przekonany, że ma przed sobą przestępcę. Omyłka była niemożliwa. Ten człowiek doskonale znał wszystkie szczegóły zbrodni, nic nie opuścił, nawet drobiazgowo opisał wygląd parasolki, niewinnego narzędzia tej okropnej zbrodni!

— Kochany panie! — powiedział pan Servois — jestem zmuszony pana aresztować.

— Mnie właśnie o to idzie!

— Zamiast do więzienia, zamknę pana w swojej spiżarni! Radzę jednak ostrożność z mojem winem, bo bardzo skwaśniało w tym roku, więc może panu zaszkodzić. Ja zatelefonuję do Paryża i za godzinę pana stąd zabiorą.

Lacroix podziękował, obiecał wina nie kosztować i pozwolił się zamknąć w spiżarni.

Po chwili Filip Servois telefonował do naczelnika policyi paryskiej:

— Halo! Halo! To ja, Servois, komisarz z Sannoix! Aresztowałem zabójcę z ulicy Berty!

Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Pan komisarz pomyślał, że pan naczelnik jest za mało poważny, ale uważał za swój obowiązek spytać:

— Co mam z nim dalej robić?

— Niech go pan każe włożyć do spirytusu, bo to bardzo rzadki egzemplarz!

I naczelnik położył tubę telefonu, a pan Filip Servois osłupiał, bardzo obrażony.

W tej chwili wszedł roznosiciel i kładąc na stół gazetę, powiedział:

— Panie komisarzu, przyniosłem gazetę.

Pan komisarz machinalnie spojrzał i aż podskoczył ze zdziwienia, przeczytawszy:

»Parasolka, słynna jako narzędzie zbroni z ulicy Berty, była kupiona w nowootworzonym przy bulwarze Hausmana sklepie pod firmą „Bon Roy". Żądajcie doskonałych parasoli z kaczą głową po 5 franków 75 cent. za sztukę".

Pan komisarz padł na krzesło, jak gdyby mu kto nogi podciął.

— Więc to była reklama — jęknął. — Teraz rozumiem, dlaczego naczelnik śmiał się ze mnie!

I udał się do Lacroix, który, siedząc w spiżarni, marzył o gilotynie.

— To figlarz z pana! — rzekł komisarz.

— Ja?

— A tak! Przecież „morderstwo przy ulicy Berty" to była reklama składu parasoli!

— Nie może być!

— Czytaj pan!

I podał gazetę stroskanemu panu Edmundowi. Ten nie mógł własnym oczom uwierzyć.

— Masz tobie — mówił z płaczem — nie będę ścięty!

— A dlaczegoż pan tak pragniesz gilotyny?

— Bo źle mi na świecie!

I ciągle płacząc, opowiedział komisarzowi nieszczęśliwe swe dzieje.

Słuchając smutnej opowieści, komisarz mieszał łzy swoje ze łzami młodzieńca. Gdy opowiadanie było skończone, komisarz rzekł:

— Słuchaj, młodzieńcze! Jeżeli chcesz, zostawię cię u siebie. Potrzeba mi właśnie sekretarza, gdyż szparagarnia pochłania mi wiele czasu. Dam panu mieszkanie, życie, ubranie i kilkadziesiąt franków na drobne wydatki. Zgoda?

Edmund Lacroix się zgodził. Pozostał u pana Filipa i stali się wkrótce najlepszymi przyjaciółmi. Komisarz, patrząc na przyjaciela, mówił czasem do siebie:

— Ktoby pomyślał, że ten poczciwy chłopak mógł zamordować przekupkę z ulicy Berty!

Samobójstwo w wannie.



Żadna pora roku nie obfituje w tyle wypadków samobójczych, co wiosna. Wielce to jest charakterystycznem, że właśnie w czasie kiedy miliony jestestw rozpoczyna nowy byt — odbiera sobie życie wielka ilość ludzi różnego stanu i wieku, a przedewszystkiem młodzieży. W Krakowie np. zaszły w jednym tygodniu w maju 1912 r. trzy samobójstwa z pośród młodzieży uniwersyteckiej. Wywołało to w mieście przygnębiające wrażenie, zwłaszcza tragiczna śmierć 20-letniej słuchaczki uniwersytetu. Powody samobójstwa najczęściej bywają nieznane, a przynajmniej szczegóły ich nie przedostają się do publicznej wiadomości. Ogólnie można stwierdzić, że za główną przyczynę podają młodzi ludzie zniechęcenie do życia, nie zawsze umotywowane.

Desperaci i desperatki używają najrozmaitszych sposobów dla zerwania z życiem. Do dość częstych należy podcięcie naczyń krwionośnych.

W pewnej łaźni we Wiedniu zajęła kabinę młoda przystojna pani i prosiła, aby jej przez dłuższy czas nie przeszkadzano. Zwróciło to uwagę i kiedy po kilku godzinach kąpiąca się nie dawała o sobie żadnego znaku — wyważono drzwi kabiny. Oczom służby przedstawił się przerażający widok. W wannie przepełnionej purpurą krwi leżał blady trup nieznanej, na brzegu zaś wanny samobójcze narzędzia: brzytwa i wielki nóż. Zawezwano natychmiast lekarza, który skonstatował na rękach i nogach głębokie rany, zadane brzytwą. Śmierć nastąpiła przed godziną z powodu upływu krwi, główne bowiem arterye zostały przecięte. Z pozostawionych listów stwierdzono, że denatka targnęła się na swoje życie pod wpływem rozstroju nerwowego.

MAREK TWAIN.

Romans średniowieczny.

Była noc. Cisza panowała w wielkim starym zamku feudalnym barona Klugensztelna. Rok 1229 dobiegał końca. Wszędzie było ciemno, jedynie tylko na najwyższej wieżyczce zamku pobłyskiwało światło. Odbywała się tam tajna narada. Surowy, stary baron Klugensztein siedział we wspaniałym fotelu, zagłębiony w myślach. Wreszcie przemówił czule:

— Córko moja!

Młody człowiek o szlachetnym wyglądzie, odziany w rynsztunek rycerski, odparł:

— Mów ojcze!

— Córko moja, nadeszła chwila wyjawienia ci tajemnicy, która ciąży nad twoją młodością. Oto posłuchaj. Moim bratem jest Ulrych — wielki książe brandenburski. Umierając, nasz ojciec oświadczył, że księstwo odziedziczy ten z nas, któremu urodzi się syn; jeśli zaś obydwaj będziemy mieć córki, to spadkobierczynią staje się córka Ulrycha, jako starszego brata, lecz tylko w tym wypadku, jeśli ona nie splami swego imienia. Jeśli zaś okaże się niegodną księstwa, to spadek przechodzi na moją córkę na tychże samych warunkach.

I ja i moja żona modliliśmy się gorąco, by Bóg dał nam syna, lecz nasze modlitwy były bezowocne, przyszłaś na świat — ty! Byłem w rozpaczy, widziałem, że bogactwo wyślizguje mi się z rąk, że wszystkie nadzieje runą. A jednak miałem jeszcze podstawę do nadziei; Ulrych był już żonaty od pięciu lat, lecz nie miał dzieci. Nagle przyszła mi genialna myśl do głowy. Ty przyszłaś na świat o północy. Widzieli ciebie tylko: doktór, mamka i sześć służących. W godzinę po twem przyjściu na świat zostali oni powieszeni, a z rana wszyscy mieszkańcy mojej baronii szaleli z radości, dowiedziawszy się za pośrednictwem heroldów, że baronowi Klugenszteinowi urodził się syn, następca wielkiego księc a brandenburskiego. Tajemnica była święcie dochowana. Ciebie karmiła bliska krewna i dotychczas wszystko szło doskonale.

Gdy już miałaś 10 lat, Ulrychowi urodziła się również córka. Byliśmy strasznie zmartwieni, lecz pokładaliśmy nadzieje w ospie, szkarlatynie, doktorach lub innych naturalnych wrogach dzieciństwa. Niestety! Czekało nas rozczarowanie, rosła ona i rozwijała się. Niech będzie przeklęta. Lecz zresztą wszystko jedno. Wszak my jesteśmy spokojni. Dlatego bo, cha, cha, cha, cha, czyż nie mamy syna? Czyż nasz ukochany Konrad nie jest przyszłym wielkim księciem. Obecnie brat zestarzał się, osłabł. Sprawowanie rządów księstwa jest już dla niego ponad siły i on życzy sobie, byś objęła obowiązki następcy tronu. Twoja służba gotowa do drogi, ty jedziesz dziś wieczorem.

Słuchaj mnie uważnie i zapamiętaj każde słowo. Istnieje prawo, równie stare, jak Niemcy, które opiewa, że w razie jeśli kobieta wstąpi choćby na chwilę na stopnie tronu wielkoksiążęcego, przed ukoronowaniem w obecności narodu, musi umrzeć. A więc bądź skromna. Przed koronacyą nie siadaj wyżej miejsca pierwszego ministra, które znajduje się u stopni tronu. Trudno przypuszczać, by nasza tajemnica była kiedykolwiek wykryta, lecz w tem życiu zdradzieckiem zawsze lepiej być ostrożnym.

— Ach, ojcze! A więc to dlatego życie moje jest ciągłem kłamstwem. Pocóż ja muszę pozbawiać moją nic niewinną kuzynkę jej praw? Wybaw mnie od tego, ojcze, ulituj się nad twojem dziecięciem.

— Jakto, złe stworzenie! Więc taka jest twoja wdzięczność za to szczęście, jakie tobie zgotowałem? Klnę się na kości mego ojca, że twe sentymentalne westchnienia źle pasują do mojej decyzyi. Ruszaj bezzwłocznie do wielkiego księcia i strzeż się, nie myśl nawet o zburzeniu moich planów.

Taka była rozmowa w wieży. Trzeba dodać, że łzy i błagania dziewczęcia były płonne, nic nie mogło wzruszyć upartego starego barona. I z ciężkiem sercem rycerz Konrad przekroczył próg zamku i wyruszył w drogę w towarzystwie wasalów, rycerzy i sług.

Po wyjeździe córki stary baron zamyślił się, a potem, zwracając się do swej zasmuconej żony, powiedział:

Imość, sprawy nasze idą doskonale. Trzy miesiące temu posłałem do Brandenburga hrabiego Decyna i dałem mu piekielne polecenie. Jeśli nawet on nie potrafi go wykonać, to wygramy nawpół, jeśli zaś potrafi to uczynić, to nic w świecie nie przeszkodzi naszej córce stać się księżną, gdyby nawet zły los przeszkodził jej stać się księciem.

— Moje serce jest pełne złych przeczuć! Ja się lękam.

— Wstydź się imość, niech wrony sobie kraczą. Idźmy lepiej spać i marzyć o potędze Brandenburga.

— W sześć dni potem we wspaniałej stolicy Brandenburga rozbrzmiały radosne okrzyki narodu. Przybył Konrad, młody następca tronu. Serce starego księcia było przepełnione radością na widok wspaniałej piękności i czarujących manier Konrada. Olbrzymie sale pałacu pełne były dworaków, którzy zgromadzili się, by powitać Konrada, wszędzie widniały wesołe oblicza i szczęśliwa przyszłość księstwa zdawała się być zabezpieczona.

Lecz w jednej z oddalonych sal pałacu rozgrywała się taka scena: koło okna stała jedyna córka księcia, Constanza.

Miała ona oczy zaczerwienione i opuchnięte od łez; była ona sama jedna i mówiła głośno łamiącym się głosem.

— Boże, co ja narobiłam! Poco przyjeżdżał ten okrutny Decyn. Księstwo dla mnie stracone! Pokochałam go, jakkolwiek wiedziałam, że ojciec nie pozwoli mi być jego żoną! Jak ja jego nienawidzę! Ja — szaleję!... Wszystko stracone.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Upłynęło kilka miesięcy. Cały naród wysławiał mądre rządy Konrada. Stary książe powierzył mu wszystkie sprawy państwowe i przysłuchiwał się z radosną dumą, jak jego następca wygłaszał mowy i wydawał wyroki sądowe z miejsca pierwszego ministra. Zdawało się, że niema szczęśliwszego człowieka, niż Konrad; nie było jednak tak w istocie. Widział on z przerażeniem, że Constanza zajęła się nim, a było to nadzwyczajnem niebezpieczeństwem. Widział również, że stary książe pochwalał uczucie swojej córki i marzył o ich małżeństwie. Konrad zaczął unikać swojej kuzynki, lecz oczywiście, im więcej jej unikał, tem więcej szukała ona jego towarzystwa i szpiegowała każdy jego krok.

Tak dłużej trwać nie mogło, wszędzie tylko o nich mówiono; książe zaczął się niepokoić. Konrad chudł wskutek ciągłego wzruszenia.

Pewnego razu, wychodząc z galeryi obrazów, spotkał się z Constanzą, która schwyciła go za ręce i zawołała.

— Czemuż uciekasz odemnie! Cóż takiego powiedziałam lub uczyniłam, by cię rozgniewać? Nie gardź mną, Konradzie, ulituj się nad mojem zbolałem sercem! Nie czuję się na siłach, milczeć dłużej, kocham cię Konradzie, moje serce przepełnione jest tą miłością.

Konrad jęknął: bladość śmiertelna pokryła jego rysy. Odtrąciwszy rozpaczliwym gestem dziewczynę, zakrzyknął:

— Nie rozumiesz, co mówisz! To niemożliwe!... i uciekł, jak zbrodniarz, pozostawiając księżniczkę w niemej rozpaczy.

W kilka minut później Constanza ocknęła się, oczy jej zapłonęły gniewem.

— Omyliłam się! On z pogardą przyjął moją miłość. Odtrącił mnie, jak psa.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Czas płynął. Wyraz bólu nie schodził z twarzy córki dobrego księcia. Konrad zaś przyszedł do siebie, wzrok jego gorzał dawnym ogniem i rządził w dalszym ciągu księstwem z mądrością.

Lecz oto nagle krążyć zaczęła dziwna pogłoska, która wzrastała, rozwijała się i przedostała się wreszcie do wszystkich zakątków państwa. Wszędzie szeptano z cicha. Córce księcia urodził się syn.

Gdy pogłoska ta doszła do uszu barona Klugensztejna, powiał on trzykrotnie swoim kaskiem z piórami i zawołał:

— Niech żyje książe Konrad! Decyn spełnił wspaniale swoją misyę i zasłużył na dobrą nagrodę. Szerzył on wszędzie gorliwie fatalną wiadomość i w ciągu 48 godzin nie było człowieka w baronii, któryby o niej nie wiedział.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Rozpoczął się proces. Wszyscy dostojnicy, hrabiowie i baronowie Brandenburga zgromadzili się w sali sądu. Konrad odziany w purpurę i gronostaje zasiadał na krześle pierwszego ministra; z obydwóch jego stron siedzieli sędziowie. Stary książe rozkazał sądzić swoją córkę bez miłosierdzia i nie zjawił się na sąd, ponieważ dni jego były policzone. Biedny Konrad błagał, by go wybawić od męczarni sądzenia swojej siostry ciotecznej, lecz wszystko było napróżno; był on udręczony, zbolały. Lecz zato ojciec jego tryumfował. Nie chcąc być zauważonym przez syna, siedział w tłumie baronów i tryumfował. Gdy wszystkie uprzednie formalności zostały ukończone, minister sprawiedliwości zwrócił się do Constanzy.

»Podsądna, wstań!

Nieszczęśliwa księżniczka wstała przed swymi sędziami. Minister mówił:

— Tutaj w obliczu sędziów dowiedzione zostało, że nie będąc zamężną, miałaś syna. Według naszych starych praw przestępstwo takie karane jest śmiercią. Jedyny jest środek uniknięcia śmierci, oznajmi ci o nim nasz przyszły książe Konrad. Słuchaj uważnie.

Konrad wzniósł swe berło, a jego serce ściskało się z żalu, litując się nad nieszczęsną. Otworzył usta, by przemówić, lecz przerwał mu spiesznie minister, mówiąc:

— Nie z tego miejsca Wasza Wysokość! Prawo wymaga, by wyroki na dostojne osoby ferowane były tylko z wysokości tronu wielkoksiążęcego.

Konrad zadrżał.

Zadrżał również baron Klugensztein. Konrad nie był jeszcze koronowany. Wahał się on, blednąc z przerażenia. Trzeba się jednak było zdecydować. Już i tak spoglądano na niego ze zdziwieniem; jeszcze chwila wahania i mógłby wzbudzić podejrzenie. Wszedł więc zwolna na stopnie tronu, wzniósł berło i powiedział:

— Oskarżona! w imieniu wielkiego księcia Ulrycha spełniam swą powinność. Na mocy dawnego prawa kraju, możesz uniknąć śmierci jedynie w tym wypadku, jeśli wydasz w ręce sprawiedliwości swego wspólnika. Ratuj się więc i uczyń to!

Uroczysta cisza zapanowała w sali po tych słowach, taka cisza, że zdawało się, iż słychać bicie serca.

Księżniczka odwróciła się zwolna, oczy jej zabłysły nienawiścią i wskazując na Konrada powiedziała:

— Tyś moim wspólnikiem.

Widmo nieuniknionej zguby stanęło przed Konradem. Co mogło go ocalić. By się uniewinnić, musiałby wyjawić swą tajemnicę, a kobieta, która nieukoronowana wstąpiła na stopnie tronu, musiała umrzeć. Równocześnie i Konrad i jego surowy ojciec padli bez zmysłów, jak podcięci.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej czytelnicy nie dowiedzą się dalszego ciągu tego tragicznego opowiadania. Powiedziawszy prawdę, postawiłem swego bohatera w takie położenie bez wyjścia, że nie widzę żadnego sposobu ocalenia go. Dlatego umywam ręce i pozostawiam moim czytelnikom, by mnie wyręczyli; ja zrzekam się dokończenia tego opowiadania.

Dozorczyni chorych w roli arlekina.



Pewna pielęgniarka chorych w jednym z londyńskich szpitalów straciła miejsce z powodu dobrego uczynku. A stało się to tak: W oddziale panny Mary był chory chłopiec, któremu pielęgniarka opowiadała często historye ze swego życia w teatrze — bo była przedtem, nim się poświęciła pielęgniarstwu, aktorką. — Opowiadania te tak zainteresowały chorego chłopca, że kilka razy wyraził życzenie zobaczenia teatralnego przedstawienia. Często także słyszano, jak chłopiec we śnie fantazyował na temat teatru. Dobra siostra Mary, pragnąc spełnić życzenie swego ulubieńca (ma się rozumieć o tyle, o ile to było możliwem w warunkach szpitalnych) — przebrała się w kostyum arlekina. Przebrana w ten sposób, rozpoczęła śpiewać wesołe piosnki wśród swawolnych pląsów. Radość małego pacyenta nie miała granic, ale nie tylko on był zachwycony grą siostry — także inne pielęgniarki, a nawet lekarz nie szczędzili jej oklasków i wyrazów uznania. Inaczej jednak zapatrywał się na to przedstawienie filisterski dyrektor zakładu — uznał je za ubliżające godności siostry miłosierdzia i zarządził wydalenie Mary ze zakładu. Postępek dyrektora wywołał łatwo zrozumiałe wzburzenie opinii publicznej i na skutek licznych interwencyi srogi dyrektor musiał cofnąć swoje zarządzenie.

Pojedynek kobiet.



Były najpiękniejszemi i najzwinniejszemi tancerkami w miejscowości Soczang na Sumatrze. Specyalnością zaś — kulminacyjnym punktem ich produkcyj choreograficznych — była walka na »krise«, zakrzywione sztylety malajskie, którymi władały z nieporównaną zręcznością. Straszna ta broń podczas produkcyi tkwiła w drewnianych pochwach, które wykluczały wszelkie rany — lecz mimo to wrażenie tej walki było tak silne, że liczni widzowie, tak miedziani Malajczycy, jak i biali Holenderzy, którzy w Soczang utrzymują mały fort, co wieczór formalnie się entuzyazmowali tym »pojedynkiem kobiecym«.

Lecz obie tancerki, Maja i Lija — mimo pozornej zgody, w której żyły — głęboko się nienawidziły. Przyczyną była żywiołowa zazdrość o pewnego przystojnego sierżanta holenderskiego, który jak jednej tak i drugiej wpadł w oko i zapalił w sercu płomień miłości. A żołnierze, wiadomo, nie bardzo się liczą z następstwami — to też nic dziwnego, że pan sierżant tak z jedną, jak i z drugą romansował.

Lecz wnet nastąpiło rozwiązanie węzła dramatycznego, zadzierzgniętego między temi trojga osobami. Podczas wieczornej produkcyi w miejscowej herbaciarni, gdy dziewczęta szykowały się do walki, szepnęła Maja swej rywalce do ucha:

»Strzeż się! Widziałam, jakie spojrzenia rzucasz na obcego wojownika«!

Lija pobladła, o ile to możliwe u ciemnoskórnych dziewcząt. Bez słowa pospieszyła na plac boju. Rozpoczęła się walka na »krise« przy dźwiękach upajającej, jednostajnej muzyki gongów. Nagle Lija wyciągnęła

sztylet z pochwy i zanim widzowie mogli się zoryentować w sytuacyi, rzuciła się ze strasznym okrzykiem na przeciwniczkę. Biedna Maja nie zdołała się obronić — za chwilę leżała już martwa na ziemi, brocząc krwią ze strasznej rany w piersiach...

A zwycięska Lija apatycznie dała się ująć straży. Gdy ją odprowadzono do więzienia rzuciła tylko łzawe spojrzenie w kierunku sierżanta...

Rzadka przytomność umysłu.



Na dworcu w Monte Carlo rozegrała się przerażająca scena, która tylko dzięki nadzwyczajnym okolicznościom nie zakończyła się tragicznie. Oto pewna dama, która siedziała już w wagonie, zamierzając jechać do Mentony, miała przy sobie w koszyku dwa koty angorskie, swe ulubieńce. Niebawem uchyliła wieka koszyka, a właśnie w tej chwili lokomotywa zagwizdała przeraźliwie. Przestraszone koty jednym susem wyskoczyły przez okno — a dama rzuciła się w pościg za nimi, nie bacząc, że właśnie pociąg miał ruszyć z miejsca i biegła torem kolejowym. W trosce o swych ulubieńców nie zauważyła grożącego jej niebezpieczeństwa. Nie wiedziała, że znajduje się tuż przed lokomotywą. Spostrzegłszy jednak nadjeżdżającą lokomotywę, miała jeszcze tyle przytomności i tyle czasu, że padła na tor i legła nieruchomo między szynami, a lokomotywa przejechała ponad nią, raniąc ją tylko lekko.

POD PRZYMUSEM.

NOWELA.

I.

Wśród kwiatów więdnących i siana, na świeżo skoszonej łące tańczyli: dzieci, chłopcy i dziewczęta. Trzymając się za ręce, tworzyli koło, pośród którego stała dziewczyna szesnastoletnia, ubrana w białą perkalową sukienkę, z cerą mleczną, popielatymi, jak zboże warkoczami, z oczyma czarnemi jak aksamit. Śmiała się, rozchylając usta wiśniowe, z pod których błyskały świecące jak perły zęby.

Koło wirowało około niej powtarzając: »wybieraj, kogo kochasz!« — ona śmiała się figlarnie. Nie kochała nikogo oprócz rodziców, pozwalała się prosić. Wreszcie rozplatając ręce zatrzymała małą sąsiadkę, która z krzykiem radości rzuciła się jej w ramiona. Dziesięć par spotkało się w jednym uścisku. Każdy znalazł swoją lub swego, tylko ośmnastoletni Janek Granz pozostał sam zły, nadąsany, zerkając z widoczną urazą w stronę czarnookiej Irmy Cornu, która go zostawiła na koszu.

— To przez ciebie, Irmo! — wyrzekł z wyrzutem.

— Wybrałam, kogo kocham — odparła śmiejąc się dziewczyna.

— O, ja wiem, kiedy idzie o kochanie, to już napewno nie dla mnie ono. Mówiłaś mi wczoraj jeszcze, że mnie nie cierpisz, że jestem największy łobuz z całej wioski...

— To prawda, Janku — rzekła dziewczyna.

— Jak ty to mówisz spokojnie!.. No! mężczyzna co innego, a baby co innego. Wam przystoi równianki pleść, litować się nad zabitą wroną, dzieci pieścić... Ja przecież nie baba. Niedługo pójdę do wojska, pod rozkazy największego wodza Napoleona, który walczy z całą Europą i wszystkich zwycięża. Marzę tylko o tem... Zobaczysz, wrócę ze sztandarami wszystkich państw — wszystkie sam zdobędę... Zobaczysz, jak się do mnie będziesz wtedy uśmiechała...

— Piękne rzemiosło sobie wybierasz.., Zginiesz jak twoi bracia i będzie nowa żałoba w wiosce...

— Wiesz, że nie kule zabijają, ale przeznaczenie. Co znowu! nie wszyscy przecież giną!.. Zresztą zginąć prędzej, tu czy tam... wszystko jedno. Ja kocham wojnę a ty dzieci. Napewno mnie nie pożałujesz Irmo! Taki brzydal!.. największy łobuz z całej wioski!..

Patrzał na nią iskrzącym wzrokiem, czekając zaprzeczenia.

— Jest czas, mam nadzieję, że poprawisz się — odparła wymijająco.

— Ręczę, że skrzywiłabyś się jak po occie, gdyby ci kto powiedział, że cię kocham...

— Wszystko mi jedno... Nie wierzyłabym zresztą, bo tobie tylko w głowie Napoleon i wojna...

— Tymczasem pójdziesz za mąż Irmo... Chciałbym wiedzieć, co to za rzadki ptak będzie ten twój wybrany... ten, którego nareszcie pokochasz...

— Oh! nie tak prędko jeszcze!.. mnie dobrze u babki, nie chcę swego gospodarstwa, zmartwień, kłopotów. Lepiej mi i swobodniej dziewczyną... Zresztą pamiętam, ile się nacierpiała w swojej chacie nieboszczka matka...

— Może masz słuszność, Irmo. Widzisz, gdybym był kobietą, nie zdecydowałbym się nigdy wyjść za mąż. Dalibóg, to niezabawne! Dlatego też i ja się nie ożenię. Będzie o jedną nieszczęśliwą kobietę mniej na świecie. Zresztą to kajdany!.. niewola!.. Wolę wojnę... To wesołe rzemiosło!.. Można będzie zobaczyć kawał świata!..

— Szczęśliwy jesteś, że pójdziesz za powołaniem!.. żeby cię tylko nie zabili...

— Dobra jesteś dziewczyna, Irmo — rzekł chłopiec widocznie wzruszony. — I tobie życzę, żebyś się jaknajpóźniej pod jarzmo małżeńskie dostała!..

— Zaczynasz mi się podobać, Janku!.. i ja się go okrutnie boję... wolałabym klasztor, gdyby na zawsze zostać nie było można w chacie rodzicielskiej...

— Niech żyje Napoleon!.. dobranoc, Irmo! A nie mów nic rodzicom! Ani o wojnie, ani o cesarzu, ani o naszych wstrętach do małżeństwa... Gotowi sądzić, że cię buntuję... Zresztą ojciec mój stracił już dwóch synów... niechętnie słucha, gdy marzę o bitwach i sztandarach...

— Dobranoc Janku... dochowam święcie tajemnicy...

II.

Tymczasem w sadzie Ludwika Cornu zasiadł na ławie pod lipą stary Jakób Granz zapalając fajkę. — Zdaleka krzątała się siedmdziesięcioletnia staruszka, babka Irmy.

— Co u was słychać, sąsiedzie?

— Wszystko po staremu — a jakże zdrowie wasze?

— Dobrze! dzięki Bogu! — wiosna rozpędziła bóle...

— Słyszeliście o nowym manifeście cesarskim?..

— A!.. mówiono mi... niedobrze zrozumiałem!..

— Hm! szczęśliwi jesteście... macie córkę... niewiele was on obchodzi...

— Prawda! a wy chłopca, dwóch już wam zginęło pod rozkazami Napoleona...

Usta starego Granza zaczęły drżeć boleśnie.

— A właśnie!.. i trzeci dorasta... Lada dzień powołać go do wojska mogą. Bitwy kładą synów naszych pokotem, jak żniwo kłosy... trzeba ich ciągle zastępować... trzeb... Sam cesarz zrozumiał, że wkrótce się wioski nasze wyludnią. I tak, gdzie spojrzysz — starce tylko i dzieci. Otóż stosownie do wydanego wczoraj manifestu, pozostaną w domu wszyscy ci, którzy się ożenią w przeciągu tych kilkunastu tygodni po manifeście. Nie pomnę, kiedy się to kończy, ale czas nagli, niema go między nami na ceregiele... Wy macie córkę sąsiedzie, a ja syna — za parę tygodni, jeśli taka wasza wola, ślub może nastąpić...

Zatrzymał się zmięszany trochę, czekając odpowiedzi.

— Doskonała myśl! — wykrzyknął Cornu rozpromieniony. — Pożenimy ich, zgadzam się na to chętnie. Janek dzielny chłop, choć jeszcze szaławiła! Ale i wiek potemu, niema co mówić... Pod naszą wspólną opieką wyrobi się, będziemy mu pomagać w roli i chowaniu naszych wnuków.

— Więc, to interes skończony!

— Najzupełniej! trzeba o tem powiedzieć starej babce.

Uściskali się starzy, potem zasiedli do obgadania kwestyi posagowej przy szklance wina.

Gdy Irma wchodziła w progi chaty, stary Granz żegnał się z jej ojcem. — Dziewczyna zakrzątnęła się około wieczerzy, pomagając zdziecinniałej babce, której przytakiwała zazwyczaj, aby jej nie drażnić.

— Irma! — mruczała staruszka.

— Co babciu?

— Wstaw garnek w komin, nalej w niego wody!

— Wstawiony już babciu.

— A może woda nienalana?

— A jakże, babciu.

— Osól wodę.

— Osolona babciu.

— A nie zapomniałaś o włoszczyźnie?

— Nie, babciu!

— Czyś ją tylko dobrze wypłukała, bo wy młode nic starannie robić nie umiecie.

Dziewczyna milczała.

— Taka sama była twoja matka!.. Gdy miała lat dziesięć, wsypała raz garść pieprzu do ciasta biszkoptowego. Zepsuła mi wszystko, a robiłam ciasto doskonałe. Pamiętasz?..

— Tak, babciu.

— Roztrzepaną była, chociaż złote miała serce. Albo, kiedy szła do pierwszej Komunii włożyła pończochy na lewą stronę. Miała wtedy przecież lat trzynaście! Pamiętasz?

— Pamiętam, babciu.

Zasiedli we troje do wieczerzy. Staruszka ust nie zamykała gderając, mieszając w opowiadaniu ludzi i wypadki z różnych odległych sobie epok.

Ojciec i córka jedli w milczeniu, przytakując wszystkiemu z zasady.

Gdy zebrano ze stołu talerze i resztki jedzenia, Cornu zapalił fajkę i otworzył okno. — Przeżuwał widocznie jakieś wesołe myśli, bo zwiędłe usta uśmiechały się pod siwym wąsem, bębnił po stole tryumfalnego marsza.

— A... Irma!.. mam ci coś powiedzieć... — rzekł nagle.

— Słucham ojca...

— Był u mnie dzisiaj sąsiad nasz, Jakób Granz. Prosił o ciebie za żonę dla swego chłopca. Obiecałem. Pobierzecie się za trzy tygodnie. Resztę ci dopowie babka. Dobranoc, moje dziecko!

Wstał, wytrząsając popiół z fajki. Irma osłupiała. Nie śmiała się pytać, ani protestować, czuła, że będzie to nadaremnie. Wyrok zapadł i trzeba będzie poddać mu się w pokorze. Łzy gęste potoczyły się na białą sukienkę.

— Czego płaczesz? — zapytał stary szorstko.

— Wolałabym zostać u ojca — szepnęła łkając dziewczyna.

— Mówiłem ci, że pójdziesz za mąż za Janka Granz. Zrozumiałaś?

Irma nie odpowiadała, szlochając z rozpaczy. Co on na to powie? I jemu nowina ta jak dachówka spadnie niespodziewanie na głowę, druzgocąc piękne marzenia o swobodzie i zwycięstwach.

— To okropne — szepnęła przygnębiona. — Rozporządzano nią, jak wiązką siana, i nic na to poradzić nie było można.

Ojciec uszczypnął ją w policzek.

— Każda dziewka mazgaić się lubi na widok swatów... Będzie ślub, będzie wesele, znajdzie się i pociecha na łzy takie. Janek zdrów i dzielny chłopak!..

Kobiety udały się w milczeniu do sypialni. Babka marudziła jak zazwyczaj.

— Co to za młodzież dzisiaj!.. Za mąż iść nie chcesz?.. Kto słyszał starszym się sprzeciwiać? Za moich czasów inaczej bywało!.. Na wesele twoje włożę najpiękniejszą moją suknię... tę, którą nosiłam w dzień mego ślubu. Pamiętasz?..

— Pamiętam, babciu.

— Spódnica w duże kwiaty, zielony sukienny stanik z frakiem i guzy pozłacane. Zobaczysz, jaka będę piękna! Na ślubie moim wszyscy się za mną oglądali. Pamiętasz?..

— Pamiętam, babciu.

Irma nie mogła zasnąć. Zdawało się jej, że marzy, że to sen ciężki i przykry. Łzy strumieniami spływały na poduszki.

Staruszka, osunięta na kolano, usnęła, jak co wieczór, szepcząc pacierze za duszę swego męża Sylwestra, którego zabito w rewolucyi. Budziła się chwilami i wtedy słychać było mruczenie niewyraźne, w którem jedyne słowo zrozumiałe, imię jej męża Sylwestra powtarzało się co chwila. Niewierna jej pamięć nie pozwalała jej skończyć żadnego «Ojcze nasz« i żadnego »Ave«. Zapadała szybko w drzemkę. Dziewczyna umiała namówić staruszkę w danej chwili do udania się na spoczynek i rozebrać jej się pomagała.

Usnęła sama zaledwie nad ranem, modląc się do cienia matki, aby ją bronił przed bliską niedolą w małżeństwie.

Tymczasem wracający do chaty Jakób Granz spotkał się oko w oko z synem. Obrzucił go wesołym wzrokiem, widocznie zadowolony. Tego przynajmniej wydrze paszczom armatnim nieprzyjaciela. Chłopak zasiadł spokojnie do wieczerzy.

— Założyłeś koniom siana?

— I owsa zasypałem, a jakże!

— Trzeba wóz nasmarować dziś wieczorem. Obiecałem go ciotce dla przeprowadzki. Sam nim jutro pojadę, zostaniesz na gospodarstwie w chacie. O kulawej klaczy, którą zostawiam w stajni, pamiętaj.

— Dobrze, ojcze!

Kończono wieczerzę. Chłopak sypiał w lecie w stodole, zabierał się tedy do wyjścia. Ojciec zatrzymał go za rękaw.

— Zapomniałem ci powiedzieć, że za trzy tygodnie będziesz żonaty. Czas już, żebyś przestał latać w łąki na zabawy z dzieciakami.

Chłopak stanął, jak wryty. A wojna? a sztandary, które miał przynieść Irmie na dowód, iż żołnierka to piękne rzemiosło. Wszystko to jak pałac z kart, wywracał zapadłem postanowieniem rodzic. I on przecież nie ośmielił się protestować, zapytał tylko po chwili:

— A z kim to, ojcze, mam się ożenić?

— Z Irmą Cornu, byłem dziś u Ludwika, obiecał ci ją dać za żonę.

Chłopak poczerwieniał. Tego tylko brakowało. Biedna dziewczyna, jakże ona musiała

cierpieć w tej chwili! Dreszcz jakiś błogi wstrząsnął młodzieńcze jego nerwy. Irma była najpiękniejszą dziewczyną w wiosce, a jeśli miała zmartwienie, to nie z jego winy.

— A... z Irmą?.. — szeptał zadumany.

Zamiast do stodoły, skręcił do sypialni matki, gdzie nad stołem wisiało małe lusterko. Zbliżywszy świecę do twarzy, przyglądał się sobie uważnie. W czarnych ramkach zwierciadła ukazała się para oczów szafirowych, jak niebo, ocienionych długiemi rzęsami. Wargi pąsowe ocieniał puch ciemny, nos prosty kończyły nozdrza ruchome, jak u arabskiego konia. Regularny owal twarzy i niskie czoło dopełniały całości. Janek z zadowoleniem musnął młodziutkiego wąsa.

— Co ona na to powie? — myślał niespokojny.

Nie mógł zasnąć, siano go paliło, noc była dziwnie duszna, w skroniach pulsowały gwałtownie arterye. Zerwał się rano, czatując na pojawienie się Irmy w sadzie sąsiadów naprzeciwko. Dziewczyna ukazała się idąc z dzbankiem po wodę.

Jednym skokiem Janek znalazł się przy niej.

Stali chwilkę zmięszani, patrząc sobie w oczy.

— Wiesz już? mówił ci pewno ojciec? — szepnął chłopak.

— Tak — odparła smutno dziewczyna.

— No i cóż ty na to?

— Płakałam noc całą, pewno i ty nie spałeś ze zmartwienia?

Janek zarumienił się mimowoli.

— Ja, widzisz, nie chciałem się żenić, bo ty nie lubisz małżeństwa. Ale jak mi ojciec powiedział, że to z tobą, to wcale mi się na płacz nie zbierało. Tyś piękna i dobra dziewczyna, Irmo.

Łzy jak grad toczyły się po policzkach dziewczyny. Miała nadzieję, że chłopak nie zechce, że ją z tej toni nieszczęścia wydobędzie. I ten ostatni promyk nadziei znikał bezpowrotnie.

— Nie płacz, Irmo, ja za żadne skarby nie chcę być przyczyną łez twoich. Tyś mówiła wczoraj, żem ja największy łobuz z całej wioski. Tak było może wczoraj, ale ja przez tę noc dużo przemyślałem i czuję się dziś lepszym, godniejszym ciebie. Dlatego nie płacz! My już we dwoje środek znajdziemy na zaradzenie złemu. Myślałem, żeś może zmieniła zdanie, że nie będziesz przeciwna woli ojca. Ale jeśli cię to unieszczęśliwia to obejdę się bez pozwolenia rodzicielskiego... Wstąpię do wojska... przecież wiesz, że to moje marzenie... I mnie to małżeństwo nie w porę wypadło z tego względu...

Irma pokraśniała z radości. Rozjaśnionym wzrokiem patrzyła na tego pięknego chłopca który, przewyższając ją o głowę, schylał się do jej dziewiczego ucha, szepcąc namiętnie słowa pociechy. Dziwne ciepło biło od całej jego postaci. Poważny był, zdecydowany, pewny siebie, nic a nic nie podobny do tego łobuza, który tarzał się wczoraj jeszcze jak szalony na pokosach świeżego siana. Wydawał się starszym o lat parę.

— Dziękuję ci, Janku, szepnęła słodko. Tak będzie najlepiej. W ten sposób będziemy oboje swobodni.

Chłód nagły zmroził uczucia młodego chłopca. Szukał napróżno w tej duszy liliowej cienia swych własnych uczuć. Miał ochotę objąć ją, całować usta, pytać, czy go nigdy nie pokocha.

Irma uśmiechała się do niego przez łzy jak siostra.

Nie śmiał kłócić niewinnej jej radości, na myśl o zerwaniu możliwem ich małżeństw. Markotny powtórzył za nią jak echo:

— Tak będzie najlepiej, będziemy oboje swobodni!..

Tymczasem na progu domu ukazała się stara babka.

— Irmo, ojciec czeka na wodę; cóż to, zapomniałaś, że czas mu do roboty?..

— Idę już babciu...

Chłopiec, wziąwszy pełny dzbanek na ramię, odprowadził narzeczoną do progu domu.

— Mam do ciebie prośbę — rzekł nieśmiało.

— Mów! o co idzie?

— Nie mów rodzicom o mojem postanowieniu. Domyślasz się, iż aby mi się udało wymknąć z wioski, trzeba nam tymczasem otoczyć pomysł cały zupełną tajemnicą. Dlatego właśnie, proszę cię, pozwól mi przychodzić codzień do waszej chaty. Obecność moja

częsta u was odwróci podejrzenia, przytem... może i mnie przeznaczono zginąć jak braciom na wojnie. Miło mi będzie gawędzić z tobą, przecież się znamy od dziecka...

— Dobrze! — szepnęła wzruszona dziewczyna, niknąc we drzwiach chaty, za którymi niecierpliwiła się, gderając, babka. Z lekkiem sercem krzątała się około śniadania. Ojciec na nią spoglądał zadowolony.

— Hm!.. wczoraj beczała... dzisiaj o mało ze skóry z radości nie wyskoczy! — mruczał wesoło.

Wieczorem przyszedł Janek. Wyszli do sadu, gawędząc. Rozmawiali o wojnie, o cesarzu, o przyszłej ucieczce chłopca z wioski. Irma szczebiotała z ożywieniem. Janek zamyślał się chwilami, zatrzymując na niej długie spojrzenie. Wtedy czarne oczy dziewczyny przysłaniały się rzęsami, przestawała mówić, nie mogąc pochwycić zerwanego wątku myśli.

— Jak ty dziwnie na mnie patrzysz, — wyrzekła wreszcie.

— To jest, co przez to rozumiesz? — uśmiechnął się Janek.

— Sama nie wiem, jak to określić!.. ale zmieniło się od wczoraj.

Chłopiec westchnął cicho. Westchnienie to łagodnem ciepłem przeniknęło w serce dziewczyny.

— Co ci jest, jesteś smutny?.. a przecież dosięgasz celu marzeń!

— To prawda!.. nie grozi mi już małżeństwo dzięki tobie — odparł z przymusem.

— Prawda! a mogliśmy zostać na zawsze nieszczęśliwi.

— Teraz będziemy oboje szczęśliwi Irmo.

Spojrzeli sobie po raz pierwszy w oczy pod wpływem jednego zwątpienia, nie śmiąc przytakiwać.

Upływał dzień za dniem — naznaczony termin ucieczki zbliżał się na skrzydłach. Irma ożywiona, wesoła snuła z nim coraz nowe plany, mówiła o bitwach, przepowiadała ziszczenie najśmielszych marzeń. Były tam laury, sztandary, najwyższe stopnie wojskowe, czerwony rąbek legii honorowej z rąk cesarza...

Janek słuchał, rozumiejac w połowie, co mówiła. Liczył godziny, które go dzieliły od rozstania, — serce palił nieznany dotąd ogień — miał żal do tej siostry marmurowej, która go z takim spokojem na śmierć niechybną wyprawiała. Nie bał się śmierci, drżał na myśl, że pojedzie niekochany.

Raz gawędząc tak po dziecinnemu, wzięli się za ręce. Dłoń chłopca była rozpalona — dziewczyna zadrżała niespokojnie. Umilkli, patrząc sobie w oczy. Nagle Irma pędem puściła się ku domowi. Stara babka, drzemiąca pod lipą, przestraszyła się nie na żarty.

— Co ci się stało, rybko moja?..

— Nic!.. czas myśleć o spoczynku!

— A to nie pędź tak jak postrzelona! Za moich czasów panny nie machały rękami jak wiatraki. Chodziły zwolna, przyzwoicie. Pamiętasz?

— Pamiętam babciu!

Nadszedł Janek ze wzrokiem utkwionym w białą postać dziewczyny.

Oddalili się w milczeniu od lipy.

— Dlaczego uciekałaś, czego się boisz?..

— Sama nie wiem — szepnęła w zadumaniu dziewczyna.

Janek poczerwieniał gwałtownie, chciał mówić, zaciął się; niewyraźne dźwięki zamarły w ścieśnionem od wzruszenia gardle.

— Dobranoc, Irmo!

— Do jutra, Janku!

— Rzecz prosta, jutro dzień ostatni.

Następnego dnia spotkali się, nie śmiąc wymówić słowa »jutro«. Ojciec siedział w domu, paląc lulkę, babka drzemała pod lipą. Młodzi zawędrowali w milczeniu na koniec sadu, gdzie leżał kamień wielki, płaski, mogący służyć za ławeczkę. Usiedli na nim, patrząc na siebie.

— Więc ojciec twój nie domyśla się niczego?..

— Pewny jest, że się żenię. Naprzód dlatego, że wiadomość o narzeczeństwie przyjąłem bardzo chętnie, powtóre, ponieważ tu codzień do was przychodzę. Wczoraj mówił mi nawet, że gdyby ojciec Cornu był odmówił, miał zamiar prosić dla mnie o Zuzię Goure... Zuzia ładna i gospodarna dziewczyna...

Irma spłonęła jak wiśnia.

— A... ta, co to zawsze za tobą goniła na zabawach...

— Hm!.. lubiła mnie podobno trochę... lepsza od ciebie, Irmo!

— To zostań!.. ożenisz się z Zuzią — rzekła ostrym, nie swoim głosem, blędnąc lekko.

Serce chłopca uderzyło gwałtownie.

— Nie! ja dwa mam tylko marzenia w sercu i głowie: Ciebie albo wojnę. Nie chcesz iść za mnie, to zginę jak bracia, ale się z inną nie ożenię.

Ostatnie słowa szeptał cicho pochylony, w konchę prawie jej delikatnego jak kwiat ucha.

Dziewczyna nie cofnęła głowy... Wzruszenie nieznane, nieskończenie słodkie mięszało jej myśli, paraliżując wolę.

— Dlaczego? — szepnęła, podnosząc oczy zwolna ku nachylonej twarzy towarzysza.

Gorący pocałunek zamknął jej usta..! Nie broniła, tylko łzy jasne, toczyły się po zarumienionych jagodach.

— Czemu płaczesz, skarbie mój? — pytał tuląc ją do piersi.

— Na wojnie zabiją cię, jak braci...

— Nie, mój skarbie, nie zabiją!.. zostanę w wiosce...

— A! chcesz się ożenić z Zuzią Goure?..

Odsunęła się od niego sztywna, zalana łzami.

— Irmo! dziewczyno moja... ukochana!.. ty dbasz trochę o Janka... powiedz, że nie sprzeciwisz się woli rodziców...

Dziewczyna pochyliła się na jego piersi nieśmiało. Całowali się długą chwilę... Irma zaczynała rozumieć, dlaczego lepiej jej będzie w swojej chacie, aniżeli u ojca i babki.

— Kochasz mnie?.. — pytał chłopiec uszczęśliwiony.

— Kocham! — powtórzyła jak echo dziewczyna.

Szczęście nieznane, w snach nie przeczute otoczyło ich wonną atmosferą.

— Ach, jak ja się o ciebie bałam! jaka byłam nieszczęśliwa, że idziesz na wojnę!..

— I nie powiedziałaś mi tego, okrutna! A ja usychałem z miłości i strachu, że mnie wyprawisz jak dudka do wojska, że cię tymczasem zabierze kto inny...

— Byłbyś pojechał?

— Rzecz prosta! nie było po co zostawać w wiosce, gdyś płakała na myśl o naszem weselu!..

— Co się stało?.. Przecież znałam cię od tak dawna! Teraz serce moje zabierasz z sobą; wychodząc; tracę zupełnie głowę... Babka łaje mnie przez dzień cały za roztargnienie...

— Kochasz mnie! dziewczyno moja, ot co się stało!

— Tyś piękny chłopiec — szeptała upojona, topiąc różowe palce w czarnej Janka czuprynie.

Całowali się znowu bez pamięci.

— Irmo! — rozległ się zdaleka głos babki.

— Słucham babciu!..

Zanim zwróciła się ku domowi, dziewczyna raz jeszcze wyciągnęła ku chłopcu ramiona.

— Janku, mój kochany!

— Co, skarbie najdroższy?...

— Czy ty zawsze będziesz taki dobry?..

— Zawsze, moja stokrotko!.. Proś ojca, niech przyspieszy wesele!..

— Dobrze!.. a nie żal ci wojny i sztandarów?

— Nie żal ci wolności dziewczęcej?..

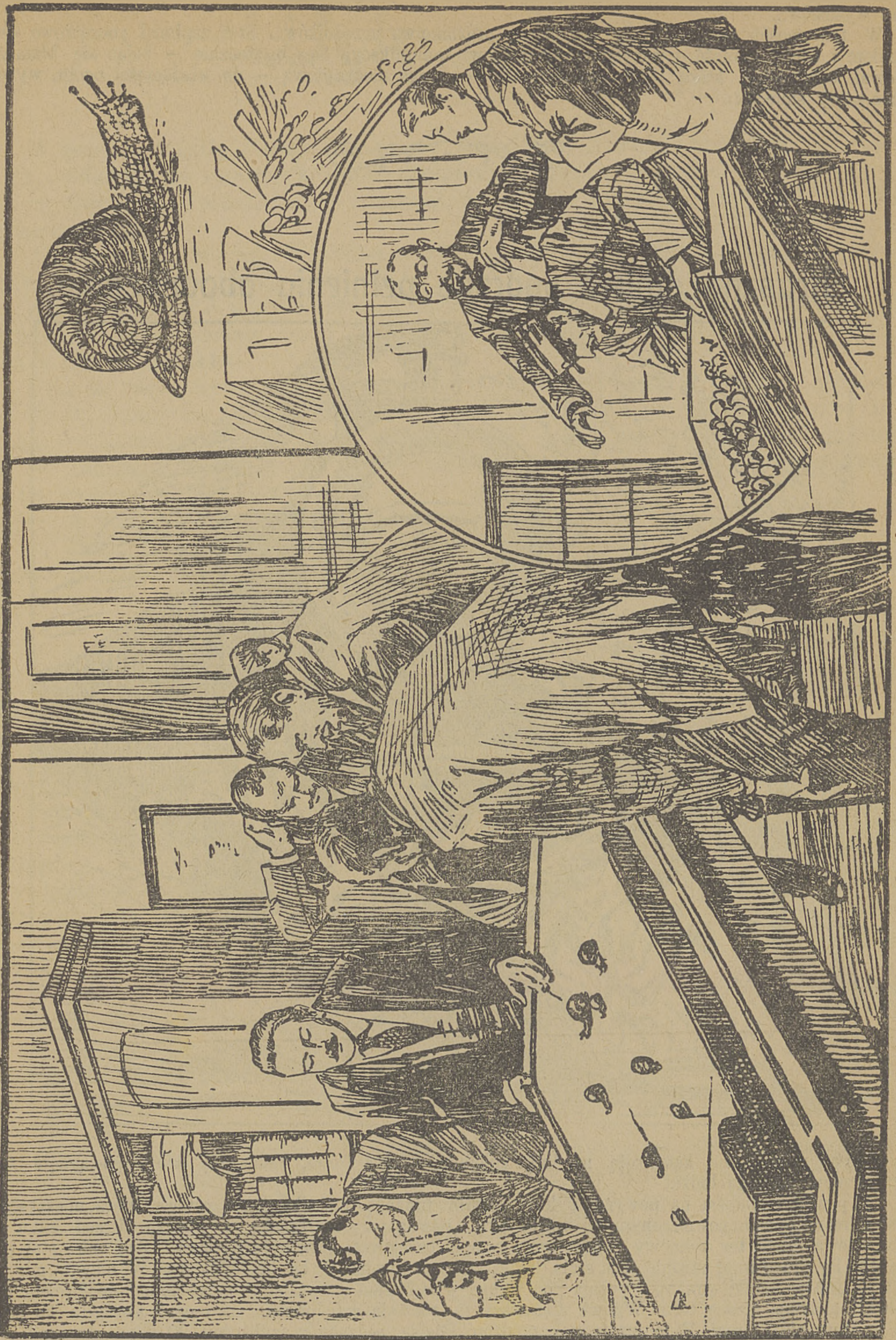
Całowali się znowu, zapominając o babce.

— Irmo!.. skaranie Boskie!.. Dowołać się jej nie można!.. Pogłuchli, czy co... Taka to młodzież dzisiaj... Nie tak za moich czasów bywało. Pamiętasz Irmo?

— Pamiętam babciu! — szczebiotała dziewczyna radośnie, patrząc figlarnie na szczęśliwego również Janka.

Dr. Antonina Myszyńska.

Dziwne odkrycie.



Naczelnik centralnego urzędu pocztowego w Paryżu pewnego dnia skonstatował, że urzędnicy kilku oddziałów podwładnego mu urzędu załatwiają swoje czynności bardzo opieszale, o czem świadczyły niezliczone skargi ze sfer publiczności. Ponieważ wszelkie napomnienia nie odnosiły skutku, postanowił naczelnik pewnego dnia dokonać niespodziewanej rewizyi. Nie mówiąc nikomu o swem postanowieniu, zjawił się pewnego dnia, pod nieobecność urzędników, w odnośnych ubikacyach i zrewidował biurka urzędników.

To, co zobaczył, przeszło najśmielsze jego oczekiwania. Szuflady były zapełnione istnymi legionami ślimaków, których chodowlę urzędnicy pocztowi uprawiali na wielką skalę. Panowie urzędnicy odpowiednio tresowali owe ślimaki i w godzinach urzędowych odprawiali »wyścigi ślimaków« z totalizatorem i innemi akcesoryami wyścigów...

W ten sposób wyjaśniła się przyczyna próżniactwa urzędników... Szef zapłonął początkowo świętem oburzeniem i chciał donieść o wszystkiem ministrowi komunikacyi, lecz ostatecznie — bojąc się blamażu — zatuszował całą aferę, która i tak jednak doszła — drogą nieurzędową — do wiadomości ogółu, wywołując wszędzie salwy śmiechu.

Straszna śmierć podczas pełnienia obowiązków.



Rycina przedstawia katastrofę na linii kolejowej Paryż-Tours, katastrofę, która pociągnęła za sobą straszną śmierć czworga ludzi.

W pewnem miejscu na powyższej linii pełniła funkcyę budnika tegoż wdowa, która mieszkała wraz z dwuletnim chłopcem powierzonym jej opiece przez pewną parę małżeńską w Paryżu. Przed kilku dniami wyszła wdowa przed tor kolejowy i spuściwszy rampę, oczekiwała przejazdu pociągu. Obok niej stał jej wychowanek. Po przeciwnej stronie toru stała jej sąsiadka ze swoim 3 letnim synkiem. W chwili, gdy pociąg zbliżył się już do budki strażnika weszła pod rampę wieśniaczka z synkiem, chcąc przed nadejściem pociągu przebiedz na drugą stronę toru. Wdowa ujrzawszy to, porwała wychowanka na ręce i skoczyła ku sąsiadce. chcąc ją zawrócić z drogi. Było już jednak zapóźno. Pociąg, pędzący z szybkością 90 kilm. dopędził uciekających i uderzywszy w nich całą siłą, położył wszystkich czworo trupem na miejscu.

A. CZECHOW.

Wykrzyknik.

W nocy, w wigilię Bożego Narodzenia, Efim Prokofjewicz Perekładin, sekretarz kolegjalny, udał się na spoczynek mocno strapiony, a nawet oburzony.

— Odczep się, przeklęta! — wrzasnął ze złością na żonę, gdy zapytała, dlaczego taki nachmurzony.

A rzecz miała się tak: Perekładin tylko co wrócił z wizyty, gdzie mówiono wiele rzeczy osobiście dlań niemiłych.

Zrazu mówiono o pożytku oświaty wogóle, następnie przeszli niepostrzeżenie na temat poziomu wykształcenia braci urzędniczej, przyczem nie szczędzono wymówek, ubolewań a nawet docinków.

I jak to często bywa w towarzystwach rosyjskich, od ogółu przeszli do jednostek.

— Ot, dajmy na to, pan, Efimie Fomiczu — zwrócił się pewien młodzieniec do Perekładina. — Zajmuje pan przyzwoite stanowisko, a... jakież pan wykształcenie odebrał?

— Żadnego. Zresztą, u nas nie wymagają wykształcenia — cicho odparł Perekładin. — Pisz poprawnie, ot i wszystko.

— A gdzież to pan nauczył się tak poprawnie pisać?

— Hm... przyzwyczaiłem się... W ciągu czterdziestoletniej służby ręka może się wprawić. Rozumie się, z początku było mi trudno, robiło się błędy, potem przyzwyczaiłem się i dobrze.

— A znaki pisarkie?

— I znaki pisarskie nic szczególnego. Stawiam je prawidłowo.

— Hm — ciągnął dalej młodzieniec — ależ przyzwyczajenie, to nie wykształcenie jeszcze.

To nic, że pan stawia prawidłowo znaki pisarskie, to nic... trzeba je stawiać świadomie.

Stawiając przecinek, powinien pan wiedzieć, dlaczego go pan postawi. A ta pańska bezmyślna, machinalna ortografia nie warta ani grosza. To maszynowa robota i nic więcej.

Perekładin milczał, a nawet uśmiechnął się pokornie (młodzieniec był synem radcy stanu i tam miał prawo do rangi X klasy), ale teraz, kładąc się spać, dał folgę oburzeniu i złości.

— Służyłem lat czterdzieści — rozmyślał — a nikt mnie durniem nie nazywał, a tu patrzcie-no, jacy się krytycy znaleźli! Bezmyślnie, »reflekcyjnie«! Maszynowa robota! Ach, ty, palże cię licho! A może ja umiem więcej od ciebie, chociażem w uniwersytecie nie studyował!

Wyczerpawszy pod adresem krytyka wszelkie znane mu wymysły i ogrzawszy się pod kołdrą, Perekładin począł się uspakajać.

— Ja wiem, rozumiem — myślał, zasypiając.

— Nie postawię dwukropka tam, gdzie potrzebny przecinek, czyli, że zdaję sobie z tego sprawę, że rozumiem. Tak, tak, młodzieńcze, wpierw należy pożyć, posłużyć, a dopiero starszych sądzić!

Przed zamkniętemi oczyma usypiającego Perekładina niby meteor, przeleciał ognisty przecinek. Za nim drugi, trzeci i wkrótce na ciemnem tle pokoju, przed oczyma wyobraźni biednego urzędnika, zamajaczyło mnóstwo latających przecinków.

— Dajmy na to... przecinki — rozmyślał Perekładin, wyczuwając błogie odrętwienie członków wskutek ogarniającego go snu.

— Wiem doskonale. Znajdę miejsce dla każdego i to świadomie, nie byle jak. Egzaminy — a zobaczysz. Przecinki kładziemy w różnych miejscach. Gdzie trzeba i gdzie nie trzeba. Im bardziej papier zawikłany, tem więcej trzeba przecinków. Kładziemy je przed „który“ i przed „że“. Jeżeli np. wyliczamy urzędników, to każdego z nich należy oddzielić przecinkiem. Wiem!

Złote przecinki zakręciły się i znikły.

Miejsce ich zajęły ogniste kropki.

— A kropkę... kładziemy na końcu papieru.

Gdzie trzeba dobrze odetchnąć i spojrzeć na słuchacza, tam również stawiamy kropkę, Po długiem zdaniu także kropka, ażeby sekretarz nie zachłysnął się przy czytaniu Więcej nigdzie nie kładziemy kropki.

I znów nadlatują przecinki. Krążą, łączą się z kropkami, i Perekładin widzi roje kropek, średników i dwukropków.

— Znam ja was — myśli. — Gdzie mało przecinka, a kropki zawiele, tam stawiamy średnik. No, a dwukropek? Dwukropek po: „postawiono", naprzykład.

Kropki i średniki przygasły. Przyszła kolej na znaki zapytania, które, wyskoczywszy z obłoków, poczęły tańczyć kankana.

— Co za dziwo! Znaki zapytania! A choćby i tysiąc, znajdę miejsce dla każdego' Stawiamy go wtedy, gdy trzeba zrobić sprawozdanie lub, dajmy na to, sprawdzić jakiś papier urzędowy. „Gdzie została przeniesiona reszta sum z roku takiego a takiego?" lub: „czy zarząd policyjny nie uważa za stosowne i t. d."?

Znaki zapytania kiwnęły potwierdzająco haczykami i momentalnie, jak na komendę, przedzierzgnęły się w wykrzykniki.

— Hm... ten znak przestankowy często używa się w listach. „Szanowny Panie!", albo: „Jaśnie wielmożny Ojcze i Dobrodzieju!" A w papierach urzędowych kiedy?

Znaki zapytania wydłużyły się jeszcze bardziej i zastygły w oczekiwaniu.

W papierach kładziemy je wtedy... hm... tego... jakże tam? Hm... W rzeczy samej, kiedy stawimy je w papierach? Czekaj-no, niech sobie przypomnę... hm...

Perekładin otworzył oczy i przewrócił się na drugi bok. Ale zanim zdążył oczy zamknąć, już na ciemnem tle pokoju zamajaczyły wykrzykniki.

— Pal was licho! — myślał, daremnie usiłując usunąć nieproszonych gości z przed oczu swej wyobraźni.

— Czyżbym zapomniał? Albo zapomniałem, albo nie stawiałem ich nigdy w życiu.

I Perekładin począł przypominać sobie po kolei treść wszystkich papierów, jakie zdarzyło mu się redagować w ciągu czterdziestoletniej swej służby, ale ani myślenie, ani marszczenie czoła nie wygrzebało z jego przeszłości ani jednego wykrzyknika.

— Także los! Pisałem w ciągu lat 40 i ani razu nie postawiłem wykrzyknika. Hm... A gdzież wreszcie ten dyabeł długonogi się stawia?

Z poza szeregu ognistych wykrzykników, wychyliła się drwiąco uśmiechnięta twarz młodzieńca — krytyka. Znaki zaś, uśmiechnąwszy się, zlały się w jeden olbrzymi wykrzyknik.

Perekładin potrząsnął głową i oczy otworzył.

Licho wie co! — myślał. — Trzeba jutro wstać wcześnie na jutrznię, a tu mi ci dyabli z głowy nie wychodzą — Tfu! Ale gdzież on się stawia nareszcie!

— Ot, masz przyzwyczajenie! A tom rękę wprawił! W ciągu lat czterdziestu ani jednego wykrzyknika!

Perekładin, przeżegnawszy się, oczy zamknął, ale czemprędzej otworzył je znów: na ciemnem tle pokoju, wciąż jeszcze migotał wielki znak.

— Tfu! W ten sposób przez całą noc oka nie zmrużę! Marto! — zwrócił się do żony, która często lubiła się chwalić z ukończenia nauk na pensyi — czy nie wiesz przypadkiem, duszeńko, kiedy stawiamy wykrzyknik w papierach urzędowych?

— Jeszczebym też tego wiedzieć nie miała! Niedarmo siedm lat uczyłam się na pensyi. Całą gramatykę umiem na pamięć. Wykrzyknik kładzie się po wołaczu i po zdaniach wyrażających wołanie, zachwyt, radość, oburzenie, gniew, oraz inne uczucia!

— Taak? — pomyślał Perekładin — zachwyt, oburzenie, radość, gniew, oraz inne uczucia...

Sekretarz zamyślił się. Redagował papiery w ciągu lat czterdziestu, zredagował tysiące, dziesiątki tysięcy, a nie pamięta ani jednego wiersza, któryby wyrażał zachwyt, oburzenie lub coś w tym rodzaju.

— Oraz inne uczucia... — myśli. — Alboż w papierach urzędowych bywają takie uczucia. Nawet bezduszny mógłby je pisać.

Wstrętna twarz młodzieńca-krytyka wyjrzała z poza ognistego wykrzyknika i uśmiechnęła się drwiąco.

Perekładin usiadł na łóżku. Bolała go głowa, na czoło wystąpiły krople zimnego potu.

W rogu pokoju słabym płomieniem gorzała lampka; meble miały wygląd czysty, świąteczny; na wszystkiem znać było obecność i dotknięcie ręki kobiecej, ale biednemu urzędniczynie nieswojo było i zimno; miał uczucie, jakby niespodziewanie rozchorował się na tyfus.

Wykrzyknik tkwił teraz już nie pod powiekami, ale tuż przed nim, w pokoju, koło tualety żony i kiwał szyderczo na Perekładina.

— Maszyna do pisania! maszyna! — szeptało widmo, oblewając urzędnika lodowatym chłodem.

— Drewno nieczułe!

Urzędnik otulił się kołdrą, ale i pod kołdrą dojrzał widmo; przytulił twarz do ramienia żony: z poza ramienia sterczał — wykrzyknik.

Biedny Perekładin męczył się tak całą noc. Ale i we dnie nie dało mu widmo spokoju. Widział je wszędzie: kładąc buty na nogi, na dnie spodka z herbatą, nawet na orderze św. Stanisława.

— ...Oraz inne uczucia — rozmyślał. — Prawda, żem żadnych uczuć nie doświadczał. Ot, teraz, naprzykład, pójdę do władz z powinszowaniem. A czyż będę co czuł przytem? Tak, ot sobie! Maszyna i nic więcej!

Kiedy Perekładin wyszedłszy na ulicę zawołał dorożkarza, wydało mu się, że zamiast niego, zajechał wykrzyknik. Wszedłszy do przedpokoju naczelnika, Perekładin, zamiast szwajcara, ujrzał — wykrzyknik.

A wszystko mówiło mu o zachwycie, oburzeniu, gniewie.

Nawet obsadka podobną była do wykrzyknika.

Perekładin wziął pióro, umoczył je w atramencie i podpisał się:

„Sekretarz, Efim Perekładin!!!“

I stawiając te trzy wykrzykniki, zachwycał się, cieszył, drżał z oburzenia i gniewu.

— Masz! masz! — szeptał, naciskając pióro.

Ognisty wykrzyknik uczuł się zadowolonym i... zniknął.

Przedpotopowy zwierz na Nowej Gwinei.



Angielski związek ornitologów dokonał podczas wyprawy naukowej na wyspie Nowej Gwinei dwóch bardzo ciekawych odkryć, jak doniosły pisma angielskie. Ekspedycyi uczonych, której przewodniczył Wlater Goodfellovs chodziło o zbadanie Gór Śniegowych, położonych w południowej części wyspy. Podczas wyprawy na jedną z gór odkryli uczeni na wysokości około 2000 stóp osadę karzełków. Ludkowie ci wzrostem ciała dosięgają zaledwie wysokości 4 stóp, kolor ich skóry jest czarny, ramiona zaś w stosunku do całej drobnej postaci są nieproporcyonalnie długie. Umysłowo są te karzełki tak słabo rozwinięte, że potrafią liczyć zaledwo do trzech.

Ekspedycya spostrzegła też ślady nieznanych dotąd zwierząt o olbrzymich rozmiarach. Jedno z tych zwierząt spotkano podczas wspinania się na górę Alberta Edwarda w zachodniej części wyspy. Jest to zwierzę, przewyższające rozmiarami słonia a kształtem przypominające kota. Kadłub potwora okrywa sierść białego koloru w czarne pręgi, głowa jego przypomina łeb tapira. Zwierzę to nazywają murzyni »Gazeka« — i boją się go »jak dyabła«.

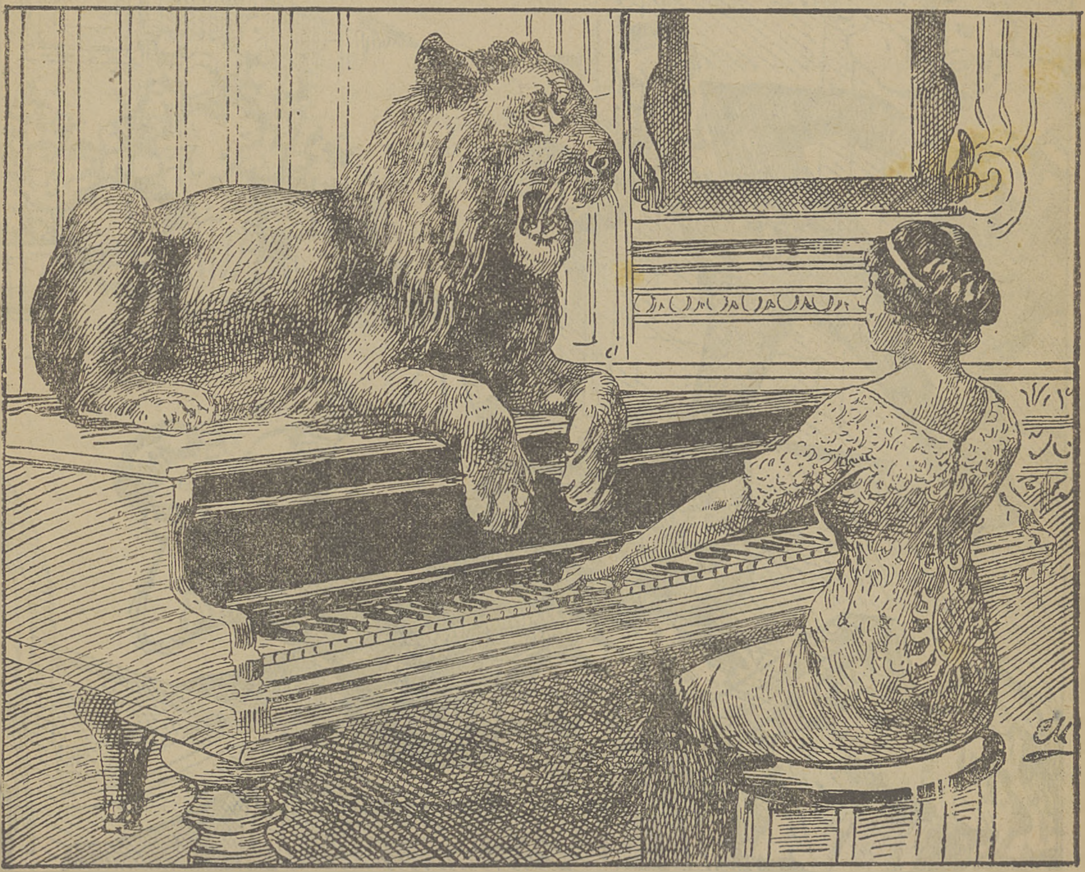
Uczestnik wyprawy C. A. Moucton dał dwa strzały do zwierzęcia, które zdaje się trafiły, mimo to groźny zwierz uszedł w gąszcz nieprzebyty, porywając po drodze jednego z karzełków — i ekspedycya już go nigdy nie spotkała.

Dr. Mathew z Nowojorskiego muzeum przyrodniczego przypuszcza, że zwierzę to jest identyczne z przedhistorycznym Diprotodonem, którego szczątki nieraz znajdowano. — Byłoby bardzo interesującem,

gdyby istotnie udało się stwierdzić istnienie zwierzęcia przedpotopowego na N. Gwinei, ale z drugiej strony podnoszą się głosy z kół uczonych, że może p. Moucton posiada zbyt bujną fantazyę...

Ilustracya nasza przedstawia owe tajemnicze zwierzę, zwane Gazeka, — a nadto wykopaną z ziemi czaszkę przedhistorycznego Diprotodona (w stosunku do czaszki ludzkiej) oraz nogę tego potwora.

Lew na fortepianie.



Tresura dzikich zwierząt wysila się na coraz to nowe pomysły, byle tylko wzbudzić zainteresowanie, się szerokich sfer publiczności. A tresura tych mieszkańców dzikich puszcz i pustyń jest nadzwyczaj uciążliwą, gdyż zwierzęta mało inteligentne, zuchwałe i podstępne, każdej chwili są gotowe rzucić się na swego pogromcę Do posłuszeństwa można je zmusić jedynie tylko groźbą i strachem. Pręt stalowy, bat, a czasem i rewolwer są nieodstępnemi towarzyszami pogromcy, którego każdy ruch, każde spojrzenie śledzą zwierzęta z największą podejrzliwością. Po dłuższym dopiero czasie zyskuje pogromca zaufanie swych wychowanków i wówczas dobrem obchodzeniem się, pieszczotami i darami może je przekonać, że nie żywi względem nich złych zamiarów. Lecz i wtedy nawet nie wolno pogromcy zapominać, że ma do czynienia z dzikiemi zwierzętami, gdyż lada ruch niewprawny może wzbudzić w zwierzętach nowe podejrzenia i przyprawić go o życie. Najłagodniejsze nawet okazy w towarzystwie innych bardziej dzikich tracą swoje zalety i stają się podobne do swych dzikich towarzyszy. Pogromcę powinna cechować nie tylko odwagą, lecz powinien on również być miłośnikiem zwierząt, gdyż tylko jedno i drugie może mu zapewnić powodzenie w jego sztuce. Pogromcy zwierząt rekrutują się nietylko z pomiędzy mężczyzn, są i kobiety, które mimo wrodzonej bojaźliwości oddają się temu niebezpiecznemu zajęciu.

Jako przykład posłużyć może pogromczyni miss Marto, która obecnie popisuje się tresurą zwierząt w niemieckich teatrach rozmaitości. Szczególniej jeden punkt z jej programu wzbudza powszechną sensacyę. Oto jeden z największych przez nią tresowanych lwów kładzie się na pudle fortepianu na którym miss Marto rozpoczyna koncert. Podczas tego lew mruczy cicho, tak że odnosi się wrażenie, iż mu się ten koncert bardzo podoba. W każdym razie lew, jako przyjaciel muzyki jest pewnego rodzaju nowością. Ilustracya sporządzona według fotograficznego zdjęcia, przedstawia tę oryginalną scenę z tresury miss Marto w otoczeniu jej dzikich wychowanków.

Chińczyk mordercą baletnicy.



We Frankfurcie rozegrał się w świecie artystów («Artisten« nazwa ta oznacza w Niemczech produkujących się we *Varietés* ludzi) krwawy dramat, który zarazem świadczy, jak wielką może być siła namiętności u Chińczyków.

Dwudziestodwuletni chińczyk Czang-Ju zastrzelił młodą »artystkę« Hildegardę Hoffmann, która występowała w jednym z berlińskich Variete pod pseudonimem Mousselli wraz z rzeczonym Chińczykiem, śpiewając duety. Chińczyk niesłychanie namiętnie pokochał dziewczynę, ona jednak chciała się od niego uwolnić i przyjęła engagement do Frankfurtu. Czang-Ju po kilku dniach pojechał za nią i o godzinie 6 z rana zjawił się w jej mieszkaniu. Gospodyni zbudziła śpiącą tancerkę — mówiąc jej, że jakiś pan chce się z nią zobaczyć w ważnej sprawie. Gdy tancerka otworzyła drzwi, chińczyk dał do niej 3 strzały z rewolweru, które dziewczynę trupem położyły, następnie wypalił dwukrotnie do siebie. Padając, ramieniem objął kochankę i skonał obok niej.

GUY DE MAUPASSANT.

SPOWIEDŹ KSIĘDZA.

(Z wydania pośmiertnego).

— Czas już spać moja kochana — przemówiła hrabina.

Troje dzieci, dwie dziewczynki i chłoczyk wstały posłusznie, aby ucałować babkę. Następnie pożegnały się ze starym księdzem, który był tego dnia na obiedzie w pałacu (jak zwykle co czwartek).

Ksiądz M... posadził sobie dwoje dzieciaków na kolana i obejmując je swemi długiemi rękami w czarnych rękawach, ojcowskim ruchem przyciągnął je do siebie, całując w czoło długim serdecznym pocałunkiem. Potem spuścił dzieci z kolan i one poszły do siebie, chłopak naprzód, dziewczynki za nim.

— Zdaje się, że lubisz dzieci księże? — zapytała hrabina.

— Tak, pani, bardzo je lubię.

Staruszka spojrzała na księdza swemi jasnemi oczami.

— I... czy samotność księdzu nigdy nie dokuczała?

— Zdarzało się, czasem, i tak.

Ksiądz zamilkł, lecz po chwili mówił dalej z wahaniem.

— Ja nie byłem stworzony do innego życia!

— Kto to wie?

— Ja wiem, napewno, stworzony byłem tylko na księdza, poszedłem za swojem przeznaczeniem.

Hrabina wciąż jeszcze patrzyła na księdza.

— Proszę mi powiedzieć, księże, jak mogłeś wyrzec się wszystkiego, co nas przywiązuje do życia, wszystkiego co nas pociesza i nas podtrzymuje. Co popchnęło na tę wybraną przez księdza drogę, co zmusiło zawrócić z tej drogiej życiowej drogi, wyrzec się małżeństwa, rodziny? Nie jesteś fanatykiem, nie należysz do ludzi egzaltowanych, nie jesteś melancholikiem i nawet nie zaliczasz się do liczby rozczarowanych. Co właściwie zmusiło cię wyrzec się świata i złożyć wieczną przysięgę? Wypadek jakiś — czy może nieszczęście?

Ksiądz wstał i podszedł do kominka, wyciągając ku ogniu swoje grube buty wiejskiego księdza. Widocznie nie mógł się jeszcze zdecydować, czy odpowiedzieć na zadane mu pytania.

Był to wysoki, ubielony siwizną starzec, zajmujący przez dwadzieścia lat stanowisko w Saint Antoine du Roche, o którym mówiąc, wieśniacy zwykle wykrzykiwali: — »To sercowy człowiek!«

Ksiądz Modron był rzeczywiście serdecznym, miłym, grzecznym i szczodrym. Gotów byłby, jak Św. Marcin rozciąć swoją szatę na połowę. Lubił też śmiać się i płakać jak kobieta z powodu drobnostki, co w przekonaniu jego parafian, szkodziło nieco jego opinii.

Stara hrabina de Saville, zamieszkała w swoim zamku du Roche dla wychowania wnucząt, po śmierci syna i synowej, które nastąpiły jedna po drugiej, lubiła bardzo swego księdza i mówiła o nim zawsze: »Ot to, to serce!«

Ksiądz zjawiał się zawsze w zamku co czwartek i spędzał cały wieczór z jego właścicielką. Oboje czuli dla siebie głębokie i szczere starcze przywiązanie. Rozumieli się doskonale, wystarczało im raz pół słowa, bo jak jeden tak druga obdarzeni byli bezgraniczną dobrocią i prostotą dobrych ludzi.

— No, księże spowiadaj się teraz przedemną, na ciebie kolej — nalegała staruszka.

Ksiądz powtórzył:

»Ja niestworzony byłem do innego życia. Na szczęście zrozumiałem to wczas i nieraz później przekonałem się, że się nie omyliłem.

Rodzice moi zajmowali się handlem w Verdiers, byli ludźmi dosyć zamożnymi, snuli na mój rachunek różne marzenia o zaszczytach i układali plany na przyszłość. Mnie bardzo wcześnie oddali z domu i umieścili w zakładzie naukowym. Trudno sobie wyobrazić

ile może przenieść dziecko oddane do gimnazyum, chociażby tylko z powodu rozłąki z rodziną i uczucia samotności. Monotonne życie pozbawione pieszczoty, dobre dla jednych, dla drugich bywa zgubą.

Młode istoty bardzo często posiadają serce bardziej wrażliwe, niż można byłoby przypuszczać i zamykając je tak wcześnie, zdala od tych, których kochają, mogą rozwinąć w nich tę wrażliwość, zwiększającą się bardzo, chorobliwą i niebezpieczną stopniowo.

Przestałem się bawić, nie miałem towarzyszów i spędzałem całe godziny myśląc o domu, płakałem po nocach leżąc w łóżku, łamałem sobie głowę, starając przypomnieć sobie wszystko, co kiedyś zaszło w rodzinie, nawet najdrobniejsze, nic nieznaczące wypadki. Myślałem też ciągle, ile ja straciłem, rozstając się z rodziną. Stawałem się powoli egzaltowaną istotą, dla której najlżejsze codzienne przykrości, wydawały się strasznem nieszczęściem. I byłem coraz bardziej milczącym, nietowarzyskim, nierozmownym. Umysł mój się rozwijał, pocichu lecz dobrze. Nerwy dzieci prędko się psują, należyłaby pilnować, aby dzieci zanim dosięgną zupełnego rozwoju, miały spokojne życie. Lecz któż może się spodziewać, że dla niektórych uczniaków, jakaś niesprawiedliwa kara jest dajmy na to, tak silnem cierpieniem, jakiem w przyszłości może być dla niego śmierć przyjaciela, któż bowiem może zdać sobie sprawę z tego, że niektóre młode dusze doznają strasznych wzruszeń z powodu drobnostki i w prędkim czasie stają się nieuleczalnie chore.

To stało się ze mną. Ten dar »wzruszenia się« rozwijał we mnie z taką siłą, że istnienie moje było prawdziwą męczarnią.

Ja tego nierozumiałem, milczałem, lecz powoli stałem się do tego stopnia wrażliwym, że dusza moja była jak krwawiąca rana. Każde dotknięcie wzbudzało w niej chorobliwe uczucia, rodziło straszne męki, wywierając na nią wpływ zgubny. Szczęśliwi są ludzie, zakuci w pancerz obojętności, uzbrojeni w stoicyzm.

Skończyłem lat szesnaście, wskutek moich skłonności do cierpienia z lada powodu, stałem się okropnie nieśmiałym. Czując się zupełnie bezbronnym przeciw ciosom losu, czy wypadku, bałem się spotkań, zdarzeń, dotknięć.

Żyłem w ciągłym strachu przed nieświadomemi lecz ciągle oczekiwanemi nieszczęściami. Nie śmiałem mówić w towarzystwie, nie śmiałem poruszyć się. Ja rozumiałem, że życie to walka, walka straszna, w której przeciwnicy obdarzają siebie strasznemi, nieuleczalnemi, śmiertelnemi ranami. Zamiast tego, żeby żyć jak wszyscy ludzie szczęśliwi z nadzieją na przyszłość, ja tylko ze strachem czekałem tej przyszłości, miałem chęć schować się, uniknąć walki, w której byłbym zwyciężonym, zabitym.

Po skończeniu gimnazyum dostałem sześciomiesięczny urlop jedynie dlatego, żebym mógł zastanowić się i pomyśleć o wyborze swojej przyszłej działalności. Bardzo zwyczajny wypadek otworzył mi oczy, dał możność zajrzeć w głąb swojej duszy, odkrył chorobliwy stan mego umysłu, wskazał na niebezpieczeństwo grożące mi i wpłynął na moje postanowienie, by uniknąć go za jakąbądź cenę.

Miasteczko, w którem mieszkałem, otoczone było lasami i równinami. Dom moich rodziców był na jednej z główniejszych ulic. Dni całe spędzałem teraz zdala od tego domu, o którym marzyłem kiedyś ze łzami w oczach. Zbudziło się we mnie usposobienie do marzeń, błąkałem się też po polach i lasach zupełnie sam, starając się rozerwać myśli.

Rodzice moi, pochłonięci zupełnie swoim handlem i zakłopotani moją przyszłą karyerą, mówili ze mną tylko o swoich dochodach lub o moich planach na przyszłość. Kochali mnie miłością ludzi statecznych, posiadających dużo praktycznej mądrości, kochali mnie więcej rozumem, niż sercem. Pozostawiony byłem sam sobie i swoim myślom i ciągle dręczony przez jakąś trwogę.

Kiedyś wieczorem, bojąc się spóźni, wracałem po długiej przechadzce do domu wielkimi krokami, gdy zobaczyłem psa biegnącego na moje spotkanie. Pies był bardzo chudy, z hiszpańskiej rasy bolończyków, z długiemi uszami, pokrytemi kręcącą się sierścią.

Stworzenie zatrzymało się, gdy znalazło się o dziesięć kroków odemnie. Ja uczyniłem to samo. Pies zaczął ruszać ogonem, zbliżając się ku mnie drobnymi kroczkami, z lękliwymi ruchami całego ciała, przysiadując na tylnych łapach i powoli ruszając głową, jakby prosząc o litość. Zawołałem go, pies zaczął pełznąć z takim smutnym i błagającym wyrazem, że oczy moje mimowoli napełniły się łzami. Podszedłem do niego, pies uciekł, lecz po

chwili znowu zaczął się zbliżać. Przykląkłem na kolano i zacząłem go zachęcać różnymi przysmakami, żeby go tylko jakkolwiek przyciągnąć. W końcu udało mi się, stworzenie się zbliżyło, zacząłem je pieścić z nadzwyczajną ostrożnością — powoli ośmieliło się, zaczęło po trochu wstawać i nareszcie opierając się przedniemi łapami o moje piersi zaczęło mi lizać twarz. Potem pies poszedł za mną aż do drzwi mego domu.

Pies był pierwszą istotą, którą pokochałem, strasznie pokochałem dlatego, że on podzielał moje uczucie. Przywiązanie do tego stworzenia było śmieszne i przesadzone. Nie wiem, dlaczego, zdawało mi się, że jesteśmy rodzeni bracia, zabłąkani na ziemi, jednakowo bezbronni i samotni. On nie opuszczał mnie nigdy, spał przy mojem łóżku, jadł razem przy stole, nie patrząc na niezadowolenie moich rodziców i towarzyszył mi w moich smutnych przechadzkach.

Często zatrzymywałem się gdzieś nad brzegiem rowu, siadałem na trawie. »Sam« (tak się nazywał ów pies) momentalnie przybiegał do mnie i kładł się na kolanach, lub obok mnie, podnosząc końcem swego pyska moją rękę, jak gdyby prosząc w taki sposób o pieszczotę.

Raz, w końcu czerwca, szliśmy po drodze, wiodącej do Saint Pierre de Chabrol, zauważyłem zbliżający się dyliżans. Zbliżał się zaprzężony czwórką pędzących galopem koni. Woźnica palił z bata, obłok kurzu podnosił się z pod kół ciężkiego wehikułu, unosząc się nad nim jak chmura.

Zupełnie nieoczekiwanie w chwili, gdy dyliżans zbliżał się ku mnie »Sam«, może nastraszony niezwykłym hałasem, lub chcąc być przy mnie, rzucił się w tę stronę. Kopnięcie nogi konia przewróciło psa. Zobaczyłem, jak pies się przewrócił, potoczył się, wstał i znowu upadł na cztery nogi i jak później cały dyliżans zadrgał, a za nim zobaczyłem niespodzianie w kurzu drogi jakąś ruszającą się masę. To był mój pies, prawie przecięty na połowę, wszystkie wnętrzności wisiały z rozprutego brzucha, krew lała się potokami. »Sam« chciał się podnieść, poruszyć, lecz tylko dwie przednie łapy poruszały się, drapały ziemię, jakby kopiąc dół, drugie dwie wisiały bezwładnie. Zwierzę wyło okropnie, oszalałe z bólu.

W kilka minut Sama już nie było. Nie mogę pani wypowiedzieć tego uczucia, jakiego doświadczyłem, nie mogę opowiedzieć, jak strasznie cierpiałem. W przeciągu miesiąca nie wychodziłem ze swego pokoju.

Pewnego wieczoru, ojciec mój, rozdrażniony moim stanem, wykrzyknął.

— Cóż się stanie z tobą, gdy doznasz prawdziwego nieszczęścia, gdy stracisz żonę, dzieci!.. Nie można takim być głupcem!

Od tej chwili słowa te utkwiły w mej głowie, zaczęły mnie prześladować.

— Cóż się stanie z tobą, gdy doznasz prawdziwego nieszczęścia, gdy stracisz żonę, dzieci!..

Zaczynałem teraz rozumieć siebie. Zrozumiałem, dlaczego wszystkie drobne przykrości codziennego życia wydają mi się takiemi nienaprawionemi nieszczęściami, zrozumiałem niestety, że jestem stworzony po to, żeby cierpieć — cierpieć okropnie przez wszystko na świecie, żeby skupiać w sobie wszystkie męczące uczucia, powiększone moją chorobliwą wrażliwością i okropny strach, strach przed życiem opanował mnie... Nie pragnąłem zaszczytów, nie miałem żadnych upodobań do niczego — postanowiłem wyrzec się możebnych radości w tem życiu, aby uniknąć pewnych smutków.

Życie krótkie postanowiłem przeżyć, służąc innym, pomagając bliźnim, znosząc ich smutki i korzystając z ich radości. Nie doświadczając sam ani jednych, ani drugich, spodziewałem się, że oszczędzę sobie wzruszeń.

Ksiądz M... zamilkł. Patrzył w ogień płonący jasno na dużym kominku, jak gdyby starając się ujrzeć w niem to wszystko tajemnicze, wszystko niewiadome, w tem życiu — którem los mógłby go obdarzyć, gdyby posiadał więcej śmiałości i siły do znoszenia cierpień. Po chwili dodał cichszym głosem:

— Miałem racyę. Nie byłem stworzonym do życia tego świata!

Hrabina nic nie odpowiedziała swemu przyjacielowi.

Nareszcie po długiem milczeniu odparła;

— Mnie się zdaje, że gdybym nie miała wnuków, nie znalazłabym w sobie siły do życia.

Ksiądz wstał, nie mówiąc ani słowa.

Hrabina sama odprowadziła go do drzwi, wychodzących na ogród i długo patrzyła, jak oddalała się powoli w ciemności postać jej gościa, oświetlona lampą.

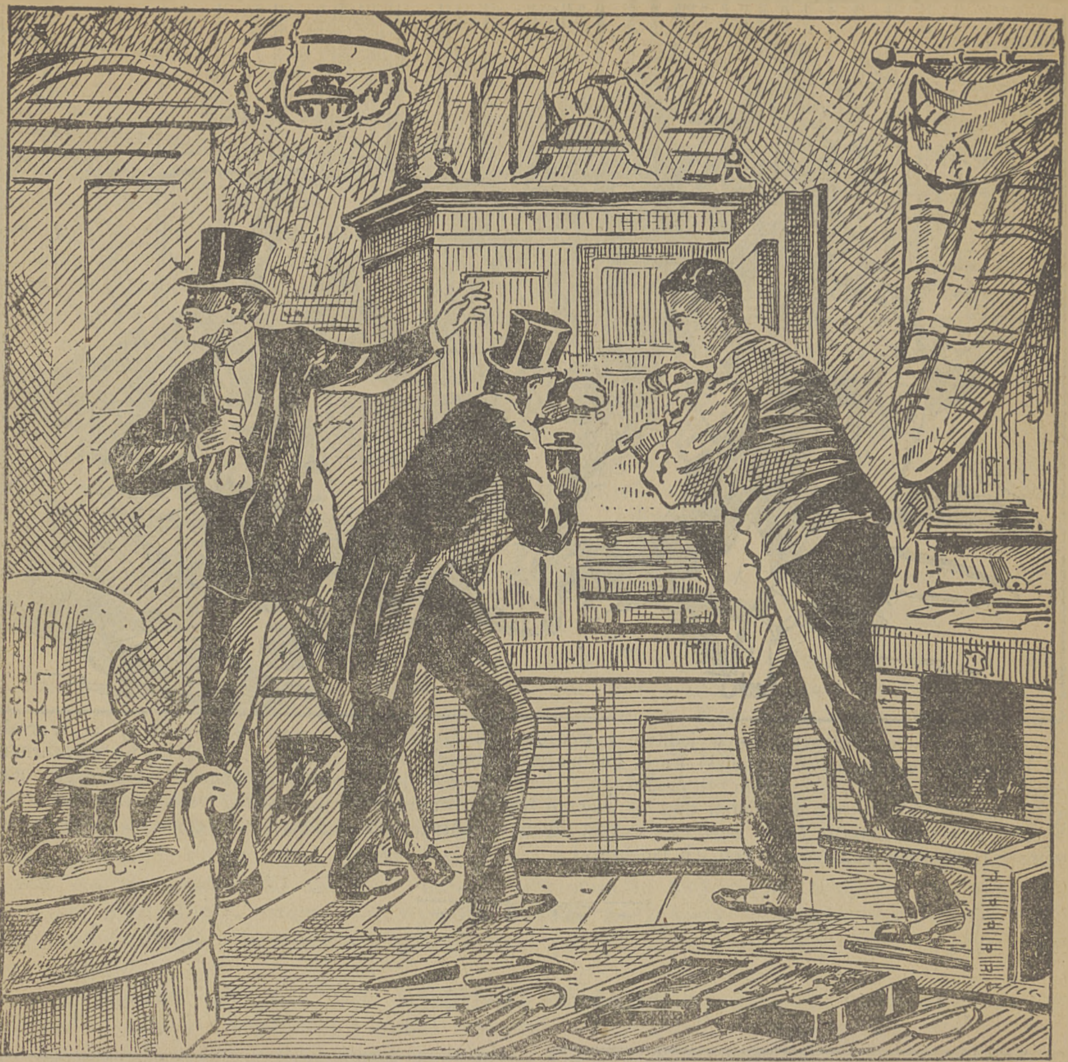
Następnie podeszła do kominka i zamyśliła się nad tem, o czem się nie myśli w dniach młodości.

Osobliwy zwyczaj weselny.



Osobliwe, stare zwyczaje istnieją na małej »Świętej wyspie« u wybrzeży angielskich, hrabstwa Northumberland. Każda panna, idąca do ślubu, podąża na brzeg morza, wstępuje na wielki głaz nadbrzeżny, gdzie orszak weselny obsypuje ją kwiatami i składa jej podarki. Żadna panna na tej wyspie nie uchyla się od tego obrzędu.

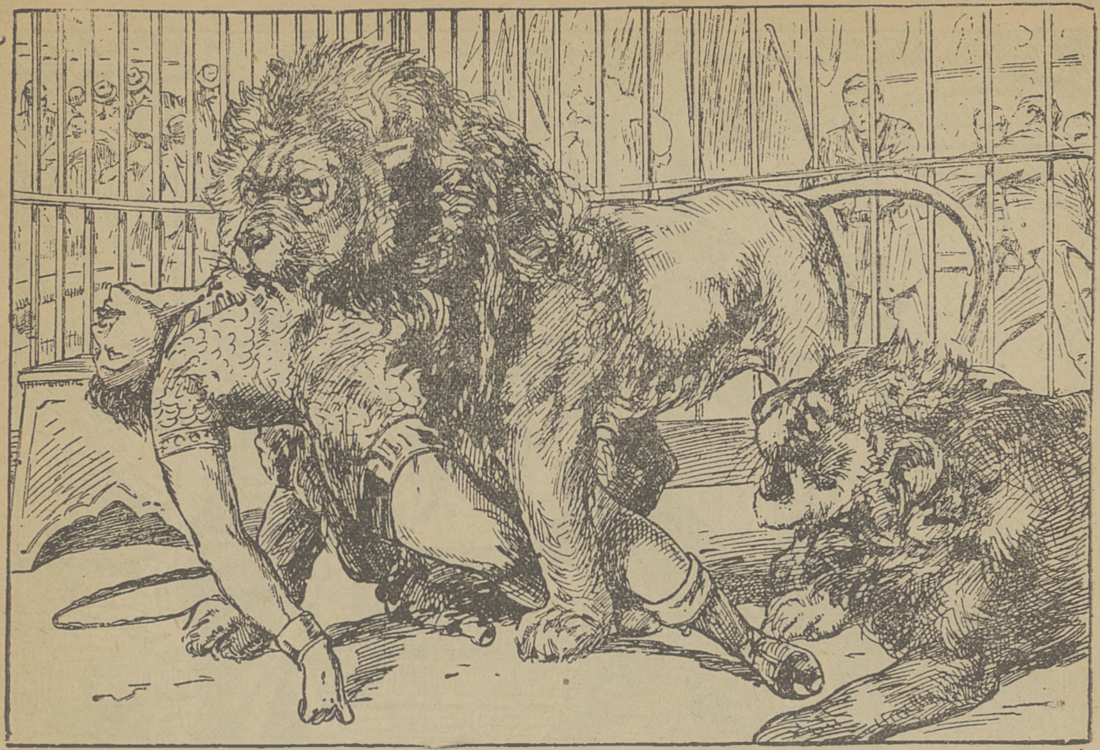
Włamywacze we frakach.



Do lokalu pewnej wielkiej firmy manufakturowej w Mannheim-Waldho dokonano niesłychanie śmiałego włamania. Bandyci w umiejętny sposób włamali się do ogniotrwałej kasy, skradli z tresoru całą gotówkę w kwocie 4000 koron, poczem uciekli. Prawdopodobnie zostali spłoszeni, gdyż na miejscu czynu zostawili część swoich narzędzi złodziejskich. Policya doszła do przekonania, że włamania dokonała międzynarodowa banda Kirscha, słynąca z tego, że jej członkowie prezentują się jak skończeni gentlemani. Bywają oni w najlepszych towarzystwach, na koncertach, w teatrach, w pierwszorzędnych restauracyach, a w nocy – wprost z zebrań towarzyskich – (to pozwala im stwarzać sobie *alibi*) — udają się do upatrzonego już poprzednio lokalu, gdzie dokonują włamania przy pomocy narzędzi najnowszej konstrukcyi.

Rycina przedstawia trio słynnych włamywaczy-gentelmanów — we frakach, cylindrach i lakierach — podczas najgorętszej pracy. Po ostatniej kradzieży umknęli do Drezna, gdzie ich jednak ujęto i osadzon w więzieniu.

Straszna scena w cyrku.



Okropna scena rozegrała się w jednym z wędrownych cyrków, który rozbił swe namioty w Wersalu pod Paryżem. Pogromca lwów, niejaki Karol Feldmann, Niemiec z rodu, który popisywał się na wieczornem przedstawieniu tresurą lwów, skończył produkcye i chciał wpędzić lwy z areny do klatek. Wtem nagle, gdy się tyłem obrócił, skoczyły ku niemu dwa największe lwy i powaliwszy go na ziemię, poczęły mu pazurami i zębami wyrywać kawałki ciała. Dozorcy zwierząt rzucili się natychmiast z żelaznemi drągami na rozbestwione zwierzęta i uwolnili Feldmana z pod ich pazurów.

Strój i zawód.



Jak się to czasy zmieniają! Dawniej ot, naprzykład jeszcze przed 40 laty — można było każdego wieszcza, muzyka, malarza etc. poznać odrazu po ubiorze i fryzurze. Obecnie jest inaczej.

AZU.

(Humoreska gaskońska przez JANA RAMEAU).

W Gaskonii panują jeszcze dawne obyczaje i mężczyzna nie da się tam wodzić za nos kobiecie. Mąż jest tam dziś jeszcze, jak ongi, przemożnym władcą i panem domu, a żona kochać go powinna tkliwie, ale i z szacunkiem, z pewną uległością i trwożną nieśmiałością dawnej niewolnicy. Żony nie pozwalają sobie prawie nigdy mówić swym mężom »ty«, co się zaś tyczy policzków, rozdzielanych tak rozrzutnie małżonkom żwawemi rączkami Paryżanek, to proceder ten jest zupełnie w Gaskonii nieznany, a kobieta nie pozwala tam sobie nigdy uderzyć mężczyzny nawet kwiatem. Oczywiście, że i tu zdarzają się niekiedy wyjątki z ogólnej reguły; gdy jednak Gaskonka zapomni się do tego stopnia, by podnieść rękę na swego męża i pana, postępek taki jest ogólnie potępiany, w razie zaś gdyby miał świadków, hańba z niego spada bardziej jeszcze na męża, niż na żonę. Mąż taki nie jest przez nikogo szanowany i żyje w ogólnej poniewierce. Otrzymuje też wkrótce przydomek »Azu« — co znaczy osioł — a znaczenie jego w gminie spada tak nisko, że, jak twierdzą wtajemniczeni, traci on nawet prawo do głosowania przy wyborach. Nie pozostaje więc nic innego takiemu biedakowi, jak wynieść się jak najprędzej ze swej gminy, by szukać szczęścia w innej, odległej okolicy, gdzie hańba jego nie stała się jeszcze tak głośną.

W miasteczku Tartas, położonem w departamencie Laudes, mieszkał pewien żandarm, nazwiskiem Maryusz, który, z wyżej wymienionych przyczyn, nie cieszył się zbyt wielkiem uznaniem swych współobywateli.

Miał on nieszczęśliwy pomysł pojęcia małżonki z poza rodzinnej Gaskonii. Kobieta ta nazywała się Amelia, była wysoka, niezwykle silna i nie stosowała się bynajmniej do miejscowych zwyczajów, trzymając krótko swego męża. Kazała mu nieść swój szal, gdy szli razem do kościoła, wchodziła wszędzie bez ceremonii pierwsza, słowem — zaznaczała przy każdej sposobności, jak mało sobie robi z mniemanej powagi gaskońskich mężów.

Stosunek ten wzajemny obojga małżonków stał się wkrótce głośny i wywołał ogólne zgorszenie tak wśród mieszkańców Tartas, jak i wśród kolegów Maryusza. Ci ostatni zwłaszcza nie mogli pojąć jego słabości, gdyż sami przyzwyczajeni byli do bezwzględnej uległości swych małżonek, nietylko dzięki uświęconym zwyczajom miejscowym, ale także skutkiem naturalnego uroku, jaki wywiera zawsze na kobiety mundur wojskowy. W stadle Maryuszów działo się całkiem przeciwnie, jak gdyby nie on, lecz żona nosiła szablę przy boku.

A przecież Maryusz był dzielnym i odważnym człowiekiem, nosił medal zasługi z czasów służby wojskowej i umiał wzbudzić odpowiedni postrach w okolicznych rzezimieszkach. W domu jednak tracił zupełnie rezon wobec wspaniałej swej i rezolutnej połowicy, a sumiaste jego wąsy zginały się mimowoli ku dołowi, jakby na znak poddania i uległości. Ale bo też pani Amelia Maryuszowa nie była zwyczajną kobietą. Wyższa o głowę od swego męża, który nie mógł przecież być zaliczonym do rzędu ludzi drobnych, posiadała przytem pięście i muskuły, mogące zaimponować niejednemu atlecie.

Poczciwy żandarm czuł oczywiście śmieszność swego położenia, któremu usiłował przeciwdziałać, rzucając w rozmowie z kolegami zdania, mające świadczyć o znaczeniu jego i powadze na łonie domowego ogniska. I tak naprzykład mawiał od niechcenia: »Posłałem właśnie Amelię do sklepiku, bo zabrakło mi tytoniu«, albo: »Żona moja dostrzegła właśnie, czyszcząc mi ubranie«, ale najczęściej majestatyczna Amelia przerywała te wynurzenia, wyrastając nagle jak z pod ziemi, i mówiąc: »Przyjacielu, mówiłam ci już tyle razy, że nie wyszczotkujesz mi nigdy porządnie moich trzewików; patrz tylko, nie mają wcale połysku«. I urok męskiej powagi Maryusza prysnął wnet, jak bańka mydlana.

Gorsza jeszcze katastrofa wydarzyła mu się w pewien wiosenny wieczór. Dnia tego, skutkiem jakiejś sprzeczki małżeńskiej, nieporozumienie jego z małżonką przybrało niezwykle ostrą formę, a przechodnie usłyszeli przez cienkie ściany mieszkania odgłos dźwięcznych policzków, wymierzanych mężowi pulchną ręką Amelii.

— Patrzcie! już go baba pierze — zauważył na głos brygadier, przechodzący właśnie obok uchylonych drzwi Maryuszów.

Żandarm, usłyszawszy ten okrzyk swego zwierzchnika, oblał się rumieńcem wstydu i postanowił ratować sytuacyę.

— Dam ja ci! — wrzasnął najgroźniejszym swym głosem, jakim przemawiał zazwyczaj do złodziei kur, schwytanych na gorącym uczynku i z rozpaczliwą determinacyą rzucił się z pięściami na żonę.

Paru kolegów jego, zwabionych wrzawą, przykleiło ciekawe twarze do szyb okna, wychodzącego na ulicę. Maryusz, widząc się śledzonym, postanowił się pokazać i zaczął istotnie okładać razami niesforną swą połowicę, ale chwilowa ta jego przewaga nie trwała długo. Trzema rzutami rąk zrzuciła z siebie Amelia przyciasny trochę kaftan, a naprężywszy muskuły, stanęła naprzeciw męża w klasycznej pozie cyrkowych zapaśników.

— A no! spróbuj jeszcze! — krzyknęła wyzywająco.

Jednem spojrzeniem ocenił Maryusz położenie, a sądząc, że uczynił już zadość wymaganiom męskiego honoru, podkręcił wąsa i zrobił pół obrotu, z zamiarem wycofania się do przyległego pokoju. Ale za oknem powstał naraz głośny śmiech i biedny żandarm przekonał się z rozpaczą, że liczba widzów zwiększyła się znacznie, tworząc pod oknem liczne zbiegowisko.

Nie mógł przecie kompromitować się wobec takiej mnogości świadków, zawrócił więc na pole walki, chcąc okazać do końca niezłomne męstwo. Rzucił się na żonę, a ująwszy ją w pół, usiłował ją obezwładnić. Przez chwilę zdawało się już, że się mu to powiedzie i już stojący za oknem ulicznicy zaintonowali na cześć jego Marsyliankę. Ale naraz sytuacya się zmieniła i biedny żandarm uczuł się uniesionym, jak piórko, potężnemi ramionami zwycięskiej Amelii.

— Amelio! zmiłuj się, uważaj! — szeptał rozpaczliwie napróżno.

Rozjuszona kobieta nie zważała już na nic i wykręcała swego chłopa, jak mokrą bieliznę.

— Nie róbże głupstw, Amelio — jęczał rozpaczliwie Maryusz, usiłując wydostać się z żelaznych objęć, a przynajmniej pociągnąć swą małżonkę do jadalnego pokoju, gdzie nie miałby przynajmniej świadków swego upadku.

Przez uchylone drzwi od ulicy widział coraz to więcej głów nagromadzonych: dwaj sklepikarze, trzej listonosze, wójt, sędzia nawet, wogóle wszyscy znamienitsi obywatele Tartas zbiegli się, jakby umyślnie, i patrzyli na jego pogrom.

Wreszcie nadludzkim wysiłkiem udało się Maryuszowi przedostać się do jadalnego pokoju, gdzie runął pod stół, wołając:

— A, mam cię wreszcie!

Mniemał, że okrzykiem tym wprowadzi w błąd zgromadzonych widzów, którzy uwierzą, że ostatecznie jednak pokonał wojowniczą niewiastę, ale głos uwiązł mu w gardle. gdy ujrzał niespodzianie dwóch wyrostków, którzy zakradli się byli od dziedzińca i wskoczywszy do jadalni przez otwarte okno, stali się świadkami jego klęski.

Oczywiście, że przygoda ta stała się głośną w całej gminie, pociągając za sobą opłakane skutki dla biednego Maryusza. Gdyby przynajmniej nie był on żandarmem, lecz innym jakim spokojnym obywatelem, rzemieślnikiem lub rolnikiem, zapomnianoby prawdopodobnie z czasem o całej tej historyi. Ale być stróżem bezpieczeństwa publicznego, a pozwalać się w domu bić własnej żonie, tego było zawiele mieszkańcom Tartas i nie można się było spodziewać, aby przywrócili oni kiedy swój szacunek shańbionemu w ten sposób człowiekowi.

W pierwszych dniach po opowiedzianem powyżej zajściu, Maryusz nie śmiał prawie wychylić się ze swego mieszkania w przekonaniu, że na każdym kroku spotkają go szykany. I rzeczywiście, pokazywano go sobie palcem na jego widok. Bezpośredni zaś jego przełożony, brygadyer, okazał się jeszcze surowszym. Nie raczył nawet spojrzeć na biedaka i przestał zupełnie mówić do niego poza zleceniami urzędowemi. Raz tylko rzucił mu przez zęby parę słów, marszcząc straszliwie gęste swe brwi, podobne do dwóch najeżonych krzaków.

— Mógłbyś pan przynajmniej szanować mundur, który nosisz.

Maryusz poczerwieniał, a serce jego ścisnęło się boleśnie pod wojskowym medalem; czuł biedak, że karyera jego jest już na dobre zwichnięta. Próbował jednak walczyć jeszcze z losem i podwoił służbową gorliwość. Na nic się to jednak nie zdało, bo wieść o jego awanturze rozeszła się już i w dalszych okolicach i dobiegła prawdopodobnie do uszu rzezimieszków, którzy przestali się go naraz bać i urągali mu poprostu. Doszło do tego, że ukradziono mu szynkę z jego własnej kuchni, a gdy raz, napotkawszy kłusownika w rządowych lasach, miał zamiar go aresztować, łotrzyk nie uciekał wcale na jego widok i oczekiwał bezczelnie jego zbliżenia się. Gdy zaś Maryusz, położywszy rękę na ramieniu zuchwalca, wygłosił dźwięcznym swym barytonem: »W imieniu prawa aresztuję cię«, kłusownik umknął mu bez ceremonii z przed nosa, a odsadziwszy się na paręset kroków, zwinął w trąbkę obie dłonie i przyłożywszy je do ust, krzyknął na cały głos:

— A na drugi raz »Azu« przyszlij mi swoją babę, ta mi może da rady.

Maryusz skonfudowany nie dogonił śmiałka i połknąć musiał tę zniewagę, podobnie jak wiele innych, przyczem przekonał się, że przezwisko »Azu« przyrosło już do jego osoby.

Nie lepiej powodziło mu się w domowem pożyciu. Amelia, jakby nie odczuwając krzywdy, jaką mu wyrządziła swojem postępowaniem, nie zmieniła systemu i przewodziła nad nim po dawnemu. On zaś nie miał dostatecznej odwagi, aby wyzwolić się z pod tego jarzma.

— Tak dłużej być nie może — powtarzał sobie w duchu i po namyśle kupił sobie dwudziestokilowe ciężary gimnastyczne i ćwiczył się niemi codziennie przynajmniej godzinę, w nadziei wzmożenia swych bicepsów, a oprócz tego brał ukradkiem lekcye boksowania się od wędrownego siłacza, przebywającego chwilowo w sąsiedniej gminie. Gdy się już czuł dostatecznie przysposobionym, postanowił na próbę wywołać sprzeczkę z Amelią, dla przekonania się, czy potrafi ją teraz pokonać.

Zrobił jej więc raz przy wieczerzy ostrą wymówkę z powodu niedosolonych kotletów i od słowa do słowa przyszło znów do czynnej walki, z której jednak i tym razem Maryusz nie wyszedł zwycięsko.

Działo się to na szczęście przy drzwiach zamkniętych, w ściśle domowem kółku, nie przynosząc w gruncie nowej ujmy dobrej sławie naszego żandarma, ale w każdym razie przykre mu było przeświadczenie, że ćwiczenia gimnastyczne i lekcye boksowania nie przyczyniły się w niczem do poprawienia jego stanowiska.

Tymczasem czas upływał i nadchodziły ostatki zapust. Była to epoka krytyczna dla Maryusza, gdyż według dawnego zwyczaju, w tłusty czwartek odbywała się zazwyczaj tak zwana »aznada«, to jest coś na kształt kociej, czy raczej oślej muzyki, urządzanej na cześć zbyt uległych małżonków.

Ceremonia polegała na tem, że cała młodzież wioskowa dosiadała osłów, towarzysząc parze urojonych małżonków, przybranych w maski i peruki. Para owa, przybywszy przed urząd gminny, żądała, aby ich rozłączono, gdyż związek ich nie wydał pomyślnych wyników, następnie rzucała się na siebie, zrywając sobie wzajemnie przyprawione nosy i peruki, przyczem mąż bywał zwykle powalony na ziemię. W chwili gdy padał, towarzyszący mu jeźdzcy kłuli bez miłosierdzia swe osły, które poczynały wszystkie ryczeć przeraźliwie.

Taki był zwykły przebieg tej uroczystości, w czasie której wieś cała bawiła się kosztem upatrzonej ofiary. Otóż w tym roku obiegała pogłoska, że nie kto inny, tylko Maryusz ma być bohaterem »aznady«, która odbyć się miała z większym niż kiedykolwiek rozgłosem. Byłoby to straszne upokorzenie dla biednego żandarma, a przytem brygadyer powiedział mu bez ogródek:

— Słuchaj-no pan, jeśli ci tylko zrobią tę oślą promenadę, będziesz się musiał stąd wynosić. Nie mogę przecież ścierpieć, aby sponiewierano w twojej osobie cały nasz stan.

— Amelio! — rzekł po tej rozmowie Maryusz do czułej swej połowicy. — Gdybyś kochała mię choć odrobinę, zrobiłabyś dla mnie pewną drobnostkę.

— Cóż takiego?

— Pozwól, abym cię choć raz ogrzmocił publicznie.

— Także coś.

— Ależ, kiedy to konieczne, złota moja, dobra Ameleczko. Pozwól, raz tylko jeden, ot tak dla oka ludzkiego, inaczej wyrzucą nas stąd niechybnie.

Amelia zrozumiała wreszcie i powiedziała tak:

— Staniemy — rzekła — na placu przed posterunkiem żandarmów w niedzielę po nieszporach, zaczniemy się niby sprzeczać i dam ci się dwa razy grzmotnąć o ziemię, ot tak na żarty.

— Czy tylko upadniesz, duszko, naprawdę – pytał niepewnie Maryusz.

— Ależ naturalnię; jak trzeba, to trzeba -- odparła z rezygnacyą pani Maryuszowa.

I urządzili na poczekaniu parę prób, które poszły nadspodziewanie pomyślnie. Maryusz nabrał otuchy i patrzył z ufnością w przyszłość. Przekonany był, że po takiem publicznem wystąpieniu naprawi choć w części swoją dobrą sławę. Koledzy powinszują mu niezawodnie, brygadyer zacznie go znów obdarzać szacunkiem, wieśniacy przestaną z niego drwić, a może nawet złoczyńcy drżeć będą znów przed jego powagą.

Pod wpływem słodkich tych rojeń, udał się wraz z żoną w oznaczoną niedzielę do gospody i częstował ją tam łakociami, popijając wraz z nią słodkie likiery, o nazwach tak dziwnych, że niepodobieństwem było wymówić ich i zapamiętać. Wybiła wreszcie godzina czwarta, a ludzie, wyszedłszy z nieszporów, gromadzić się zaczęli na placu przed gospodą. Oboje małżonkowie stanęli na progu, a Amelia, wierna przyjętej na siebie roli, krzyknęła opryskliwie:

— Nastąpiłeś mi na suknię, bałwanie.

— Ależ nie, najdroższa — zaprzeczył Maryusz.

— Co robisz, głupcze? -- szepnęła mu do ucha żona. – Powinieneś mnie przecie łajać brzydkimi wyrazami.

Maryusz próbował, ale nic mu na myśl nie przychodziło, nie znajdował odpowiednich wyrażeń i plątał się niezgrabnie. W Amelii złość zaczęła wzbierać wobec tego niepoprawnego mazgajstwa jej małżonka.

— Ależ to osioł z ciebie! — krzyknęła na cały głos z najszczerszem przekonaniem.

Ludzie gromadzić się już zaczęli dokoła nich, a z daleka zdążał już brygadyer w towarzystwie paru podwładnych. Na jego widok Maryusz odzyskał przytomność umysłu.

— Coś powiedziała! — krzyknął i rzucił się na żonę, wymachując pięściami, ale mu szło niesporo i mimo, że Amelia nadstawiała mu dobrowolnie plecy, chybiał ją wciąż, trafiając prawie zawsze w próżnię.

— A wrażże mi dobrego kułaka, gamoniu — szepnęła Amelia — abym się przecie mogła zwalić na ziemię, bo inaczej ludzie nie uwierzą, żeś mnie zmógł.

Maryusz sam czuł, że żona jego ma tysiąckrotnie słuszność, ale czy to wpływ wychylonych likierów, czy instynktowny respekt, jaki czuł zawsze dla swej połowicy, sprawiły, że nie podołał zadaniu. Podnosił zawsze rękę za wysoko lub za nisko, chwiał się, potykał i omal, że nie runął na ziemię.

Amelia, wrząca z gniewu, nie mogła patrzeć dłużej na podobną niezdarność. Zapomniała o wszystkiem i nie hamując się już, wpadła ze zwykłą furyą na nieszczęsnego Maryusza i w mgnieniu oka powaliła go u swych stóp. Biedak, ogłuszony upadkiem, nie mógł się podnieść i rzucał się bezradnie, jak ryba na piasku. Położenie jego było tak niewymownie śmieszne, że tłum cały ryczał po prostu, biorąc się za boki. Nawet brygadyer Tartasa zapomniał o swej powadze urzędowej i zanosił się od śmiechu, stojąc w pierwszych szeregach, przytem rzucił parę razy niefortunnemu swemu podwładnemu pogardliwy okrzyk: »Azu«. Usłyszała to Amelia i zrozumiała naraz, co się stało, a wówczas uczucia jej przybrały nowy kierunek. Odwróciła się do brygadyera cała zaczerwieniona i rozgrzana walką, a opierając ręce na potężnych biodrach, krzyknęła wyzywająco:

— A pan się tak nie wystawiaj, panie brygadyerze, bo sam możesz oberwać.

— Dobrze! dobrze! — wołał rozochocony tłum — spróbujcie się z nim, matko!

Brygadyer, czerwony jak piwonia, usiłował wszystko w żart obrócić, powtarzając:

— Poszlibyście lepiej do siebie, gosposiu, łuskać groch i skrobać ziemniaki.

— Już ja cię oskrobię — odcięła się Amelia uniesiona szałem.

I zanim się brygadyer mógł opamiętać, ujęła go w pół i w trzech ruchach, a czterech sekundach uniosła go w górę i cisnęła przed siebie tak, że padł z łoskotem w oczach osłupiałego tłumu.

— Wiwat Amelia! — zawołał jakiś głos.

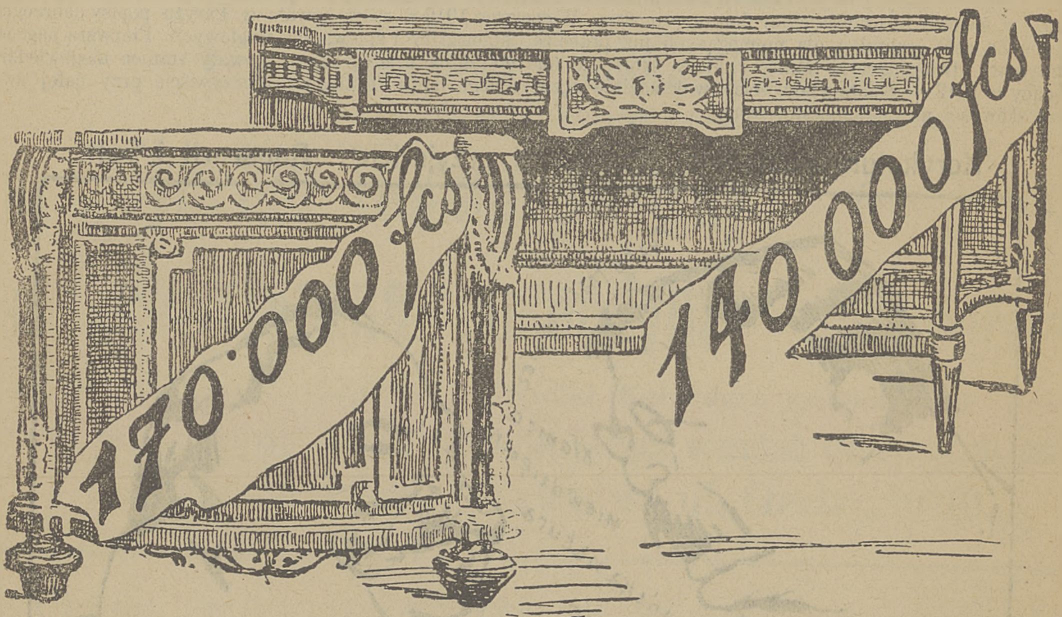
Był to Maryusz, który, podniósłszy się z upadku, oklaskiwał z zapałem zwycięską swą małżonkę.

— A teraz, panie brygadyerze — rzekła tryumfalnie pani Maryuszowa — jeżeli wynosić się mamy z Tartasu, to razem w kompanii. Co? nieprawdaż?

Nie skończyła jeszcze tych słów, gdy setki rąk uniosło ją w górę, obnosząc tryumfalnie dokoła wsi.

Maryusz, uniesiony radością, towarzyszył orszakowi, wydając najgłośniejsze okrzyki na cześć kobiety, którą z dumą nazwać mógł swą małżonką. Od tej chwili nikt już nie ośmielał się uwłaczać mu z przyczyny, że nie potrafił stawić czoła tak wyjątkowo uposażonej amazonce.

Drogocenne sprzęty.



Dla amatorów starożytności nastały dobre czasy. Naturalnie nie dla tych, którzy kupują, lecz dla sprzedających. Ceny, osiągane podczas licytacyi starych, posiadających pewną historyczną wartość przedmiotów stają się z każdym dniem coraz to wyższe. Są to ceny waryackie — a płacą je milionerzy amerykańscy, którzy z pieniądzmi się nie liczą. Bajeczne wprost sumy, płacono w Paryżu za obrazy dawnych malarzy znane są powszechnie. Nietylko jednak za obrazy, lecz i za starożytne meble płacą obecnie także bajońskie sumy. W lipcu 1912 r. n. p. w czasie jednej licytacyj za parę komod z czasów Ludwika XV. zapłacono 170.000 fr., a za konzolę takiego samego stylu 140.000 fr.

Taniec niedźwiedzi.



Słynna Gaby Deslys, eksprzyjaciółka Manuela, zajmuje się obecnie, jak przystało na tak wysoką dygnitarkę w świecie nieoficyalnem... dobroczynnością. W czerwcu 1912 r. zaaranżowała w Paryżu popisy choreograficzne na cele przytułku dla niemogących już pracować śpiewaków i śpiewaczek tinglowych. Pierwszą nagrodę otrzymały dwie tancerki Minty i Flory, które z nadzwyczajną gracyą zaprodukowały »taniec niedźwiedzi», będący w 1912 r. »ostatnią nowością« w dziedzinie egzotycznego tańca. Taniec ten rzeczywiście przy całej swej groteskowości nie jest nieestetyczny.

Karykatura polityczna. „Serdeczni przyjaciele": Roosevelt i Taft.



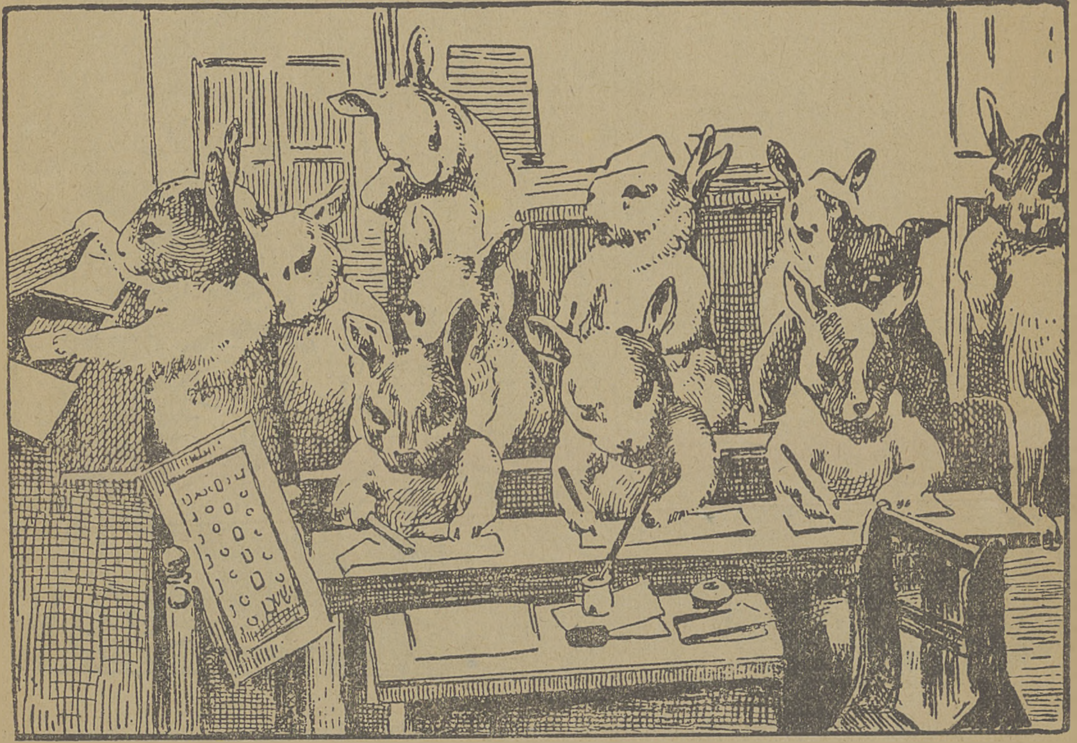
Stany Zjednoczone Ameryki stoją obecnie pod znakiem wyborów prezydenta. W pierwszym szeregu idą do ataku dwaj kandydaci, mający prawie równe szanse: były prezydent Roosevelt, oraz obecny prezydent Taft.

Niegdyś byli oni dobrymi, zażyłymi przyjaciółmi, ale polityka — jak wiadomo — bardzo często z serdecznych przyjaciół czyni wrogów nieprzejednanych, przynajmniej w sprawach politycznych, co jednakże nie pozostaje także bez wpływu na stosunki osobiste. Występuje to przedewszystkiem jaskrawo zwłaszcza w Ameryce, gdzie zasada »interes interesem« bierze górę nad wszelkiemi innemi, a zwycięstwo polityczne jest także wielkim businessem. Rywalizacya dwóch znamienitych osobistości o godność prezydenta wywołała gorącą, ostrą walkę, nie przebierającą w środkach. Obaj rywale nie szczędzą czasu, trudu, farby drukarskiej, papieru i pieniędzy, a także słów, aby przeciwnika przedstawić w jak najgorszem świetle. W jednym np. dniu agitacyjnym zarówno Roosevelt jak i Taft jadąc automobilami z miejsca na miejsce, byli w New-Jorku, każdy na kilkunastu zgromadzeniach przedwyborczych i pomimo prawie zupełnego wyczerpania sił, przemawiali do późna w noc. Czego się tam wyborcy nie nasłuchali!

Wyborem przyszłego prezydenta interesują się nie tylko Stany Zjednoczone — ale także świat cały śledzi uważnie przebieg walki wyborczej. Stanowisko bowiem prezydenta nie pozostaje także bez wpływu na stosunki polityczno-ekonomiczne w świecie.

Podajemy karykatury obu kandydatów według paryskiego *Matin*. Rysy charakterystyczne »przyjaciół-wrogów« uchwycone są świetnie. Obrzucają się nawzajem obelgami, nie pozostawiającemi nic pod względem soczystości do życzenia.

Z osobliwego muzeum: Króliki w szkole.



Miasto Sussex w Anglii posiada osobliwe muzeum, jakiego w żadnem innem mieście nie znajdziesz: mianowicie zbiór przeszło stu rzeźb, przedstawiających (przeważnie komiczne) sceny z życia zwierząt. Dzieciom zwiedzanie tego muzeum sprawia wiele uciechy. Jedną z tych zabawnych rzeźb »Króliki w szkole« przedstawiamy powyżej.

Zamaskowani bandyci w restauracyi.



Gazety amerykańskie podają opisy niezmiernie śmiałego rabunku, dokonanego na gościach jednej z nowojorskich kawiarni przez zamaskowanych bandytów. Rzecz się tak miała: w seperatce jednej z pierwszorzędnych kawiarni Nowego Yorku zabawiało się liczne towarzystwo, złożone ze śpiewaczek operowych i mężczyzn, należących do »śmietanki« towarzystwa nowojorskiego. Szampan lał się strumieniami a rozochoceni goście, mimo spóźnionej pory nocnej, nie myśleli o opuszczeniu lokalu. Znużona służba oddała się błogiemu snu, gdy w tem otwarły się nagle drzwi separatki a na progu jej ukazały się cztery zamaskowane postaci z rewolwerami w ręku. Głośny przed chwilą śmiech rozbawionego towarzystwa zamarł wszystkim na ustach, tembardziej gdy usłyszeli głos jednego z bandytów: «Oddać złoto i kosztowności, gdyż w przeciwnym razie strzelamy!« Nie pozostawało nic innego, jak wobec stanowczej postawy rabusiów usłuchać rozkazu.

Dwaj milionerzy rzucili na stół swe dobrze wypchane portfele, złote zegarki, pierścionki i t. d., a za nimi poszła reszta obecnych. »Ciężko zapracowane« kolie, kolczyki i masę kosztowności musiały damy z pół-

światka złożyć w ręce bandytów ku swej serdecznej boleści. Bandyci spokojnie odeszli z bogatym łupem, nie ścigani przez nikogo. Policya nowojorska do tego czasu nie wpadła na ich trop. Jak się zdaje, bandyci dobrze byli poinformowani poprzednio, kto się znajduje w tem wesołem gronie i głównie zapewnie chodziło im o obrabowanie owych dwóch milionerów.

Błogosławione niechaj będą sztuczne fryzury damskie...

Nie wolno już obecnie nosić paniom wielkich kapeluszy w parterze teatrów i na koncertach. Obecnie nasze damy rewanżują się w ten sposób, że dla odmiany noszą olbrzymie fryzury, które również zasłaniają widok na scenę. Lecz nie skarżcie się zbytnio panowie! Cieszcie się raczej, bo gdyby panie były zmuszone zdejmować w teatrze swoje fryzury, wówczas.. brr!... zupełnie inny wygląd miałaby sala teatralna...

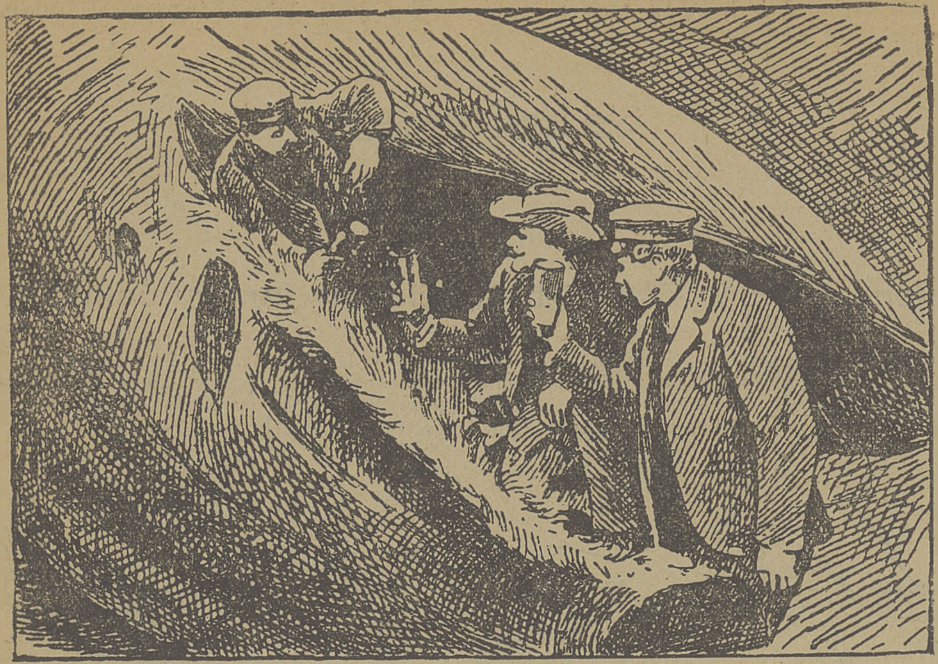


Rząd krzeseł przedstawia obecnie taki widok —



a po zdjęciu sztucznych fryzur przez damy przedstawiałby taki.

W paszczy wielorybiej.



Zapewne nie wyobrażacie sobie nawet, Szanowni Czytelnicy, jak wielką jest paszcza wieloryba, tego potwora między zwierzętami morskiemi, którego długość przenosi nieraz 20 metrów. A jednak paszcza ta jest tak olbrzymia, że, jak to widać na naszej rycinie, trzech ludzi może się w niej wygodnie pomieścić. I tak w Danii wyrzucony został na brzeg morski olbrzymi wieloryb, 22 metry długi. Olbrzymie jego cielsko runęło jakby jakiś złom granitowy na wybrzeże. Zoczyli potwora trzej weseli młodzieńcy i postanowili się zabawić. Przyszedł im do głowy wesoły pomysł. Uzbrojeni we flaszkę wina i potrzebne szklanki weszli do paszczy wieloryba i tam pili wino, wznosząc niezliczone toasty na zdrowie wszystkich wielorybów, jakie jeno są. Jak widać na naszej rycinie, wszyscy trzej pomieścili się wygodnie w paszczy potwora.

Cztery pory roku w naszym kraju...



Wiosna.



Lato.



Jesień.



Zima.

WSIEWOŁOD GARSZYN.

Żaba podróżniczka.

Żyła sobie niegdyś na świecie żaba-kwakaczka, siedziała w błocie, łowiła komary i muchy, a na wiosnę rehotała razem z towarzyszkami. W ten sposób przeżyłaby szczęśliwie aż do śmierci, naturalnie, o ile nie zjadłby ją przedtem bociek. Ale zdarzył się niespodziewany wypadek.

Siedziała sobie kiedyś na sęczku olszyny wystającym z wody i rozkoszowała się ciepłym, drobnym deszczem.

— Co za prześliczna dzisiaj mokra pogoda! — myślała żaba. — Jaka to rozkosz żyć na świecie!

Deszczyk pryskał na jej pstrą, lakierowaną skórę; krople jego ściekały na biały brzuszek i na łapki, to było zachwycająco miłe, że omal nasza żaba nie zakwakała, ale na szczęście przypomniała sobie, że była już jesień, a na jesieni żaby nie rehoczą — na to jest wiosna — i że zakwakawszy, straciłaby swój honor żabi. Dlatego milczała i dalej rozkoszowała się pogodą.

W tem ostry, świszczący, przerywany dźwięk rozległ się w powietrzu. Jest taki gatunek kaczek, których skrzydła w locie, przecinając powietrze, śpiewają, albo raczej świszczą: fiu, fiu, fiu!

Niekiedy rozlega się nad wami w powietrzu taki świst, a kaczek zupełnie nie widać, tak wysoko lecą. Tym razem kaczki, opisawszy ogromne półkole, opuściły się na ziemię i usiadły na tem samem błocie, w którem żyła żaba.

— Kra, kra! — rzekła jedna z nich. Lecieć jeszcze daleko: — trzeba będzie coś przekąsić.

Żaba w tej chwili schowała się.

Wiedziała co prawda, że kaczki nie zjadłyby jej, tłustej kwakaczki, ale na wszelki wypadek dała nurka pod pień olchy, to zawsze bezpieczniej. Jednakże, pomyślawszy, zdecydowała się wysunąć z wody głowę. Była bardzo ciekawa dokąd lecą kaczki.

— Kra, kra! — rzekła druga kaczka — robi się zimno! Prędzej na południe! prędzej na południe!

I wszystkie kaczki, głośno zakrakały na znak zgody.

— Panie kaczki — ośmieliła się odezwać żaba — co to takiego to południe, na które lecicie? Proszę mi darować ciekawość.

Kaczki okrążyły żabę.

Z początku każdej z nich przyszła ochota zjeść ją, ale pomyślawszy, przyszły do przekonania, że żaba jest zbyt wielka i nie przejdzie przez gardło. Wtedy wszystkie zaczęły krzyczeć, bijąc skrzydłami:

— Dobrze na południu! Tam teraz ciepło! Tam są takie rozkoszne ciepłe błota! Jakie tam robaki! Dobrze na południu!

Tak krzyczały, że prawie ogłuszyły żabę. Z trudem udało się jej uciszyć je i poprosiła jedną z nich, która wydawała się tłuściejszą i rozumniejszą od innych, by objaśniła ją, co to takiego południe. A kiedy ta opowiedziała jej o południu, to żaba wpadła w zachwyt, ale w końcu swoją drogą spytała, gdyż była ostrożną:

— A dużo tam much i komarów.

— O, całe gromady — odpowiedziała kaczka.

— Kwa! wyrwało się żabie, ale w tej chwili obejrzała się, czy nie ma gdzie jakiej towarzyszki, któraby usłyszała i potępiła surowo kwakanie w jesieni. Zupełnie nie mogła powstrzymać się, aby choć raz nie zakwakać.

— Weźcie mnie ze sobą!

— To dziwne żądanie! — zawołała kaczka. — Jakżeż my ciebie weźmiemy? Ty nie masz przecie skrzydeł,

— Kiedy odlatujecie? — spytała żaba.

— Prędko, prędko! — zawołały wszystkie kaczki. — Kra, kra! kra! Tu zimno! Na południe! na południe!

— Pozwólcie mi namyśleć się przez pięć minut — prosiła żaba; niedługo wrócę i zapewne wymyślę coś dobrego.

I wnet dała nurka pod swój pień, całkowicie zaryła się w muł, żeby postronne przedmioty nie odrywały jej myśli. Pięć minut przeszło, kaczki już zupełnie gotowe były do odlotu, kiedy, nagle koło sęczka, na którym siedziała żaba, wynurzył się z wody jej pysk, a wyraz jego był najbardziej rozradowany, do jakiego tylko zdolna jest żaba.

— Wymyśliłam, znalazłam! — zawołała — niech dwie z was wezmą w dzioby patyk, ja się przyczepię do niego w środku. Wy będziecie lecieć a ja jechać. Trzeba tylko, żebyście nie krakały, a ja nie kwakała i wszystko będzie doskonale.

Choć milczeć i nieść nawet lekką żabę tysiące mil nie jest wcale przyjemnością, ale rozum żaby tak zachwycił kaczki, że jednogłośnie zgodziły się na propozycyę. Zdecydowały się zmieniać co dwie godziny, a ponieważ kaczek było, jak się mówi w zagadce, tyle i jeszcze tyle i pół tyle i ćwierć tyle, to niezbyt często wypada na każdą kolej niesienia żaby. Znalazły dobry, wytrzymały patyk, dwie kaczki wzięły go w dzioby, żaba przyczepiła się pyskiem w środku i całe stado wzleciało w powietrze.

Żabie dech zaparło od wielkiej wysokości, na którą ją podniesiono. Oprócz tego kaczki leciały nierówno i szarpały patykiem. Biedna kwakaczka bujała się na wszystkie strony, jak papierowy pajac i z całej siły ściskała szczękami patyk, żeby nie oderwać się i nie upaść na ziemię.

Jednakże wkrótce przywykła do swego nowego położenia i zaczęła się nawet rozglądać.

Pod nią szybko migotały pola, łąki, lasy i góry, zresztą było jej trudno to wszystko oglądać, gdyż, przyczepiona do drążka, patrzyła w tył i trochę w górę, ale zawsze coś tam widziała, cieszyła się i chwaliła się w duchu:

— Jak ja to dobrze urządziłam!

A kaczki leciały w ślad za pierwszą parą, niosąc ją, i krzyczały z uznaniem:

— Zadziwiająco mądra głowa ta nasza żaba, nawet i pomiędzy kaczkami mało znajdzie się podobnych!

Zaledwie się powstrzymywała, żeby nie podziękować im za pochwałę, ale przypomniawszy sobie, że otworzywszy pysk, zleci ze strasznej wysokości na ziemię, jeszcze silniej zacisnęła szczęki, postanawiając cierpieć.

W ten sposób bujała przez cały dzień; niosące ją kaczki zmieniały się w locie, zręcznie podchwytując patyk; to było okropne. Nie raz mało co już nie kwaknęła, trzeba było dużej przytomności umysłu, żeby tego nie uczynić, żaba ją miała.

Wieczorem całe stado zatrzymało się na jakiemś błocie; ze wschodem słońca kaczki z żabą poleciały dalej. Teraz żaba tak się uczepiła, że mogła wszystko widzieć.

Kaczki leciały nad rżyskami, nad pożółkłymi lasami i nad wioskami z pełnemi stodołami, skąd dolatywał dźwięk ludzkich głosów i stuk cepów o słomę. Ludzie patrzyli na stado kaczek i, widząc w niem coś niezwykłego pokazywali je sobie rękoma. Żaba ogromnie zapragnęła lecieć niżej, pokazać sie i usłyszeć, co o niej mówią. Na następnem odpoczynku rzekła:

— Czy nie możnaby lecieć niżej? Od takiej wysokości dostaję zawrotu głowy, boję się, że spadnę, jeżeli nagle zrobi mi się niedobrze.

Dobre kaczki zgodziły się na to. — Nazajutrz leciały tak nizko, że słychać było głosy:

— Patrzcie, patrzcie! — wołały dzieci w jednej wiosce.

— Kaczki niosą żabę.

Żaba to usłyszała i serce jej biło radośnie.

— Patrzcie, patrzcie! — wołali w drugiej wsi dorośli — jaka dziwna sztuka!

— Czy aby oni wiedzą — że to ja wymyśliłam, a nie kaczki? — pomyślała sobie żaba.

— Patrzcie, patrzcie! — wołali w trzeciej wiosce. — Jaka sztuka! I kto to wymyślił taki mądry sposób?

Teraz żaba już nie wytrzymał i zapomniawszy o wszelkiej ostrożności — krzyknęła z całej siły:

— To ja! ja!

I z tym okrzykiem poleciała na ziemię, koziołkując w powietrzu.

Wszystkie kaczki głośno zakrakały. Kilka z nich chciało pochwycić żabę w locie, ale napróżno. Machając wszystkiemi czterema łapami, żaba szybko spadała na ziemię; ale ponieważ kaczki leciały bardzo prędko, to nie upadła na to miejsce, nad którem zakwakała i gdzie była twarda droga, ale sporo dalej i wleciała w błotnisty staw, znajdujący się na końcu wsi. Było to dla niej wielkiem szczęściem.

Kwakaczka wnet wynurzyła się z wody i w tej samej chwili zaczęła wołać na całe gardło:

— To ja! To ja wymyśliłam!

Ale na około niej nikogo nie było.

Postraszone nagłym pluskiem, wszystkie miejscowe żaby schowały się do wody. Kiedy po chwili zaczęły wypływać, ze zdziwieniem patrzyły one na nową, nieznaną towarzyszkę.

I w tedy ona powiedziała im cudowną historyę o tem, jak myślała całe życie i na reszcie wymyśliła zupełnie nowy sposób podróżowania z kaczkami. A dalej opowiadała im że miała własne kaczki, które wszędzie ją nosiły, gdzie tylko zapragnęła. I mówiła o swym pobycie na południu, gdzie jest tak dobrze, gdzie są takie rozkoszne ciepłe błota i gdzie takie mnóstwo komarów i innych jadalnych owadów.

— Przyjechałam do was, żeby zobaczyć, jak żyjecie — zakończyła. — Pobędę u was do wiosny, póki nie powrócą moje kaczki, które opuściłam.

Ale kaczki już nigdy nie wróciły. Myślały, że kwakaczka rozbiła się o ziemię i bardzo jej żałowały.

PAWEŁ MARGUERITTE.

Drzwi.

Szedłem po schodach wspaniałego domu. Podartemi podeszwami deptałem miękkie dywany. Raziło mi oczy światło elektryczne.

Pocom tu przyszedł? Kraść? Żebrać? Zabijać? Nie.

Wypędzono mnie z niezapłaconego mieszkania, zlicytowano meble, byłem bez szeląga przy duszy. Tak się ułożył splot życiowych niepowodzeń.

Odebrać sobie życie? I to przychodziło mi na myśl. Miałem lat dwadzieścia siedm, byłem wykształconym, pełnym zapału, energii, a mimo to umierałem z głodu!

Pocom ja tu przyszedł? Wszak miałem jakiś zamiar, jakiś cel, jakąś nadzieję!... Wyciągać rękę? I to nie? Pozostała jeszcze duma. Więc poco się tu błąkam? Na co czekam, czego chcę jeszcze spróbować, zanim sobie powiem, że niema już dla mnie miejsca na świecie?

Na dworze chłodno, dżdżysto. Tu lada chwila mogą mnie wyrzucić za drzwi lub oddać w ręce policyi.

Schody marmurowe, poręcze lśniące bronzem! Drzwi okute, dębowe. A za temi drzwiami!...

Wyobraźnia stawia mi przed oczy apartamenty wspaniałe. Dość palcem poruszyć, a tryskają potoki światła; dość kurek odkręcić, a ciepła woda leje się strumieniem. Wystarczy wziąć do rąk słuchawkę, aby się z całem miastem połączyć. A ja, zziębnięty, w nędznej odzieży, błąkam się po tych schodach.

Ogarnia mnie trwoga — czuję, że trzeba coś postanowić, coś począć. Ale co?

Przykładam palec do dzwonka. Nie naciskam go jednak — brak mi odwagi.

Zda mi się, że już widzę służącego. Otwiera mi drzwi z chłodną, nieubłaganą twarzą, obwieszcza, że jestem włóczęgą i każe mi się wynosić coprędzej.

Nie, te drzwi nie rokują dobrego przyjęcia. Więc może sąsiednie? Podobniusieńkie, jak dwie skąpe siostry. I tu wyjdzie naprzeciw mnie wygolona twarz fagasa.

Jakże te wszystkie drzwi są jednozgodne w swej bezlitości!

Na prawo? Nie. Stamtąd dochodzą dźwięki fortepianu. To zły znak.

Na lewo? Słychać głosy podniesione.

Za memi plecami rozlegają się kroki — mija mnie jakaś tłusta jejmość z grubym mężem.

Patrzą podejrzliwie — z wysoka. Ich nowe okrycia urągają mojej zrudziałej zarzutce. Do nich się nie zwrócę. Nie!

I oto nagle, jakby w świetlistem akwaryum miga mi przed oczyma postać kobieca. Winda unosi ją w górę — staje na piątem piętrze. Czyżby to była wyraźna wskazówka losu?

Wbiegam na najwyższe piętro. Ale gdzie zadzwonić? Troje drzwi. I kto mi zaręczy, że ta kobieta nie jest gościem. Może przybyła w odwiedziny?

A z głębin schodów dolatuje mnie głos:

— Nie wolno się tutaj włóczyć.

Nachylam się — biegnie stróż, uwiadomiony zapewne przez grube małżeństwo. Dopadam do drzwi na prawo. Lekkie pęknięcie drzewa dokoła klamki, napełnia mnie otuchą. Szczelina w opancerzeniu wróży łaskawe przyjęcie.

Naciskam dzwonek. Służąca w białym czepcu bretońskim drzwi otwiera. Zamyka je za mną, o nic nie pytając i wprowadza do salonu.

Nagle zdaję sobie sprawę, że jestem szaleńcem.

Uciec stąd — schować się za parawan, z kieszeni dobyć sztylet i rzucić się na stróża, który mnie tu pewnie dogoni. Albo pchnąć się w serce i paść bez duszy. Te myśli szalone kłębią slę, wirują w mej głowie. Jestem blizki obłędu.

Nagle w drzwiach staje kobieta, która mignęła mi przed oczyma w klatce przejrzystej. Ani się dziwi, ani przeraża. Patrzy na mnie i z oczu moich odczytuje całą tragedyę.

Wybuchłem płaczem. Ona kładzie mi rękę na ramieniu i o nic nie pyta. Prowadzi mnie do zastawionego stołu. Częstuje, jak gościa, przemawia słodko, serdecznie.

. . . .

Nazajutrz otrzymałem posadę. Uśmiechnęła się do mnie fortuna. W lat kilka potem mogłem wypłacić dług wdzięczności i znaleźć szczęście zarazem.

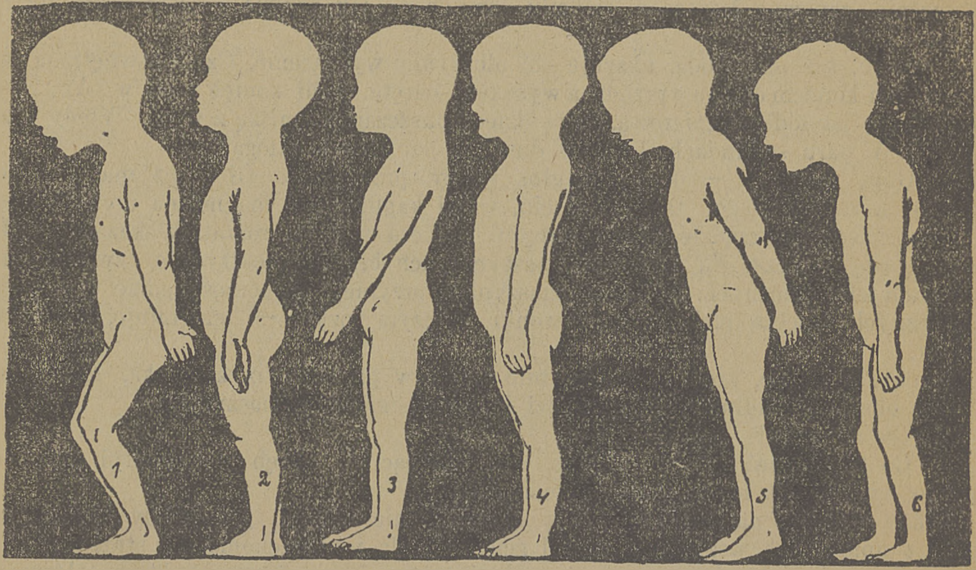
Ta, która mnie ocaliła od nędzy, od szaleństwa, od śmierci, jest dziś moją żoną.

Tajemnica dziecka.

Badania nad właściwościami i rozwojem duszy i ciała.



Dziecko o słabej woli. Dziecko śmiałe. Dziecko zarozumiałe. Dziecko normalne. Dziecko impulsywne Dziecko leniwe.



Któżby mógł, o nasi mili Czytelnicy, wymyśleć takie kapitalne spostrzeżenia co do dzieci, jakie przedstawia nasza dzisiejsza rodzina? Naturalnie, że tylko Amerykanin. — Wzięliśmy też ją z jednego z pism amerykańskich, a pewien lekarz tamtejszy daje następujące objaśnienia do poszczególnych figurek:

Dziecko słabej woli: »Jeśli dziecko posiada słabe muskuły nóg, wiem już o niem, że ma skłonność do słabości woli«. Dziecko śmiałe: »Śmiałe dziecko, wysoko głowę noszące, posiada silne mnskuły karku i naturę odważną«. Dziecko zarozumiałe: »Dziecko, ustawicznie się w tył przechylające, skutkiem czego cały ciężar jego ciała spoczywa na piętach, ma skłonność do samoistnych spostrzeżeń i zauważeń«. — Dziecko normalne: »Dziecko, stojące równomiernie, co wskazuje na regularny szkielet, posiada i równowagę umysłu«. Dziecko impulsywne: »Do rzeczy, najbardziej mu się podobających, dążyć będzie zawsze dziecko, przenoszące ciężar swego ciała na palce«. Dziecko leniwe: »Jeśli ręce i broda zwieszają się ospale, są centra mózgowe dziecka niedość rozwinięte. Znać wtedy po niem obojętność i ospałość«.

HENRY URBAN.

Góra lodowa.

— Do dyabła! — rzecze kapitan — to może być tylko góra lodowa! Nie widzi pan nic, Karsten?

Karsten, trzeci oficer, szuka znowu na północy w mgle.

— Nie widzę nic!

Z północy pędziły w owym czasie z góry lodowe na południe.

— Proszę zawołać człowieka z bocianiego mostu!

Karsten zbliżył się do tuby i woła człowieka z bocianego mostu. Przez tubę przychodzi wiadomość, że i on niczego nie spostrzega.

— Termometer wskazuje trzy stopnie wyżej zera! — melduje Karsten. — Wszystkie szkła z pomostu są na północ skierowane.

Pfu u-u-h! — przestrzega sygnał daleko przez mgłę.

I jakby się teraz z przestrogi naśmiewał, wyłania się z mgły przestraszający, gigantyczny olbrzym. Z północy pędzi na parowiec bezgłośnie, nieprzerwanie, upiornie biały, lodowe zimno śmierci wydychając. Na 600 stóp wystaje z wody szeroki i masywny, równocześnie, zapewne jeszcze w siedmiu ósmych — jak zwykle — pod wodą się rozpościerając.

Z przodu, tuż nad wodą, ukazuje się olbrzymie wydrążenie. Część zewnętrzna zwiesza się ogromnym końcem daleko wprzód, na wysokość okrętu. Jeśli koniec trafi w okręt, wciśnie go pod wodę, jak łódkę papierową, którą dzieci puszczają na miskę z wodą. Wtedy wszystko przepadło. W paru sekundach. I 2.000 dusz na parowcu z załogą!

— Góra lodowa! — dochodzi głos straży przez tubę. Głos ten ma w sobie coś nieludzkiego, zagrobowego. O wyminięciu, widzi kapitan, nie ma można myśleć. Jest już przy najbliższym przyrządzie telegraficznym. Puszcza w ruch aparat. Wskazówka wskazuje na »pełną siłę wstecz«. Na dole przy maszyneryach brzęczą elektryczne dzwonki przy obu przyrządach telegraficznych. Nabliższy maszynista przybiega na pomost, gdzie w przyrządach telegraficznych brzęczą elektryczne dzwonki — czyta rozkaz — telegrafuje, że ten został spełniony.

Hucząc i sycząc, kręcą się olbrzymie śruby w przeciwnym kierunka, lekkie drżenie przebiega olbrzymi kadłub okrętu. Bladzi i nieruchomi stoją maszyniści.

— Co się stało?

— Co się stanie? Kiedy wedrze się, szalejąc, w obręb maszyneryi słona topiel, wszystkie wyjścia dla maszynistów przecinając?

Także w górze na pomoście stoją bladzi i nieruchomi, jak gdyby zimno lodowe, wionące z upiora, ich wszystkich w lód ścięło. Blada i nieruchoma stoi straż przy maszcie bocianim, sternik przy dzióbie okrętu, sternik przy kole sterowem, które żelazną dłonią trzyma, nieco na południe od upioru skręcając.

Zacisnęli zęby.

Pięć minut, to wiedzą, musi upłynąć, zanim olbrzym morski podda się śrubom i wstecz popędzi. Dotychczas płynie wciąż naprzód pod niezwyłem ciśnieniem szybkości jazdy...

Czy nie gra tam ktoś w sali jadalnej skocznego walczyka?

Jedna minuta... dwie minuty! — »Właśnie odjechał« — mówi browarnik w salonie do palenia i Yankee chce widzieć:

— Kto odjechał?

Poeta w jadalnej sali przyniósł pięknej Polce filiżankę herbaty i czyta dalej:

»Lecz stał się cud, jakby w lubej bajce, wszędzie, gdzie tylko spojrzę, tryskają róże poza Klarą, Klarą uroczą, czarodziejką moją«.

Trzy minuty!... Staje się coraz chłodniej. Coraz bliżej podchodzi olbrzym lodowy, straszliwy w swej mroźnej upiorności. Zdaje się cały ocean, całe niebo wypełniać. Nie

widać nic innego. Z pomostu, ze steru, z bocianiego masztu, z dziuba okrętu utkwiło siedm par oczu nieruchomo w gigantycznym olbrzymie — przed niemi. Siedm serc przestaje bić. Teraz musi zderzenie nastąpić, teraz... teraz!... Człowiek na maszcie bocianim zamyka oczy. Strażnik przy dzióbie okrętu przechyla głowę na bok i wstrzymuje oddech. W sali jadalnej Polka się uśmiecha a poeta czyta ostatnią zwrotkę:

»Pną się po murach i kamieniach, rosną w górę wysoko, wysoko... Rosną, gdzie się tylko zwrócę. I pozdrawia mnie wśród woni Klara, urocza czarodziejka ma«.

Pięć minut! Okręt stoi. Zaczyna się zwolna cofać wstecz. Szybciej. Jeszcze szybciej. Oddalenie między okrętem a upiornym, ogromnym olbrzymem wzrasta. Olbrzym znajduje się naprzeciw dzióba okrętu. Jeszcze mogą o wzniesienie pola lodowego zahaczyć. Ale on pędzi dalej, prześlizgując się, zawsze jeszcze grożąc, zawsze jeszcze straszliwy w swym ogromie. Jak Goliat na Dawida, spogląda na nędzną łupinę orzecha. Teraz jest już widoczny tylko z bocznego brzegu. I wreszcie zanurza się znowu w białawe opary mgły, z której się wyłonił. Jansen oddycha głęboko.

Kapifan mówi: »o włos« — zdejmuje czapkę i sciera zimny pot z czoła. Potem przystępuje do przyrządu telegraficznego i telegrafuje: »pełną siłą naprzód!« Przy maszyneryach oddychają głęboko. Sztywność mięśni twarzowych znika. Zapewnienie spełnienia rozkazu wraca na pomost. Znowu kręcą się potężne śruby w przeciwnym kierunku. Gęste chmury dymu unoszą się z kominów. Szumiąc, płynie olbrzym morski na nowo przez morze. Wokół ostrego dzióba okrętu kotłuje i pryska wysoko biała piana. Termometr wznosi się. Sygnał ostrzegawczy raz jeszcze ryknął swoje pfu-u-u-h! Potem milczy. Staje się coraz jaśniej...

Wysoko w górze widać już kilka gwiazd. Sygnał z pomostu odwołuje sternika z dzióba okrętu. Sternik przy kole sterowem sięga za sznur od dzwonu i dzwon uderza zewnątrz budki sternika sześć razy: »bim—bim—bim—bim—bim—bim!«: co znaczy w żargonie żeglarskim jedenasta godzina w nocy wedle zegara lądowego.

Z przodu przy maszcie bocianim odpowiada straż swoim dzwonem, o jeden ton niżej: »bam—bam—bam—bam—bam—bam«. A człowiek na bocianim maszcie spogląda swem sokolem wzrokiem przez światło na maszt i przez wielki maszt na zielone światło u steru i czerwone światło u pomostu kapitana. Potem woła, przeciągając tony: »la-mpy za-pa-lić, wszystko do-brze!« »Amen!« mówi kapitan i kłaniając się, opuszcza pomost.

— Steward, proszę mi przynieść szklankę monachijskiego! — mówi Yankee w salonie do palenia i ziewa. Ma on na myśli piwo monachijskie.

— Ogromnie nudna taka podróż, do younotthink! — pyta browarnik z Meksyku.

— Nie jest nudna, jeśli się umie grać w wista.

I zaczynają grać...

W dole na południu znika coś białego, wygląda jak niewinna, biała chmurka.

Z dyalogów przedwakacyjnych.

(HUMORESKA).

Osoby:

Mąż. Żona.

(Mąż leży na otomanie, pali cygaro. Od czasu do czasu spoglądając na żonę, uśmiecha się ironicznie. Żona, widocznie zdenerwowana, wielkimi krokami bez przerwy przebiega pokój).

Żona (przystaje): Więc ty stanowczo twierdzisz, że ja tego roku do kąpiel nie wyjadę?

Mąż. Stanowczo. Wiesz przecie doskonale, że finanse nasze na to nie pozwalają.

Z karnawału jeszcze dwa weksle nie wykupione, kapelusz twój ostatni również dotąd nie zapłacony, no, nie mówiąc już o sklepikarce, mleczarni i innych naszych niebacznych wierzycielach.

Żona. Tedy wiedz, iż bierzesz na swe sumienie moje zdrowie, może nawet życie. (Zaczyna gwałtownie kaszleć). Byłam dziś właśnie u trzech specyalistów, stwierdzili u mnie rozwijającą się wadę serca, blednicę, początki gruźlicy, anemię i chroniczny katar organów oddechowych.

Mąż (chytrze się uśmiechając). Skoro przy tych wszystkich chorobach tak cudownie wyglądasz i taki doskonały codzień posiadasz humor, wątpię, aby ci się kiedy cokolwiek stać mogło.

Żona. Ach, ty brutalu! (słania się, chce upaść na krzesło).

Mąż. (Wstaje). Tylko proszę cię, moja kochana, nie mdlej. Zapewniam cię, że i ten argument nie zdoła przemówić skutecznie do mojej pustej kieszeni.

Zresztą wodociąg, jak ci zapewne wiadomo, z rozporządzenia magistratu zamknięty, więc nie miałbym cię nawet czem ratować (przy ostatnich słowach chwyta za karawkę z wodą).

Żona (w tej chwili przychodzi do siebie). A więc dobrze, niech tak będzie, nie pojadę. Ale powiadam ci, iż umrę, jutro, dziś, umrę, umrę, u-mrę!

Mąż. Uspokój się moja droga, nie krzycz tak głośno, taka irytacya może zaszkodzić twemu sercu.

Wszyscy wiemy, że umrzesz, ja umrę także, albowiem »wszystko, co żyje, umiera, by pójść, gdzie wieczność swe wrota otwiera«. Ale umrzesz dopiero po pełnej, stuletniej, chwale żywota i to zapewniam cię, ani na wadę serca, ani na katar organów oddechowych, tylko po prostu, no... na uwiąd starczy.

Żona. Och, ty cyniku, tyranie!

Mąż (wesoło). Ani cynik, ani tyran, tylko człowiek rozsądny. Uważaj dziecko. Jesteś zdrowa jak orzech, a chcesz koniecznie jechać do kąpiel, bo tak nakazuje moda, bo pani Bambulińska i pani Ciuciubabska jedzie także. Po co? Chętniebym już wybrał się z tobą w jaką podróż.

Żona (podchwytuje żywo). W podróż, powiadasz, dokąd?

Mąż. Dokąd? Wszędzie, gdzie dużo życia, piękna, pamiątek. Najpierw naturalnie do Włoch.

Przy dźwiękach mandoliny płynąć gondolą bez celu i marzyć w Wenecyi, w Rzymie, geniusz starego świata podziwiać, na neapolitańskiej Riviera di Chiaja niebem się włoskiem roskoszować i słońcem. Wśród ruin pałacu Tyberyuszowego na Capri dumać o znikomości ludzkiej potęgi.

Żona. A stamtąd do Paryża.

Mąż. Naturalnie, stamtąd do Paryża, opera, wyścigi, kabarety...

Żona (rozentuzyazmowana). Stamtąd wpadlibyśmy na dzień do Ostendy. Potem Berlin, potem Wiedeń...

Mąż (przerywa). Prater, Wesoła wdówka w oryginale, sznycle wiedeńskie.

Żona (z niedowierzaniem). I ty naprawdę zamyślasz przedsięwziąć taką podróż?

Mąż. Naturalnie. Tylko, widzisz, moja kochana, mam pewne skrupuły.

Żona. Jakie?

Mąż (poważnie). Obawiam się, czy ty, tak poważnie chora, wytrzymasz taką, bądź co bądź, męczącą podróż.

Żona (śmiejąc się i rzucając mu się na szyję). Ha, ha, ha! Więc ty naprawdę sądziłeś, że jestem chora. Ja bym nawet wytrzymała podróż do bieguna północnego. Jestem najzupełniej zdrowa, a to wszystko, com przedtem mówiła, to nie prawda.

Mąż. Widzisz, nazywałaś mię tyranem, gdym to samo twierdził.

Żona. No, ale kiedy zamyślasz wybrać się w tę podróż?

Mąż. Choćby nawet zaraz.

Żona. Co? zaraz, tak bez wszelkich przygotowań?

Mąż. Owszem, możemy urządzić i przygotowania. Oto są dwa fotele. Poczekaj, wezmę ze szafy Baedekera, usiądziemy tutaj wygodnie przy stole i tak powoli, karta za kartą, objedziemy całą Europę....

SPIS TREŚCI:

Spis ilustracyi:

HUMOR.

ZAGADKA KONKURSOWA

Nagrody wartości 1000 koron.

Każdy nabywca niniejszego kalendarza ma prawo brać udział w konkursie zagadkowym, jaki redakcya dziennika »Nowiny« ogłasza niniejszem, wyznaczając za trafne rozwiązanie

34 nagród łącznej wartości 1000 kor.

Oto:

Szarada konkursowa.

Mały Józio, jak dziecko, psotny bo ciekawy, rozlał **drugi wspak, pierwszy wspak,** dany do kawy dla tatusia.

Ów krzyknie: – Ach, ty **drugi trzeci! Pierwsza druga** za mała bywa dziś na dzieci! Zamiast, aby zadania w kącie **trzecie czwarte,** psocą jeno. Doprawdy, niegrzeczne, nic warte! **Druga wspak** oraz **pierwsza wprost** pełna o nich troski.

Tu się wtrąci mamusia:

— Niby bicz dziadowski, pan dobrodziej dziś rzędzi. Daję na to me słowo poważne, najszczersze tatuś niby ów ptaszek w lesie **trzecie pierwsze**!

I niby rozgniewana, dopełni zdradziecko.

- Sprawiłbyś mi ach **wszystkie**, zamiast skarcić dziecko!

Westchnął papa na figle prawdziwie niewieście i z westchnieniem na **wszystkie** sypnął dwieście koron.

Nagrody,

przeznaczone dla czytelników, którzy nadesłali trafne rozwiązanie powyższej szarady konkursowej.

I. główna nagroda: **Koncertowy największy fonograf** firmy *Pathé Frères* ze specyalną tubą i ulepszoną membraną najnowszego typu z 20 płytami à 35 cm. średnicy wartości **500 K.**

II. główna nagroda: **Aparat fotograficzny** 9/13 cm. (Camera Goldmana) z objektywem Zeiss Protar 2 A. z 6 kasetkami wartości **220 K.**

III. główna nagroda: **Złoty zegarek** wartości **100 K.**

IV. główna nagroda: **Serwis stołowy** na 6 osób wartości **60 K.**

10 premij książkowych (nowości księgarskich tegorocznego sezonu wartości **50-60 K.**

Szarada konkursowa „Nowin". — 34 nagród łącznej wartości 1000 K.

KUPON,

który należy wyciąć i w kopercie przysłać redakcyi »Nowin« w Krakowie, wypełniwszy dokładnie rubryki na odwrotnej stronie.

Tylko te rozwiązania szarady będą uwzględnione, które są napisane na niniejszym kuponie.

10 prenumerat kwartalnych „Nowin“ à K 4·50 wartości **45 K.**
10 prenumerat miesięcznych „Nowin“ à K 1·50 wartości **15 K.**

34 nagród razem wartości 1000 koron.

Losowanie nagród

odbędzie się w dniu **7 stycznia 1913** roku w biurach administracyi »Nowin« w Krakowie, przy ul. św. Gertrudy 10 — punktualnie o godzinie 4-tej popołudniu.

Każdy abonent „Nowin“ (który wprost w administracyi złożył prenumeratę i może się wykazać kwitem lub recepisem pocztowym, ma **prawo być obecnym przy rozlosowaniu nagród** — a redakcya »Nowin« prosi Szan. Abonentów tak z Krakowa jak z prowincyi *o liczny udział* w tym akcie. Obszerne biura wydawnictwa »Nowin« mogą snadnie pomieścić nawet sto osób.

Wszystkie przedmioty przeznaczone na nagrody będą w miesiącu grudniu wystawione w jednym z pierwszorzędnych handlów w śródmieściu, w styczniu zaś w biurze administracyi „Nowin“ przy ul. św. Gertrudy 10.

Sposób uczestnictwa w konkursie i jak odbędzie się losowanie nagród?

Każdy nabywca tego kalendarza ma prawo uczestniczyć w konkursie. Rozwiązanie szarady należy napisać na poniżej zamieszczonym **kuponie** — kupon ten wyciąć i wysłać w kopercie (z dopiskiem konkurs zagadkowy) do Redakcyi »Nowin« w Krakowie. Można też kupon nalepić na kartkę korespondencyjną. Tylko te rozwiązania będą uwzględnione, które przysłane zostały na kuponie.

Nazwiska wszystkich osób, które nadesłały trafne rozwiązania, będzie redakcya »Nowin« ogłaszać w miarę nadpływania w »Nowinach«, **tworząc z każdych 10 nazwisk jedną seryę.**

Losowanie, które wobec abonentów „Nowin“ odbędzie się dnia 7 stycznia 1913 roku o godzinie 4-tej popołudniu w biurach administracyi „Nowin — przeprowadzone zostanie następująco:

Naprzód wylosowane zostaną **cztery serye**, między któremi rozdzielone zostaną pierwsze **cztery główne nagrody.**

W każdej znów z tych seryi (po 10 nazwisk) wylosowana zostanie **osoba**, której przypadnie nagroda.

Z kolei odbędzie się losowanie **30 pozostałych nagród** — i to w ten sposób, że wylosowane zostaną 3 serye po 10 osób. W każdej z tych seryi każdy uczestnik otrzyma nagrodę.

Nazwiska uczestników konkursu, podzielone już na serye po 10 osób, będą ogłaszane w „Nowinach“ w miarę nadchodzenia. Kupony z rozwiązaniem przyjmuje się tylko do dnia 4 stycznia 1913 r. Później nadesłane nie mogą być uwzględnione. **Ktoby w ciągu 10 dni po nadesłaniu trafnego rozwiązania** nie znalazł swego nazwiska wydrukowanego w »Nowinach«, zechce *zaraz odwołać się do Redakcyi* (bo jak wiadomo często przesyłki pocztowe u nas giną).

Przesyłka nagród na prowincyę odbywa się na **koszt wygrywającego.**

Wynik losowania zostanie ogłoszony w najbliższym numerze »Nowin« po losowaniu.

Redakcya „Nowin“ Kraków, ul. św. Gertrudy 10.

KUPON

uprawniający do uczestnictwa w konkursie zagadkowym, ogłoszonym w kalendarzu „Nowin“ na rok 1913.

Rozwiązanie konkursowej szarady: ....

Imię i nazwisko przesyłającego ....

Adres ....

(Nazwiska nadsyłających ogłaszane będą w „Nowinach“).